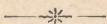




# BIBLIOTEKA OZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



## WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy). rs. 10	}	Rocznie . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5		Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50		Kwartalnie (13 tomów) „ 3
Za odosłenie do domu 15 kop. kwart.		

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

### DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . . .	rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów). . . . .	„ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów). . . . .	„ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

### Główni współpracownicy:

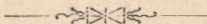
Dr. Piotr Chmielowski,  
Teodor Jeske Choiński,  
Dr. Julian Ochorowicz,  
Julian Adolf Święcicki.

WYDAWCY

*Granowski i Sikorski.*

REDAKTOR

*Franc. Jul. Granowski.*



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 504.  
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 67.

# BEREZYZNA

(POWIEŚĆ HISTORYCZNA)

napisał

OSKAR MYSING.

W TŁÓMACZNIU  
I Z PRZEDMOWĄ

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

TOM II.

*Cena 40 kop*

*W prenumeracie 50<sup>1</sup>, k.*

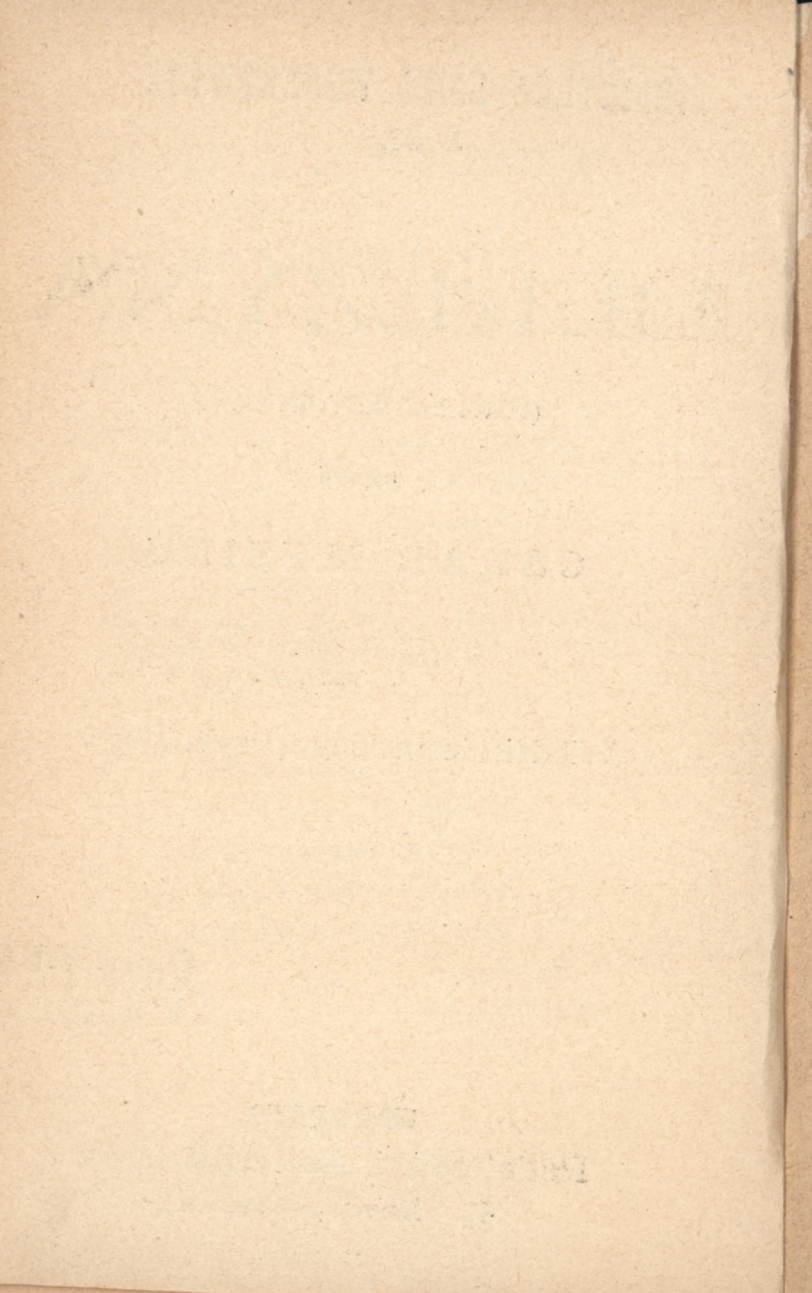
WARSZAWA.

Redakcja i Administracja:

47. Nowy-Swiat 47.

1899.







Oskar Mysing.

# BEREZYNA.

(POWIEŚĆ HISTORYCZNA)

W tłumaczeniu  
i z przedmową

WŁODZIMIERZA TRĄMPCZYŃSKIEGO.

Tom II.

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

301705

Дозволено Цензурою.  
Варшава, Декабря 1898 года.



174015

#### XIV.

### W B o r y s o w i e .

---

Do Borysowa ciągną w pośpiechu zastępy wielkiej armii uciekającej, każdemu też, kto ujść pragnął z życiem, jako ratunek ukazuje się miasteczko, położone nad Berezyną. Resztki korpusów wice-kroła Eugeniusza i marszałka Davout forsownemi marszami zdążają do Borysowa, za Eugeniuszem Ney, nie mający już prawie żadnego korpusu, dalej gwardya napoleońska, jedynie prawie zdolna do czynu, Polacy księcia Poniatowskiego z jednej strony, podczas gdy z drugiej podążają świeże korpusy Victora i Oudinota. Ten ostatni wysłał część armii swojej przodem, ażeby zajęła miasto. Od Bobru, Orszy i Łochnicy wszystkie drogi zajęte żołnierstwem i maruderami, którym towarzyszy niezliczona ilość wozów, sań, ekwipaży wykwinnych i bryczek najprostszych, a wszystko w nieładzie sunie się ku Borysowowi. Od południa idą uciekające pułki polskie i niemieckie, pędzone naprzód przez armię Czyczagowa, całe zaś to zbiorowisko ludzkie, liczące siedemdziesiąt albo



i nawet osiemdziesiąt tysięcy, pragnie przedostać się przez rzekę.

Małe miasteczko nad Berezyną zamieniło się nagle w prawdziwe morze głów ludzkich; każdy obozuje, gdzie może, a więc w bramach domów, w kościołach opuszczonych, w stodołach, śpichlerzach, stajniach, oborach... Domy zajęli naturalnie marszałkowie i oficerowie wyższej rangi, jak również ci, którzy pierwsi przyszli do miasteczka. Na ulicach i placach publicznych rozpalono ognie, przy których, przestępując z nogi na nogę, grzeją się zmarzli żołnierze. Zimno z dnia na dzień staje się dokuczliwsze.

— Za mną towarzysze! — zakomenderował major Deslords, wynalazłszy dwa niezajęte śpichlerze za kaplicą.

Przyjemna to była niespodzianka! Na czele też batalionu swojego wkroczył tu natychmiast, żołnierze rozłożyli się jak mogli, a każdy był rad, że ma dach nad głową. Nikt bowiem nie wiedział, jak długo przebywać przyjdzie w Borysowie. Major Deslords liczył teraz 24 ludzi. I to nazywa się całym batalionem! Z Moskwy wyruszył Deslords na czele 490 żołnierzy, przy opuszczaniu Smoleńska miał jeszcze 200, przy przejściu przez Dniepr 80. Tych 24 żołnierzy stanowiło resztę całego pułku 84-go, dwa inne bowiem bataliony wzięte zostały do niewoli nad rzeką Wop. Jeden oficer, dwóch podoficerów, dobosz i dwóch muzykantów, reszta szeregowcy

Na szczęście, bataliony, wzięte do niewoli, zdążyły w porę towarzyszom swoim powierzyć sztan-

dar. Ciężki to sztandar i znaczną posiadać musi siłę ten, kto go dźwiga. A jednak ślubował każdy umrzeć prędzej, aniżeli sztandar oddać w ręce nieprzyjaciół. Białym jedwabiem wyszyto na nim 11 nazw, są to nazwy bitew, w których brał udział pułk 84-ty, a zaczyna ten poczet Rivoli i kończy Wagram. Ponad tem widnieje napis: „Cesarz swojemu pułkowi 84!“ Naokoło orły cesarskie i emblemata wyszyte. Takiej chorągwi nie wypuszcza się z ręki i prędzej w sztuki dałby się poiąbać każdy, od majora do ostatniego szeregowca, aniżeli miałby porzuczyć na drodze!

Marceli Deslords przysięgł, że chorągiew przeprowadzi przez Niemen, a z nim razem przysięgało 24 walecznych.

Wkrótce do tej malej garstki, spoczywającej teraz w śpichlerzu, przyłączyło się jeszcze czterech ludzi: dragon bawarski Malinger, którego cały pułk zniesiony został pod Dukowczyną, dwóch puszkarzy z gwardyi włoskiej i strzelec, Kroat, którego znaleziono chorego na drodze.

Od kilku tygodni niema już żadnego porządku i żadnej komendy z góry, armia też podzieliła się na mniejsze i większe grupy, trzymające się razem, zajmujące wspólne kwatery, posiadające wspólne kotły, naczynia kuchenne i zapasy żywności, i wspólnie walczące, zarówno przeciwko maruderom, jak i kozakom. Grupy te wybierały z pomiędzy siebie dowódcę i przysięgały podczas całego odwrotu trzymać się zawsze razem.

Garstka, złożona z 28-miu ludzi, ufała Marcelemu ślepo, znając jego przezorność, stanowczość i odwa-

gę. Wiedziano, że dla siebie nie jest wymagający, ale że natomiast rygor musiał być tak przestrzegany, jak to bywało podczas dni chwały. Każdym kawałkiem chleba dzielił się z podkomendnymi, ale najmniejszy objaw niesubordynacji gotów karać surowo.

— Czy długo będziemy tu obozowali, panie majorze? — zapytał Malinger, który z otyłego olbrzyma zrobił się teraz cienkim i pochyłym.

— Nic nie wiem dotychczas. Gdyby to można jak najwcześniej przeprowadzić się przez tę rzekę przekłątą!...

— Żołnierze zaczynają nam chorować od tego jadła obrzydliwego — mówił smutnie Malinger; — może też po tamtej stronie rzeki dostanie nam się narzeczcie jakiśkolwiek kawał gotowanego mięsa.

— Trudno to chyba przyjdzie — odparł major, Malinger zaś, uparty, postanowił pójść na miasto i szukać pożywienia dla siebie i towarzyszków.

— Przy tej sposobności dowiem się, czy naprawdę Czyczagow jest już blisko — dodał stary żołnierz.

— Bardzo dobrze uczynisz, nie zapomnij też dowiedzieć się, czy wicekról z armią swoją już przyszedł do Borysowa. Od dwudziestu dni nie mam żadnej wiadomości o kapitanie Oettingu.

Malinger smutnie oczy spuścił ku ziemi i rzekł w zamyśleniu:

— Kto to może wiedzieć, czy zacny nasz kapitan żyje do tej pory! A ja mówię, panie majorze, że w tym potrzykroć przeklętym kraju każdy z nas pozostawi wilkom swe grzeszne cielsko na pożarcie.



— Nie gadałbyś głupstw! Jeżeli zaczniecie wma-  
wiać w siebie takie rzeczy, to utracicie zupełnie wia-  
rę w odwagę. Głowa do góry! A teraz idź i spro-  
bój, czy nie znajdziesz dla nas pożywienia.

Stefan Malinger poszedł na miasto, Deslords  
zaś, który nie chciał okazać przed nim trosk swoich,  
zadumał się nad losem armii. Smutne myśli cisnęły  
mu się do głowy, to zaś, co widział wokół siebie,  
nie nadawało się bynajmniej do rozchmurzenia czoła.  
O Janie wistocie od trzech tygodni nie miał żad-  
nej wiadomości; ustawiczne drobne utarczki ze ści-  
gającymi armię Rosyanami, przeprawy przez rzeczki  
i strumyki, marsze forsowne wśród śniegiem pokry-  
tych lasów, wszystko to rozluźniło węzły armii, któ-  
ra zmalała prawie do połowy. W tych warunkach  
nie wiedział nikt, co się dzieje z krewnymi i ze zna-  
jomymi.

Teraz postanowiono przejść przez Berezynę.  
Ale jak tego dokonać? Most spalony, o czem wie-  
dzieli wszyscy.

Major przybliżyć się zaczął do swego oddziału  
i zdaleka już dojrzał, że żołnierze w kotle wielkim  
przygotowywali sobie ową wstrętną zupę, jaką po-  
żywiali się podczas całego odwrotu. Zupa ta skła-  
dała się z wody, branej z kałuży, albo ze śniegu  
roztopionego, i z mąki, do czego, w braku soli, do-  
sypywano prochu z manierek. Żołnierze jadali tę zu-  
pę w stanie tak gorącym, że aż palili sobie wargi  
i bodaj w części zaspakajali głód palący wewnątrz-  
ności. Dziś garstka Deslordsa wyprawiała sobie ucztę  
prawdziwą, posiadała bowiem chleb i na wozie znaj-

dował się koń, który padł w drodze, więc go wzięto z sobą i dobito w Borysowie.

Po spożyciu tej kolacyi obfitej żołnierze w płaszczach rzucili się na ziemię, ażeby we śnie bodaj przez kilka godzin zapomnieć o swojej nędzy.

Major i teraz jeszcze nie odpoczywał, wiedział bowiem, że w tych warunkach dbać należy przede wszystkim o sztandary. Dobry przykład pod tym względem dały pułki korpusu wicekróla Włoch, kiedy bowiem przed kilku dniami rozwiązano zupełnie dywizyę Delzonsa i Brusiera, rozdzielono wszystkie sztandary pomiędzy pułki pozostałe. Tym sposobem batalion pułku 84-go dźwigać musiał cztery chorągwie z sobą, nie stało bowiem pułków, któreby podołać mogły temu zadaniu. Dywizye Delzonsa i Brusiera, jak się obecnie okazało, liczyły zaledwie 400 ludzi, choć tak niedawno jeszcze, przy przejściu wśród ogłuszającej muzyki przez Niemen generałowie ci mieli pod sobą 26 tysięcy żołnierzy.

Marceli obudził dwóch podoficerów i rzekł do nich:

— Czart z nami tańczy po polach rosyjskich i nikt z nas nie może być pewny, co się stanie za tydzień; cokolwiek jednak nastąpi, nie wolno nam dopuścić do tego, ażeby potem w Petersburgu chwalić się miano zdobytemi na 4-tych korpusie armii sztandarami trójkolorowemi!

To mówiąc, pospołu z podoficerami zajął się odczepieniem płótna od trzonów, następnie odjęto orła, który, jako wyrobiony z miedzi i pozłacany, przedstawiał wagę poważną, i wreszcie połamano trzony sztandaru. Postąpiono tak najprzód z trzema obce-

mi sztandarami, gdy zaś przyszło niszczyć własną chorągiew, major i podoficerzy zdjęli czapki z głowy i raz jeszcze powiewać zaczęli sztandarem. Towarzy-sze widzieli wtedy, że po twarzy Deslordsa, zawsze spokojnej, jakby z kamienia wykutej, spłynęła łza ciężka.

— Krwi, krwi nam potrzeba wrogów, ażeby zmazać hańbę, jaka nas spotykał — zawołał major rozpaczliwie, a słowa jego zrozumieli doskonale podoficerzy, jak zrozumiałaby cała armia, gdyby w tej chwili patrzyła na tę scenę bolesną.

Tak jest! potrzeba było dla tych ludzi kąpieli w krwi ludzkiej!

Odczepione od drzewa chorągwie wszyscy trzej owinęli sobie na ciele gołem i dopiero na to włożyli mundury i płaszcze. Jeżeli dojdą do Francyi, sztandary złożone zostaną na ziemi rodzinnej! Orła schowano na razie w tornister, leżący na wo-zie, postanowiono jednakże, ażeby w razie wypadku, jeden z żołnierzy zawiesił go sobie na szyi.

— Teraz nikt nie będzie śmiał powiedzieć — zawołał Deslords — że pułk 84-ty nie spełnił powinności swojej! Przysięgnijcie mi, że płótna tej chorągwi nie zrzucicie z siebie i nie zostawicie w tym kraju, chyba z trupami waszemi!

— Przysięgamy, majorze!

Marceli Deslords uroczysty miał wyraz twarzy, gdy spoglądał na gruzy, rozciągające się wokoło.

— Jesteśmy ostatnimi z pułku 84-go, a na wszystkich polach bitew przy cesarzu powiewała chorągiew nasza. Dziś jak złodzieje kryć ją musimy pod płaszciami, ale nawet piekło będzie musiało mieć



szacunek, gdy wielka armia znajdzie się przed tronem Lucypera, a świat mówić o nas będzie aż do końca istnienia swojego.

Podoficerowie byli prostymi ludźmi, ale to byli Francuzi, nie mogli zatem nie odczuć sercem tej przemowy Deslordsa, jeden też z nich krzyknął:

— Jakżebym pragnął, ażeby cesarz kazał nam teraz zagrać marsza z pod Marengo! Na bagnety! naprzód! marsz!

— Przyprawdźcie mi tu Emira!

Był to jedyny koń, jaki pozostał w pułku, dośiadał go też major w pochodzie. Zły, kopiający i gryzący, odznaczał się jednak rzadko napotykaną wytrzymałością, major postanowił też obecnie udać się konno nad brzeg rzeki, ażeby zorientować się w położeniu. Kiedy już otworzono bramę i major siedział na koniu, nagle zjawił się Malinger, uradowany nad wyraz wszelki. Za nim toczył się wóz, prowadzony przez muzyka rosyjskiego, a wóz ten cały obładowany był chlebem, obuwiem, ubraniami i futrami. Jak gdyby niebo otwarło się przed tymi ludźmi, zziębniętymi i zgłodniałymi. Pozrywali się z pościeli swoich i jak waryaci rzucili się na wóz, śmiejąc się i krzycząc radośnie:

— Dzielnie się spisałeś — zawołał Deslords i dodał:

— Gdzież to wszystko zdybałeś?

— Tam, gdzie więcej jeszcze znajduje się tego rodzaju towaru — zawołał ktoś obcy weselo — czy nie poznajesz mnie, majorze?

Deslords zdziwiony przypatrywać się zaczął nowej osobie i wkrótce witał się serdecznie z kapi-

tanem Wintersem z 2-go korpusu badeńskiego, korpusu marszałka Victora. Malinger spotkał go na mieście i przyprowadził razem z wozem naładowanym.

— Miejsce, w którym się spotykamy — rzekł — jest wstrętne, ale właśnie to, że się teraz spotykamy, uważam za zrządzenie Opatrzności. Widzę, że w szczęśliwszem od nas jesteście położeniu, dysponując tylu rzeczami nieoszacowanej wartości.

— Wszystko to zostawił nam Czyczagow w Borysowie. Kiedy bowiem Rosyane obsadzili miasto, my przypuściliśmy atak i po dwóch godzinach znów ono znalazło się w ręku naszym. Niestety! spalili za sobą most i uciekli do fortecy. Gdybyśmy wtedy mieli piechotę pod ręką, nie uszliby pogoni, ale sama konnica Oudinota była za słabą. Jedno tylko dobre, że odebraliśmy Czyczagowowi wszystkie bagaże, ogółem 140 wozów, pełnych chleba, wina, futer i ubrania. Kto może, zabierze teraz co lepsze i co się da unieść.

— Panie majorze! — zawołał rozradowany jak dziecko Malinger — nawet znalazłem kilka łokci kielbasy, a jakie buty ciepłe zdobyłem!...

Żołnierze ponownie rozpalili ognisko i rozkoszowali się chlebem, kielbasą i winem. Nawet dla Emira zdobyto kilka garncy owsa i on zatem miał ucztę dawno niebywałą.

Pomimo tak radosnego zdarzenia i pomimo spotkania się z przyjacielem, Wintersem, Marceli nie rozchmurzył czoła i rzekł smutnie:

— Wszystko to nie pomoże nam w niczem do przebycia rzeki.

— To najgorsze, że niema mostu — odparł Winters — nie wolno nam jednakże tracić nadziei, ja przynajmniej nigdy jej nie tracę, chociaż ty, majorze, jeszcze w Moskwie, podczas owego balu słynnego, przepowiadałeś nam odwrót ciężki.

— Śmieliście się wtedy ze mnie.

— Dziś widzimy, że słowa twoje sprawdziły się w sposób straszliwy...

Po chwili zadumy Winters zapytał nagle:

— Czy przypominasz sobie, majorze, tę Polkę z długimi włosami jasnymi? I ona zabawiała się w przepowiednie...

— Cóż się z nią stało, i czy nie slyszaleś czegośkolwiek o moim i jej przyjacielu, Oettingu?

— Podczas odwrotu czas jakiś trzymała się jeszcze armii, później zniknęła nam z oczu, co się zaś tyczy Oettinga, to również nie mam o nim od trzech tygodni żadnych wiadomości. *Sacrebleu!* Gdy się pomyśli, że wokoło nas tylu przyjaciół poległo lub zginęło, to ciarki przechodzą człowieka!

Winters uczynił ruch rozpaczliwy ręką i mówił dalej z przejęciem:

— Bóg jeden wie, co się z nami teraz stanie! Ach, majorze mój, kochany majorze! Czyż ja mogłem przypuszczać nawet, że dojdzie do tego! Kiedy dzisiaj ujrzeliśmy wasz korpus w Borysowie, to twarze nasze stały się bielsze, niż ten śnieg na polu. Czyż to ma być armia cesarza?!

Deslords uśmiechnął się gorzko, Winters zaś mówił dalej:

-- Połowa ludzi waszych chodzi w łachmanach, wasza jazda, to maruderzy zgłodniiali, a wasze konie



to szkielety. Widziałem dwóch generałów idących pieszo, a każdy z nich pchał przed sobą wózek nalożony chlebem i słoniną. Czyż to możliwe, czyż to możliwe!

— Cieszy mnie przynajmniej, że wam powiodło się lepiej, sądząc bowiem po tobie, kapitanie, widzę, że posiadać musicie ubrania w dostatecznej ilości i odżywiani jesteście nieźle.

— Co prawda, nie ucierpieliśmy bardzo. W dniu 30-ym zeszłego miesiąca wyruszyliśmy ze Smoleńska i połączyliśmy się z wojskami Oudinota. Obydwa pułki nasze badeńskie przysły w porządku i liczą wraz z huzarami przeszło 2,400 żołnierzy. Gdybyż przynajmniej mróz chwycił dobry! Wtedy łatwo po lodzie przeszlibyśmy przez rzekę, niepodobna bowiem, ażebyśmy teraz stanąć mieli do bitwy.

— A jednak będziemy musieli to uczynić.

Ponownie nastąpiła chwila przykrego milczenia, poczem Deslords zapytał:

— Czy nie wiesz, jak silny jest korpus Czyzagogowa?

— Obliczają go na 40 tysięcy. Rosyanie także mają przerzedzone szeregi, a przytem gorzej jeszcze znoszą zimno, aniżeli my.

Marceli popatrzył z niedowierzaniem na Wintersa.

— Zapewniam cię, majorze, że moi ludzie, w grubych płaszczach kortowych, nadesłanych nam świeżo z Niemiec, trzymają się doskonale.

— Że wy, Niemcy, znosicie mrozy, to przyznaję, ale Włosi i Francuzi!... Bez okryć żadnych, bez płaszczów, bez futer wymarszerowali z Moskwy.

W tej chwili do mówiących przybliżył się Malinger i przemówił w zwykły swój, poufaly sposób:

— No i cóż, panie majorze, czy przejdziemy prędko na drugą stronę rzeki?

— Lepiejbyś nie marzył o tem—zawołał wesolo Winters. — Oto zrób raczej testament i odrazu odpokutuj za wszystkie grzechy, popełnione w szeregach wielkiej armii.

— Et! Po co się kłopotać!—mruknął Malinger dobrodusznie — od tego jest cesarz i on nas wkrótce wyprowadzi z tej niedoli.

Cokolwiek odtąd mówiono o rozpaczliwym położeniu armii, Malingerowi nie zdołało to wydrzeć przeświadczenia w cudotwórczość Napoleona, powtarzał też ustawicznie z zaciętością chłopca:

— Cesarz wybawi nas z kłopotu!

Zdanie Malingera podzielali zupełnie Kroaci i grenadyerzy francuscy, znajdujący się w batalionie Deslordsa. Dopóki cesarz znajduje się przy armii, dopóty nie może przytrafić się żadne nieszczęście. Ci ludzie byli też święcie przekonani, że prędkaj armia rosyjska na kolanach błagać ich będzie o litość, aniżeli oni mieliby pójść w niewolę.

— Szczęśliwi ludzie!—rzekł Marcelli—wiara zastępuje im wszystko.

Ze słów tych znać było, że major dawniejszą ufność bezgraniczną, wiarę swą w geniusz cesarza, tracić poczynał zwolna na widok niedoli towarzyszków.

— Czy nie słyszałeś nic o rotmistrzu Rinconim?—wszczął nanowo Winters.

— Jeszcze żyje, ale z jego pułku „Dragonów

Królowej" pozostała zaledwie piąta część, reszta poległa pod Krasnoje.

— Brr! — wstrząsnął się lekkomyślny Badeńczyk. — Majorze, jesteś prawdziwie chodzącym wykazem poległych—i spoglądając na zegarek, dodał:

— Trzeba nam się pożegnać, za godzinę bowiem naznaczył cesarz rewię całego korpusu naszego, do widzenia zatem!...

— Do widzenia...

Kapitan Winters przeciskał się przez ulice, zalane wojskiem i z trudem dostał się do placu, rozciągającego się przed gmachem sądowym; na tym właśnie pustym placu przeprowadzać mieli marszałkowie Victor i Oudinot korpusy swoje przed cesarzem.

— Jedyłą pociechę, jaką mi zgotowano od czterech tygodni, uczuwam na widok wojska twojego, panie marszałku — rzekł Napoleon do Oudinota.

Ze zdumieniem świta cesarza patrzyła znów na dobrze umundurowanych żołnierzy i nieprzerzedzone kadry; takiego widoku nie miano już od dwóch miesięcy. Korpus Oudinota składał się przeważnie z Badeńczyków, Westfalczyków, Polaków, Sasów, Hessów, Nadreńczyków z Bergu i Cleve, kirasyerów francuskich, ułanów i szaserów. Pomiędzy tymi ostatnimi brakowało tylko brygady generała Corbineau.

Cesarz nie skąpił marszałkom i pułkownikom słów uznania i widać było, że umyślnie korzystał ze sposobności, ażeby chwalić postawę wojska. Po odbyciu rewii wyżsi oficerowie zebrali się na naradę w celu rozpatrzenia się w położeniu. Na ganku jednego z domków ustawiono krzesło polowe cesarza,



obok którego zgrupowali się marszałkowie. Napoleon kazał podać sobie lunetę, wstał i przez czas dłuższy obserwował brzegi Berezyny, oddalone zaledwie o sto kroków.

Oudinot, Ney i Eugeniusz stanęli najbliżej cesarza, w świetle znajdował się także Jan Oetting, któremu wicekról wydać miał niektóre rozkazy, dotyczące gromadzenia wojska. Z natężeniem przyglądano się każdemu ruchowi Napoleona, z twarzy zaś cesarza nie trudno było wywnioskować, że przejście w tym miejscu przez rzekę uważa za niemożliwe. W pewnym oddaleniu rozpoznano kontury fortecy, z której groziły paszcze armat rosyjskich; nieprzyjaciel mógł kartaczami swemi zasypać brzeg przeciwny i bez wysiłku powstrzymać każdą próbę przemarszu przez rzekę; zgliszcza mostu spalonego wisiały nad wodą, czarne, zwęglone.

— Mostu w żaden sposób nie będziemy mogli odbudować—zauważył Eugeniusz—wobec ognia z fortecy będzie to niepodobieństwem! Zresztą, cóż znaczy jeden most dla naszej armii i wozów! Potrzeboby nam trzech, albo i czterech, a to zajęłoby pięć dni czasu.

— Masz rację—przerwał mu Napoleon niecierpliwie — nie mamy czasu do stracenia! Czy armia Wittgensteina starła się już kiedy z forpocztami naszymi?

— Wczoraj kilku żołnierzy napotkało na drodze z północy kozaków, nie umieją nas jednak objaśnić, czy ci kozacy należą do armii Wittgensteina.

— Zkądże prości żołnierze mają zasięgać informacji!—przerwał cesarz gniewnie.—Mówilem już naj-

mniej sto razy, że patrolom dodawać trzeba oficerów, a teraz jest to potrzebniejsze, niż kiedykolwiek! W tem położeniu, w jakim się obecnie znajdujemy, wojska nasze zawisły jedynie od dobrze zorganizowanej służby forpocztowej.

Napoleon ponownie wziął lunetę do ręki, patrzył długo i nagle rzuciwszy ją niedbale na ziemię, zwrócił się do otoczenia:

— Czy niema tu rzeczywiście żadnej mielizny w Berezynie?

Marszałkowie i oficerowie spoglądali po sobie, cesarz zaś powtórzył pytanie:

— Czy nikt z panów nie zasięgał języka u mieszkańców tutejszych?

Milczenie ogólne było odpowiedzią, nikt też nie zauważył, że w tej chwili Jan Oetting stał się kredo wo błady. Znał on przejście przez Berezynę, wiedział, że pod Studzianką jest mielizna, ale milczał, bojąc się przyznać, że dowiedział się tego od Heleny.

Generałowie rozprawiali i gestykulowali żywo, zrodził się też u nich pomysł opanowania mostu pod Bobrujskiem, albo też przepłynięcia przez Berezynę na zbitych pośpiesznie tratwach. Zapytany o zdanie generał Eblé, który miał pod sobą zarząd pontonowy, uznał pomysł ten za waryacki i nie chciał nawet rozpatrywać go bliżej. Zresztą wszystko, czegokolwiekby się nie podjęto, wymagało przede wszystkim czasu, a tu ani minuty prawie nie było do stracenia!

Nagle wszyscy odwrócili głowy, usłyszawszy uderzenie kopyt końskich o bruk uliczny.

Ku cesarzowi zbliżał się oddział jazdy, prowadzony przez człowieka wysokiego wzrostu, w kapełuszu generalskim. Człowiek ten, ujrawszy Napoleona, szybko zeskoczył z konia, salutował i przybliżył się do marszałka Oudinota, który z nietajonem zdumieniem przyglądał się przybyszowi.

Oudinot zwrócił się do cesarza:

— Najjaśniejszy panie! Brygada, która zginęła mi w drodze, jak widzę, ocalała, oto generał Corbineau!

Cesarz spojrzał uradowany i zapytał wesoło:

— Zkądże się zjawiasz, generale? Czy sobie i ludziom swoim przypiąłeś skrzydła do ramion i jak ptak przeleciałeś przez obóz nieprzyjacielski?

— Broń Boże, sire! Przeszedłem tylko niedaleko ztąd przez Berezynę i śpieszyłem się do korpusu swojego, ażeby dzielnych strzelców swoich oddać znów do rozporządzenia twojego, Najjaśniejszy Panie.

— Czy w dole, czy górze przeszedłeś rzekę? Wskaż nam to miejsce!

— Nic łatwiejszego! Pod Studzianką jest miejsce tak szerokie i płytkie, że przejść tam nietrudno.

— A więc jest mielizna?—zawołali wszyscy radośnie, nie wyłączając nawet cesarza.

Corbineau potakiwał głową i, nie odpowiadając nic, bacznie wpatrywał się w oficera, stojącego obok księcia Eugeniusza. Poznał on ten mundur zielony z szamerunkiem srebrnym i nie wątpił, że owego oficera spotkał pod Studzianką.

Janowi serce biło, jak młotem, i gdyby mógł, usunąłby się z tego miejsca.



Cesarz, nie mogąc się doczekać odpowiedzi, zawołał niecierpliwie:

— Mówże nareszcie, generale! Więc jest mielizna, przez którą moglibyśmy się przedostać?

— Niedaleko ztąd jest wieś Studzianka, a tam woda taka płytka, że konie ani razu nie potrzebowały pływać.

— Tego tylko było mi potrzeba!—zawołał Napoleon, wszystkich zaś obecnych napełniła radość na myśl o możliwości ratunku. Twarze się ożywiły i gwar zapanował na ganku małego domku.

— Czy kra gęsto płynie rzeką w tem miejscu?

— Mróz jeszcze był za słaby, ażeby kra stać się mogła niebezpieczną, Najjaśniejszy Panie!

— Czy wojska rosyjskie nadeszły już na brzeg przeciwny?

— Do tej pory nic mogłem tego zauważyć.

— Jakim sposobem znalazłeś się w tem miejscu, czy miałeś jakiego przewodnika?

— Wypadek tak zrządził, Najjaśniejszy Panie! Mieliliśmy, co prawda, przewodnika, ale...

Corbineau rzucił okiem po zebranych i zatrzymał wzrok badawczy na Oettingu, poczem mówił dobitnie:

— Gdybyśmy byli posłuchali tego przewodnika, już dziś cała brygada moja znalazłaby się w niewoli rosyjskiej.

— Dłaczego?

— Sire! brygada moja w dniu 1-ym listopada opuściła korpus generała Wrede, który na rozkaz sfalszowany i jakoby pochodzący od waszej cesar-

skiej mości, bezzwłocznie wymarszerował do Połocka.

— Ha! Łotrzyca! — krzyknął Napoleon, zaciśniętą pięścią, przypomniał sobie bowiem w tej chwili słowa Maryi Walewskiej o zdradzie Bawarczyków.

— Mów dalej!

— Rozkaz ten wydał mi się nieco podejrzanym, postanowiłem też odszukać mój korpus, o którym wiedziałem, że wyszedł drogą do Borysowa. Idąc wciąż naprzód znalazłem się z brygadą moją wkrótce nad Berezyną, nie wiedząc nawet, gdzie się właściwie znajduję. Noc była jasna, księżycowa, zdaleka też ujrzałem oficera w mundurze włoskim. Oficer ten jechał w towarzystwie jakiejś damy, i—chybabym się okrutnie pomylił, ale nie!... nie myłę się!...—tym oficerem był ten pan!

Po tych słowach Corbineau śmiało przybliżył się do świty wicekróla i wskazał ręką na Oettinga. Jan mimowolnie cofnął się o kilka kroków w tył, a wszystkie oczy zwróciły się teraz na adjutanta Eugeniusza.

Oettingowi zdawało się, że ziemia się pod nim rozstępuje. Cesarz tarł sobie czoło, Eugeniusz patrzył zdumiony i zapytał:

— Co to wszystko znaczy?

Corbineau mówił dalej:

— Pan ten musiał przebyć Berezynę konno, korzystając z tej samej mielizny pod Studzianką, nie tylko jednak, iż przemilczał o tem, ale nawet oświadczył, że rzeka jest nie do przebycia. Usłuchaliśmy jego rady i udaliśmy się na lewo i marszerując ciągle, napotkaliśmy przed świtem forpoczty Czyczagowa.

Nie wiem, coby się wtedy stało, gdyby nie traf szczęśliwy! Marszerowaliśmy jeszcze jakieś pięćset kroków i spotkaliśmy po drodze chłopca litewskiego, do którego jeden z ułanów moich przemówił po polsku. Chłop ten błagał nas, ażebyśmy nie szli dalej w obranym kierunku, ale przeciwnie, radził nam, ażebyśmy skierowali się z powrotem i dojechali do wsi Studzianki, gdzie już bez przeszkody będziemy mogli przejść Berezynę. Dzięki wskazówkom tego chłopca, odnalazłem armię i oto znajdujecie mnie w gronie swoim.

Corbineau skończył, a Jan Oetting tak był przybity i przejęty, że drżał na ciele całym; czuł, że wszystkie oczy patrzą na niego ze zdumieniem, ciekawością i wstrętem. Tym ludziom wydało się nieprawdopodobnem, ażeby oficer cesarski błędzącym towarzyszom wskazywał drogę fałszywą, nie wierzo no też generałowi, zasypywano go pytaniami, ale on nie chciał cofnąć ani jednego słowa ze swego oskarżenia. Eugeniusz chciał przemówić w obronie adjutanta swojego, ale cesarz skinieniem ręki nakazał mu milczenie i sam z rękoma na piersiach założonemi podszedł wprost do Oettinga. Napoleon rozpoznał odrazu oficera, który w tak nieudolny sposób spełnił jego polecenie.

— Panie kapitanie! Wytoczono tu przeciwko panu skargę — rzekł zimno — trzeba się usprawiedliwić.

Oetting zaczął się jąkać, szukał wyrazów, ale nie znalazł żadnej odpowiedzi, wzburzony też Eugeniusz przyskoczył:

— Na miłość Boską, wytlómacz się przecie!



Cesarz z najwyższem zdumieniem spoglądał na Oettinga.

— Jakto? Pan nie znajdujesz żadnego usprawiedliwienia? Oskarżają tu pana o zdradę współtowarzyszów, o zdradę armii! Nie wierzę, aby w szeregach oficerów moich mógł się znaleźć człowiek, któryby zawinił tak ciężko. Czy wiedziałeś o tej mieliznie w Berezynie?

Oetting milczał uporczywie, wokoło również zapanało milczenie grobowe, aż nareszcie przez usta Jana przeszło zaledwie dosłyszalnie:

— Nie żądam odpowiedzi, Najjaśniejszy Panie! Generał Corbineau nie skłamał..

Cesarz odszedł z gestem, w którym nie było ani śladu gniewu i oburzenia—poprostu wstręt tylko uczuł, jaki odczuwać musi człowiek, gdy się dotknie zwierzęcia nieczystego. Przez usta Napoleona nakształt zgrzytu przebiegło:

— Domyślam się wszystkiego!..

Zwracając się zaś do generała Corbineau, rzekł:

— Powiedziałeś, że ten z czci wyzuty oficer znajdował się w towarzystwie kobiety! Pojmuję teraz, tą kobietą była—ona! Nareszcie wpadła mi w rękę jedna nitka tej pajęczyny, jaka mnie oprzędła. Cokolwiek się stanie, oczyszczę jeszcze armię z tego rodzaju szumowin.

Jan wstrząsnął się cały, każde słowo cesarskie było dla niego uderzeniem bicia, ale na ustach zamierały słowa, wyrzekł więc tylko:

— Sire..

Ale cesarz, jak gdyby nie słyszał tego nawet, zwrócił się do dwóch gwardzistów przybocznych:

— Grenadyerzy, weźmiecie tego człowieka pod obserwacyę, odbierzecie mu szpadę i odznaki oficerskie, żandarmi połowi wsadzą go na wóz, na którym przebywać będzie do czasu przejścia przez Berezynę! Po tamtej stronie rzeki zwołany będzie sąd wojenny, który orzeknie, jak postąpić z człowiekiem, zdolnym do przewinienia, o jakim nie słyszano dotąd w armii mojej. Zanim jednak to nastąpi, chcę wysłuchać twojego zdania, mój synu—dokończył spoglądając na Eugeniusza, ale wicekról Włoch żałośnie tylko spojrział na Oettinga i rzekł:

— Wola waszej cesarskiej mości jest dla mnie rozkazem.

Nikt nie odezwał się w obronie Oettinga, wszyscy stali, jakby w ziemię wrosli. Dwóch grenadyerów podeszło do Oettinga, ujęło go za ramię i odprowadziło na pół żywego w stronę obozu, Napoleon zaś, chcąc jaknajprędzej zatrzeć wrażenie sceny niemiłej, mówił:

— A teraz, moi panowie, skoro los dał nam w rękę sposób wyjścia z matni, należy nam użyć wszystkich sił, ażebyśmy godnie zasłużyli na ten przebłysk szczęścia! Pod Studzianką przekroczymy rzekę!

Cesarz ożywił się, gdy to mówił, oczy jego błyszczały, dawna bezradność zniknęła i znać było, że umysł jego pracował teraz bardzo, a wyobraźnia widziała nowe perspektywy szczęścia. Corbineau zesłany był z nieba, jego słowa powinny przynieść armii ratunek!

— Generał Eblé uda się natychmiast z saperami i żołnierzami marynarki do Studzianki! Ja z moją gwardyą wyruszę natychmiast za nimi, za mną Polacy, potem korpusy Davouta i Oudinota! Marszałek Victor zakryje nam tyły, maruderzy skierowani będą w tę samą stronę! Artylerya, wozy, amunicja, zapasy żywności — wszystko pomarszeruje do Studzianki!...

Jan Oetting spokojnie wyczekiwał rozegrania się losu swojego. W pół godziny później biednego adjutanta z głową obnażoną prowadziło dwóch żandar mów przez ulice Borysowa. Wszyscy żołnierze przypatrywali się temu pochodowi, ale jego nie obchodziło nic w tej chwili; on wiedział, co go czeka... Sąd wojenny, pozbawienie czci, wyrok, który nie mógł brzmieć inaczej, jak tylko: „Śmierć!“ Mniejsza o śmierć! Gdybyż ona nie była związana z pozbawieniem czci!...

Jan zadumał się nad sobą, wspomniał sobie palące pocałunki i włosy jasne pięknej Polki i twarz skrył w dłoniach.

Na rogu ulicy ukazał się jeździec, który wprost kierował się ku niemu. Marceli Deslords, stary i wier ny przyjaciel, zeskoczył z konia i zbliżył się ku grenadyerom.

— Nie dotykaj mnie!—zawołał Jan—nie dotykaj ręki mojej.

— Na Boga! Co ma znaczyć to wszystko? — zawołał Deslords przerażony.

— Skończyło się! oddany jestem pod sąd wojenny i oskarżony o zdradę.

Marceli spojrział, a chociaż nie rozumiał wszyst-



kiego, to jednak straszne przeczucia zaczęły nim miotać.

— Przyjacielu!—krzyknął—zbawienie duszy oddałbym za to, ażebym się mylił w tej chwili! Ciebie zgubiła piękna Polka!

Jan nie odpowiedział nic, jeno smutnie pochylił głowę. Żandarmi nie chcieli pozwolić na dalszą rozmowę, ale ulękli się piorunującego wzroku Deslordsa, który wskazawszy ręką na krzyż rozpięty na pierśsiach, nakazywał dla siebie posłuszeństwo. Żandarmi salutowali pokornie, a wtedy Jan rzekł:

— Ja tę kobietę kocham... nad życie, ale nie... nad honor!...

— Dlaczegoż nie zabiłem jej w Moskwie!—zawołał Deslords rozpaczliwie. — Głupcem byłem, myśląc, że ciebie i ją wybawię! Dziś widzę, że to istota nędzna, podła! W pogoni do słońca jej oczu nawet aniołowie opalić sobie mogą skrzydła! Nie ty zbłądziłeś, ale ja zawiniłem! Opowiedz mi teraz wszystko, nie tając niczego!

I Jan, który przed sobą widział tylko śmierć, najskrytsze myśli, każdy krok swój nawet, odsłonił przyjacielowi, nie zapominając dodać o swoim nieszczęśliwym spotkaniu z generałem Corbineau.

— Teraz skończyło się wszystko! Kto raz uczynił krok fałszywy, ten już bez zastanowienia pędzi w przepaść. Kochałem ją do szaleństwa i dziś jeszcze kocham, a cokolwiek się stanie, nie będę żałował życia.

Jan, złamany zupełnie, zamilkł, major zaś długo i czule patrzył w twarz jego. Co się działo w duszy starego wojaka wtedy, gdy najlepszego, najwierniej-

szego przyjaciela swojego zobaczył odartym z czci, nie odgadł nawet Oetting. Może łza cisnęła się na oko, może rękę chciał wyciągnąć z przyjaźnią, ale trwało to krótko; po chwili Deslords był znów lodowato zimny.

— Zawiniłeś ciężko! — rzekł — wina twoja jest oczywista! Żaden oficer armii naszej nie postąpiłby w ten sposób! Wolno ci było w ogień lecieć za tą kobietą, ale przemilczeć o przejściu przez Berezynę wtedy, gdy los całej wielkiej armii zawisł od tego, to zbrodnia.

— Wiem o tem! Nie męcz mnie dłużej! Życie swoje skończyłem i o jedno cię tylko proszę: Jeżeli wrócisz do kraju i jeżeli przechodzić będziesz przez Niemcy, to zabierz z sobą kilka listów i nie mów krewnym moim o takim strasznym końcu! Powiedz, że padłem w bitwie, na polu chwały!..

Deslords zacisnął pięści i krzyknął, spoglądając na niebo:

-- Ach! Boże! daj, ażeby ta Polka raz jeszcze wpadła w ręce moje.

Oetting uśmiechnął się smutnie.

— Zapóźno, przyjacielu! Ona już bezpieczna w obozie rosyjskim — i westchnął ciężko. — Wiedziałem o tem, że za słaby jestem, ażeby się jej oprzeć.

— O tak, słabość twoja cię zgubiła — przerwał mu Marcell, a po chwili dodał:

— Czyżby żadnego już nie było ratunku, czyżby cesarz, czyżby wstawiennictwo wicekróla nic nie mogło działać?

Oetting smutnie machnął ręką.

— Prózne zabiegi! Powiedz sam, czy nie ukarałbyś takiego przestępstwa?

— Musiałbym ukarać, jeżeli bowiem teraz spóźnimy się bodaj o sześć godzin i jeżeli armia rosyjska ubiegnie nas nad brzegiem Berezyny, to twoja jedynie będzie wina! Gdybyś bowiem objaśnił nas w porę o mieliznie, dziś już bylibyśmy po drugiej stronie rzeki! I to uczynił człowiek, którego wicekról Eugeniusz uważał za wzór wszystkich oficerów armii...

Deslords milczał długo, wreszcie pochylił się na koniu i zbliżając usta swoje do ucha Oettinga, rzekł szeptem:

— Janku! jest sposób wydobycia się z rozpaczy! Pistolet mam w kieszeni, jeżeli chcesz, doręczę ci go w tej chwili, żandarmi nie patrzą na nas...

Jan spuścił głowę i wahał się przez chwilę, wreszcie podniósł wzrok ku niebu i rzekł po długiej walce:

— Nie! Infamii nie zniosę na nazwisku mojem! Najprzód muszę się oczyścić, a potem umrę spokojnie...

Straszne były te minuty dla obu przyjaciół, aż nareszcie Deslords zapytał:

— Dokąd cię prowadzą?

— Podążę do Studzianki na wozie...

Major tak silnie ścisnął rękę przyjaciela, iż zdawało się, że się wszystkie chrząstki w niej połamią.

— Janku! zabrakło mi łez w oczach i nie umiem już płakać ani nad sobą, ani nad tobą! Armię naszą czeka klęska, cesarza widzę w niewoli,



a czy za tydzień ktoś z nas będzie przy życiu, to już jeden Bóg wie tylko w niebie!...

— A więc o jedną proszę cię łaskę! Wóz, na którym mnie pomieszcza, postaw o dziesięć kroków przed armatami rosyjskimi! Wszakże mam prawo żądać takiej śmierci! Mogłem być zbiegiem i dziś bezpiecznie przebywać w obozie nieprzyjaciół! Nie uczyniłem tego, chcę umrzeć wśród towarzyszków!

Deslords namyślał się długo i stanąwszy w strzemiionach, że aż Emir zdziwiony w bok skoczył, raz jeszcze uściśnął rękę przyjaciela.

— Odszukam cię pod Studzianką! To jedno, co mogę uczynić dla ciebie!

— Byłeś mi zawsze wiernym towarzyszom, jak Łazarz proszę cię więc teraz o śmierć na polu chwały!

Deslords nie śmiał już więcej podać ręki dawnemu przyjacielowi, wspiał konia i zawołał:

— Postaram się, ażebyś umarł od kuli rosyjskiej!

---

## Mosty pod Studzianką.

- Czy to Studzianka?
- Tak jest, Najjaśniejszy Panie!
- A czy zaczęto już budować mosty?
- Przed godziną, sire!
- Za późno trochę!

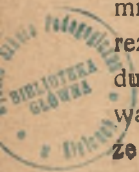
Cesarz konno udał się na wzgórze niewielkie, z kąd roztaczał się widok na Studziankę. W tem miejscu i na tym wązkim pasie ziemi rozegrać się miał los „wielkiej“ armii. Rozglądanie się po okolicy utrudniała mgła, panująca od samego rana i powodująca, że wszystko było mokre, ponure; członki ludzi kostniały. Małe płyty śnieżne sływały bez przerwy z nieba, na drogach rozpostarła się ślizgawica i cesarz widział, że przeprowadzenie w tych warunkach koni wymagać musi niezmiernej przezorności jeźdźców. Wiatr przytem wiał północny miotał płaszczami konnicy i tamował oddech.

Lasek sosnowy, ciągnący się nad lewym brzegiem Berezyny, kończył się przed samą Studzianką.

Odtąd rozpościerały się łąki, po części zalane wodą, i tylko gdzieniegdzie wystrzelały z pod wód oschłe lodygi krzewów. Cały brzeg pokryty był cienkim, brunatnym lodem, z po za którego wyglądały rośliny, a ten lód gromadził się w warstwy wielkie nad samym brzegiem i, siłą prądu wyrzucany, osiadał na łąkach.

W ciągu doby rzeka przybrała znacznie; Beresyna rozlała się szeroko, zamieniając okolicę w rodzaj moczarów, i tylko gdzieś, daleko przed okiem Napoleona, widniały kontury lasów Stakowa. Pusty jeszcze przed kilku dniami brzeg zaczął się ożywiać, a Studzianka równała się w połowie pogorzelsku, wśród którego bładzili z włosami rozwianymi mieszkańcy wioski. Dachy domów zerwane, powaly pozbawione belek, drzewo z okien i ścian wyrwane i nagromadzone w jednym miejscu nad brzegiem, krzywdą zaś tą mieszkańców zbudowane być miały mosty pod Studzianką! Nie pytano się o pozwolenie właścicieli domów, ale już o świcie zaczęły we wsi gospodarować oddziały gwardyi, marynarka i pułk Polaków, całą bowiem trudność przedstawiało nagromadzenie materiału do mostów, które miano budować pośpiesznie.

Napoleon widział, że generał Eblé konno wjechał w wodę, aż koń grunt prawie tracił pod nogami, Eblé chciał rozpoznać głębokość i siłę prądu Beresyny. Pierwotnie myślano o tem, ażeby, ze względu na artyleryę i liczne wozy z amunicją, pobudować trzy mosty, od zamiaru tego odstąpiono jednakże wkrótce, i poczytanoby za wielkie szczęście, gdy





by dwa mosty zdołano postawić, zanim nadejdą Rosyanie.

Saperzy mają dziś dzień gorący, wiedzą też ci ludzie o długich, ciemnych brodach i twarzach ogorzałych, jak pracować młotem i piłą, ażeby dokonać zadania. Przecież tu chodzi o uratowanie „wielkiej” armii!

Co dwie godziny zmieniają saperów, niełatwa to bowiem rzecz budować most, gdy woda ścina się ustawicznie, a kry biją w ciało. Zwolnionych od pracy przeprowadzają do szałasów, gdzie pośrodku pali się wielkie ognisko, a wokół rozłożono słomę i kołdry. Sam cesarz przysyłał im wino dla rozgrzania.

Ci ludzie potrzebują dziś sił prawie nadludzkich, generał Eblé popędza ich ustawicznie do roboty, i jemu się spieszy, i saperom się spieszy.

Robią, co mogą...

Na kozłach, wysokości od trzech do dziewięciu stóp, potrójnie kładziona jest warstwa bali, łączonych z sobą klamrami drewnianymi i łańcuchami. Na tej warstwie układa się siano lub konopie, co ma zapobiedz wszelkim wstrząśnieniom, mosty bowiem muszą być silne, ażeby siedemdziesiąt tysięcy ludzi z armatami, wozami i końmi mogło przejść bezpiecznie.

Saperzy niejedno przekleństwo wyrzucili z ust swoich na krę, wzmagającą się ustawicznie, pomimo to jednak ustawili dwadzieścia trzy kozły i most przygotowali do tego stopnia, że mogła po nim przemarszerować piechota. Potem złączą budować drugi most dla jazdy, artylerji i wozów.

Cesarz patrzył na tę pracę swoich wiernych żołnierzy, a odłożywszy lunetę od oka, zapytał gene-

rała Corbineau, który służyć miał za przewodnika przy przeprawie:

— Czy nie widać jeszcze patroli nieprzyjacielskich?

— Nie, Najjaśniejszy Panie! Dziś rano przeprawili się przez rzekę Polacy i oficerowie konnicy mojej i nie dostrzegli nic niebezpiecznego. Wprawdzie przy skraju lasu zauważono ciemną jakąś masę, która...

— Która oznaczać może nieprzyjaciela—dokończył cesarz.

— Nie jest to niemożliwe, Najjaśniejszy Panie! Znać było, że Napoleon najwięcej obawia się tego, ażeby Czyczagow nie dostrzegł, że cała armia chce się przeprawić pod Studzianką, wtedy bowiem wódz rosyjski oczywiście skoncentrowałby wszystkie siły swoje na brzegu przeciwnym. Za jakąbądź przeto cenę należało wstrzymać pochód Czyczagowa, dopóki mosty nie będą gotowe.

— Niechaj kirasyerzy i ułani polscy udadzą się o pół mili w górę rzeki i udają, że chcą przejść przez Berezynę — zakomenderował cesarz. — Niechaj zabiorą z sobą wozy, przybory wszelkie i wielką ilość drzewa! Maruderom rozkazać, ażeby poszli również w tę samą stronę! Victor ma się trzymać jak najdłużej w Borysowie.

— Stanie się wszystko podług rozkazu waszej cesarskiej mości—odparł generał Corbineau.

Napoleon raz jeszcze wziął lunetę w rękę i rzekł:

— Na drugim brzegu rzeki, na skraju lasu, ustawić należy dwie baterie, oszańcowane drzewem,

ażeby nieprzyjaciel z tej strony napad miał utrudniony. Nie rozumiem, dlaczego dotąd nie uczyniono tego—dokończył, zwracając się do Ney'a.

Marszałek zaczął zapewniać, że już przy rozpoczęciu budowy mostów wysłał 400 ludzi z tratwami, że jednak ci ludzie napotkali na grunt tak bagnisty, iż wszelka praca stała się niemożliwą.

Napoleon skinął głową, ale znać było, że z takiego przebiegu jest mocno niezadowolony. Wogóle ci, którzy lepiej znali cesarza, łatwo mogli spostrzedz po urywanym sposobie mówienia, iż cesarz w najwyższym stopniu jest rozdrażniony.

Nie rzekłszy ani słowa więcej, Napoleon skierował się ku jednemu z domów chłopskich w Studziance, gdzie po zburzeniu dachu naprędce zbudowano rodzaj chatowni. Oko jego rozweseliło się, gdy widział wokoło biwaki i rozpalone ogniska obozowe, wszystko to bowiem przedstawiało widok prawidłowego obozu. Zadowolenie trwało jednakże niedługo, ciemna linia bowiem na południu lasu niepokoiła go coraz więcej, pomimo to machnął ręką i rzekł do siebie:

— Głupstwo! To najwyżej trzy lub cztery baterye kozackie! Rosyane jeszcze daleko są od nas, nie zwykli oni marszerować szybko, tu zaś mam do czynienia z garstką, nie przenoszącą pięciuset ludzi.

Marszałkowie nie pytali więcej, wiedzieli bowiem doskonale, że nikt tak dokładnie nie oblicza odległości i siły korpusów, jak cesarz. Napoleon rzekł jednak doniosłe:

— Pomimo wszystko, moi panowie, przygoto-



wani być musimy na bitwę, siły też wszelkie wyteżyć należy, ażeby obsadzić pagórki, sprowadzić wszelkie ambulanse i rozstawić baterye, — zwracając się zaś na lewo, zawołał:

— Panie marszałku Oudinot!

— Jestem na rozkazy, Najjaśniejszy Panie!

— Jakie oddziały armii najzdolniejsze są do boju?

— Polacy i Niemcy, sire!

— A więc im powierzy się najważniejsza robotą! Marszałek Victor niechaj pilnuje tyłów armii! Wszystkie wzgórza Studzianki obsadzić baterjami, na głównym trakcie, po którym przybyć może Wittgenstein, ustawić czworobok z artylerji! Dać im do pomocy „bukiety!“

„Bukietami“ nazywał cesarz dwie wielkie baterye, na których zwykł opierać całą linię bojową.

Dalsze rozkazy cesarza brzmiały:

— W tej chwili wysłać sztafety do Wilna, ażeby Maret skierował ku nam Włochów i Bawarczyków! Kanonierzy niechaj nie żałują amunicji! Szwadrony, które są zdziesiątkowane, posiadają z koni i oddadzą je nieodzownie potrzebnym mi teraz kirasyerom! Przedtem wysłać pułki jazdy niemieckiej, jako posiadającej konie najlepsze i jako oddziały wypoczęte!

— Czy z maruderów, pomimo wielkiej trudności, nie możnaby zebrać kilku oddziałów i przyprowadzić ich?—zauważył Ney.

— To już obojętne! Zostawić ich tutaj nie możemy i jeżeli będzie potrzeba, użyć należy gwałtu, ażeby maruderów przyłączyć do armii. Wrazie,

gdyby kozacy w większej ilości zaczepić nas mieli, niechaj piechota w czworobokach pójdzie na bagnety, to ich odstraszy. Działa połowe i lawety, o ile to możliwe, wziąć na sanki! Resztki pułków francuskich pomieszać z polskimi i niemieckimi, oddziała to szczególnie dobrze na ociężałe pułki niemieckie! Kawalerya uderzać musi tym razem nadzwyczaj gwałtownie i bez zastanowienia! Teraz niewolno nam brać w niewolę! Należy jedynie zabijać!..

Każde słowo cesarza z szybkością błyskawicy roznosili adjutanci po pułkach, marszałkowie znów zaś poznali lwa z pod Wagram i Austerlitz.

Inna atmosfera zapanowała w armii, gdy cesarz rozkazał przynieść czerwoną tablicę drewnianą, na której szybko skreślił plan całej okolicy. Ufano, że geniusz Napoleona i tym razem znajdzie środki do rozwiązania zadania i do uratowania tych siedmdziesięciu tysięcy, które teraz w oczy cesarskie patrzyły jak w tęczę! Wszystko zależało od tego, czy pozwoli się wywieźć w pole Czyczagow i czy Napoleon zyska 30 godzin czasu na wybudowanie mostów. A z tych oczów cesarskich biła bezgraniczna pewność siebie.

Napoleon wzrok podniósł w górę i przyglądać się począł stojącym obok marszałkom: Muratowi, Neyowi i Oudinotowi. Szczególniej szwagra swojego badał z uśmiechem ironicznym, czuł bowiem, że Murat do tej chwili nie może zorientować się w położeniu.

— No i cóż myślisz—zagadnął, szpicrutą wskazując na Berezynę — czy nie wydostaniemy się z tej pułapki?

Murat wzruszył ramionami, a twarz jego nie wyrażała bynajmniej zaufania do trzęsących się na moście desek.

— Jeżeli Rosyanie przepuszczą nas — rzekł — to dadzą tylko dowód, iż o sztuce wojennej mniejsze mają wyobrażenie, aniżeli najprostszy kapral z piechoty naszej.

— A jednak ręczę, iż nam się powiedzieli!

Napoleon spokojnie udał się teraz nad rzekę, ażeby przyjrzeć się postępowi robót przy budowie mostu, Murat zaś pojąć nie mógł, zkąd w chwili takiego niebezpieczeństwa znalazła się pogoda umysłu u jego szwagra.

Jeden za drugim nadciągać zaczęły do Studzianki oddzielne korpusy armii, na przodzie resztki gwardyi, potem wojska Davout'a i Oudinot'a. Napoleon ciągle przyglądał się i badał roboty saperów, po chwili zaś zapytał generała Eblé:

— Czy prędko skończymy?

— Jeszcze potrzeba czterech do pięciu godzin, ażeby zabezpieczyć pierwszy most, drugi nie będzie prędeż gotowy, aż dopiero jutro rano. Prąd jest zbyt silny, Najjaśniejszy Panie!

— Ależ to wszystko trwa mi już za długo!

— Nie może być inaczej.

Cesarz przygryzł wargi i raz jeszcze mruknął:

— Trzeba pośpieszać, ta robota trwa stanowczo za długo!

Eblé wzruszył ramionami.

— Ludzie moi aż do ramion prawie stoją w wodzie, weszliby zaś aż po szyję, gdyby się nie mu-



sieli zabezpieczać przeciwko krom lodowym. Wkrótce zabraknie wina i wódki do rozgrzewania.

— Dosyć! — krzyknął Napoleon, który nie lubił, ażeby w tak ważnej chwili czyniono jakieś refleksye.—Bacz na to, ażeby skończyć, generale, w twoich bowiem rękach spoczywa zbawienie armii. Dzielnym ludziom twoim nie odmówię krzyża, gdy wybrniemy z tego położenia.

— Nie wielu ich zostanie po takiej pracy, Najjasniejszy Panie, chociaż wszyscy bez wyjątku zasłużyli sobie na tę łaskę.

W głosie generała Eblé znać było taką boleść, jak gdyby ten człowiek przeczuwał, że w ośm tygodni później sam umrze wskutek przeziębienia się podczas przeprawy przez Berezynę.

Saperzy pracowali ponad siły. Pomimo zimna dotkliwego, pot strumieniami lał się im z czoła i spadał brudnymi kroplami po twarzach kurczowo skrzywionych i po przesiąkniętych wilgocią mundurach. Ostre kanty kry rozcinały i krwawiły im ręce, wybijały sińce na ciele. Prąd porwał z sobą już trzech ludzi, a nie można ich było nawet ratować, każda minuta bowiem jest droga, i chociażby wszyscy padli, most musi być ustawiony.

Marszałkowie zdaleka przypatrywali się tej robocie, a Murat na widok tego poświęcenia nie rozchmurzył czoła swojego.

— Źle zrobił cesarz, że nie usłuchał rady Polaków! — rzekł. — Poniatowski miał rację, gdy mówił, ażeby przeczekać zimę!

— To gorsza trochę sprawa—dodał Oudinot—aniżeli zasy py śnieżne pod Eylaul

— Gorsze nawet, niż oblężenie Genui—wtrącił Davout.

— Powiedźcie, że gorsze nawet, niż przejście przez Tag — dodał Corbineau, który bił się w Hiszpanii.

— Gdybyż przynajmniej Czyczagow zostawił nam tyle czasu, ażebyśmy mogli most wybudować.

Ta jedna myśl opanowała teraz umysły wszystkich.

Spojrzeli na cesarza, a ten nie wypuszczał lunety z ręki i dumiał na tem, czy admirał rosyjski da się wywieźć w pole i ile dni spotrzebuje na to, ażeby zorientować się w położeniu. Może dwa dni, może jeden, a może tylko sześć godzin!

Napoleon usiadł na stosie z desek złożonym i ciągle przypatrywał się ruchom pił, jedyne zaś zdanie, jakie wybiegało na jego usta, brzmiało:

— Stanowczo trwa mi to wszystko za długo!

Konnica z korpusu Oudinot'a i pułk Szwajcarów, przechodząc mimo, grzmiącym okrzykiem witały cesarza: *Vive l'Empereur!* ale on ani nie zważał na to. W uszach jego brzmiały teraz ciągle słowa Maryi Walewskiej, zwiastujące klęskę.

Siedząc na deskach, rozwiązywać począł zadanie wojenne i nie rozumiał, dlaczego kardynałna zasada jego, uderzanie z impetem głównego korpusu, przy zaniedbaniu skrzydeł, zasada, która nie zawodziła go nigdy, miałyby go zawieść właśnie w Rosyi. Boki armii były mu zawsze obojętne w bitwie, w ten sposób w roku 1806 uderzył na Berlin, w r. 1805 na Wiedeń.

Tymczasem teraz Wittgenstein z północy, a Czy

czagow z południa właśnie zaczęli tylko flanki, odcięli od głównego korpusu i zmylili plan cały. Czyżby zasada była mylną? Nie! W rozumowaniu cesarza nie jest to zasługą wodzów rosyjskich, ale Jérôme popełnił głupstwo pod Dynaburgiem i Murat zniszczył niepotrzebnie konnicę całą. Teraz tensam Murat czyni mu uwagi i drży o koronę swoją i bogactwa, jak drżą ci wszyscy, których cesarz z niczego wyprowadził na władców świata. I za wszystkie błędy Napoleon sam jeden płacić musi wyteżeniem sił swoich!

Zły i zgorzkniały patrzył Napoleon przed siebie, powtarzając ustawicznie: „Ta robota idzie zbyt powolnie!”

W tej chwili w pełnym galopie zbliżył się do cesarza generał Corbineau.

— Cóż cię sprowadza?—zapytał cesarz.

— Najjaśniejszy Panie! Otrzymałem w tej chwili wiadomość, że na skraju lasu ukazał się nieprzyjacieli!

Zaroilo się, jak w mrowisku. Cesarz w tej chwili udał się na wieżę czatowni, konnica i piechota stanęły gotowe do marszu. W najgorszym razie można będzie przeprowadzić się przez most niedokończony i zasłonić przejście dalszych pułków.

Na szczęście przekonano się, że był to alarm fałszywy. Gromada koni stepowych, pół dzikich, a nie należących do rzadkości w tych okolicach, nagle wybiegła z lasu, trwożąc forpoczty francuskie, które sądziły, iż mają do czynienia z jazdą rosyjską. Pomimo to Napoleon nakazał wysłać rekonesanse, któreby się przekonały, czy Czyczagow udał się w gó-



rę rzeki, i czy nie powraca w kierunku Studzianki. Marszałkowie radzą w dalszym ciągu nad położeniem, a zdania ich są podzielone, co do możliwości przejścia przez Berezynę.

— Kto to może wiedzieć, jakie licho śpi w tym lesie, który podobno ciągnąć się ma kilkanaście mil wokół. Las ten jakgdyby umyślnie stworzony dla przechowywania armii nieprzyjacielskiej.

— Nie ma obawy! Zdażmy tylko okopać się dobrze w dwóch miejscach, na każdym szańcu postawmy po ośm armat, a to wystarczy!

— Armia rosyjska zwykła marszerować jak zółwie.

— Klęską armii naszej są teraz maruderzy — zauważył Oudinot, co wywołało uśmiech gorzki na ustach Ney'a.

— Powiedz pan raczej, że armia nasza jest klęską dla maruderów.

Cesarz postanowił nie przeprowadzić się wcześniej aż nie zgromadzi się odpowiednia siła wojenna, a to nastąpić miało dopiero nazajutrz, w Studziance przeto przygotowano dla cesarza kwaterę.

Już o zmroku nadciągnął książę Eugeniusz z resztkami swojego korpusu. Był tam batalion Deslordsa pułku 84-go, Westfalczyki, konnica polska i czoło korpusu Victora, które opuściło Borysów. Za księciem Eugeniuszem ku mostowi, który miał zapewnić ratunek, zbliżała się artylerya, furgony i bagaże, wszystko to zaś tworzyło tłum bezładny, cisnący się na trakcie ku Studziance wzdłuż Berezyny. Wymyślania, krzyki, przekleństwa krzyżowały się we wszystkich językach, a każdy z ludzi śpie-

szył się, ażeby być pierwszym przy ucieczce z tej niedoli. Rzenie koni zagłuszało krzyk kobiet i dzieci, uderzenia batów zagłuszały wołania oficerów, wozy, naładowane kosztownościami, potraçały o piękne, wylakierowane karety, słychać było jęk rannych, rżenie konających i nikt nie wiedział, jak zaradzić boleściom tych ludzi. Wstrętny widok przedstawiają tak zwani „Rôtisseurzy,” zebrani ze wszystkich korpusów armii. Szkielety te ludzkie, w łachmanach, któremi wiatr pomiata, trzęsą się na całym ciele z zimna i przytulają się do siebie, okrywając się wzajemnie szmatami ubrania. Rzadko który z nich w worku płóciennym niesie odrobinę żywności, reszta żyje psim swędem. „Rôtisseurami” zaś nazwano ich dlatego, że podczas wypoczynku bezmyślnie grupowali się około ognisk i najchętniej piekli sobie padlinę końską. Wobec nich nawet marszałkowie i generałowie stawali się bezsilni, ludzie ci bowiem zatracili pojęcie o subordynacyi i tym sposobem tworzyli żywioł niebezpieczny w armii; tu też w całej jaskrawości występowały sztuczne szwy *wielkiej* armii napoleońskiej.

Kirasyerzy gwardyi eskortowali wozy, zawierające bogactwa domu cesarskiego, cały skarb armii, trofea moskiewskie, a za nimi znów w największym nieładzie szły kolumny z amunicją. Jedyne czapki niedźwiedzie gwardyi umiały wywalczyć sobie respekt, roztrącały też wszystko, co im stanęło w drodze, i dla tego szczerze nienawidzone były przez resztę wojsk.

— Święta Urszulo!—zawołał dragon bawarski,

Malinger, gdy przy boku Deslordsa ujrzał pierwsze domy Studzianki.

— Jakże my się tu przeprawimy?

Marceli nic nie odpowiedział, ale przez głowę przebiegła mu myśl, że przecież przy tym nieporządku część utonie, a część udusi się niechybnie.

Żandarmi, ustawieni nad rzeką, starali się utrzymać porządek. Marceli i Malinger stanęli nad brzegiem rzeki i patrzyli smutnie na krę, gromadzącą się w coraz większej ilości. Deslords, który od czasu ostatniej swojej rozmowy z Oettingiem stał się więcej jeszcze skrytym i milczącym, tym razem rzekł poufale:

— Trzeba nam się teraz, mój kochany Malingerze, trzymać za ręce, trudne tu bowiem będzie przejście i tylko siłą można sobie torować drogę.

— Jeżeli tylko chodzi o siłę, to moje ramiona przydadzą się na coś jeszcze.

— Ostrzeż pozostałych towarzyszków, ażeby trzymali się w zwartym szeregu, pojedynczo żaden z nich sobie nie poradzi.

Deslords udał się do zwierzchników, ażeby poinformować się o godzinę wyznaczoną dla przemarszu. Nie umiano go objaśnić, powiedziano tylko, że drugi most nie jest gotowy jeszcze i że tymczasem na drugą stronę przeprawili się tylko kirasyerzy Doumerca, konnica Oudinota i 7-my pułk piechoty polskiej. Otrzymawszy te informacje, Marceli udał się do batalionu swego, nic nie wiedząc, że w tej samej chwili ku cesarzowi podjechali dragoni, wysłani na rekonesans, z oznajmieniem, iż Czyczagow, który z początku dał się zwieść manewrem i skiero-

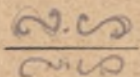


wał w górę rzeki, poznawszy wybieg Francuzów, zawrócił i postanowił marszerować ku Studziance. Równocześnie „Eclaireurzy“ od strony północnej przynieśli wiadomość, że Wittgenstein nadciąga z armią swoją, mając wyraźne czucie z główną armią Kutozowa.

Cesarz z zimną krwią wyciągnął zegarek z kieszeni i zaczął w myśli obliczać.

— Teraz—rzekł—nie lękam się niczego, jesteśmy dość silni, ażeby stawić im czoło.

Pięć armij, które tak długo przyglądały się sobie wzajemnie i okręzały siebie, zbiegły się teraz w jednym punkcie, postanawiając walczyć do ostatniej kropli krwi.



## XVI.

### Znak zapytania...

---

Pilnemu badaczowi dziejów z nieprzepartą siłą ciśnie się na usta pytanie, po co i dlaczego ta masa głów ludzkich, licząca przeszło dwakroć sto tysięcy, zebranych ze wszystkich ludów Europy żołnierzy, stanęła do boju, po co i dlaczego wypowiedziała sobie wzajemnie walkę na śmierć i czemu właśnie taka rzeczka mała, w jakimś zapadłym kącie Litwy, miała stać się sławną po wieki całe? Przy nowożytnym tyranie stanęła cała młodzież Europy zachodniej, i ona, na której powinna była spoczywać przyszłość narodów, pośpieszyła na wschód, ażeby uczestniczyć w wyprawie awanturniczej i ażeby krwią swoją broczyć śnieg, rozścielający się na przestronnych polach. Zachód, który wystawił armię, jakiej nie było dotąd, cesarz, który zgrupował koło siebie cały kwiat inteligencji, przedstawiciele rodów i bogactw—uległ chłopom uzbrojonym z pod Tuły i Symbirska. I znów powtórzyła się walka dwóch światów: Wschodu z Zachodem, a ten Wschód jeszcze raz złożył

dowód w historii, że za klęski poniesione mścić się umie straszliwie. Persowie i Fenicyanie dotarli aż do oceanu Atlantyckiego, Kartagina podbiła pobrzeże Rodanu — Zachód tej potędze przeciwstawił Rzym. Nie mogąc inaczej zgnieść siły Państwa Rzymskiego, ze Wschodu poszli najgnuśniej si przedstawiciele; Helio Gabriele i Konstantynowie zajęli tron cesarzów, Byzancyum zajęło miejsce Rzymu. Pod postacią religii nowej Zachodowi całemu grozić począł Islam, który tylko z trudem dało się zwalczyć państwu Franków. W wiekach średnich znów Wschód bierze górę, a rozum Saladyna zawstydza rycerzy krzyżowych. Ludzie ze Wschodu zajmują Konstantynopol, rozprzestrzeniają się po Węgrzech i Sycylii. Zachód wyteęza wszystkie siły i nastaje era, zwana „Odrodzeniem,“ dawne bitwy z Mongołami powtarzają się pod bramami Wiednia i na polach Jenty i Wschód sprawę przegrywa. Z Zachodu tymczasem nowe płynie życie, spowodowane rewolucją francuską, świat cały przebiega nowy prąd nowych i wzniosłych idei, a Wschód milczy pozornie, ale siły jego są tajemnicze i nieobliczone.

Napoleon doświadczyć miał na sobie potęgi Wschodu. Cios był straszny, a nazwisko jego — Berezyna.

Nic w historii nie dzieje się bez myśli i planu, w życiu zaś narodów zawsze powtarza się jedna i ta sama walka.

Cesarz dobrze wiedział, co czyni, przekraczając Niemen na czele armii czterechkroć sto tysięcy, on pragnął uwieńczyć dzieło zwycięstwem nad Wschodem. Żadnej kampanii nie rozważył tak szczegóło-



wo, z żadną nie wahał się tak długo, a jednak widział się teraz osaczonym. „Dotąd—i ani kroku dalej!” — zdawało się mówić przeznaczenie, ale ten geniusz wojenny nie chciał popaść w omdlenie.

Lipsk, wygnanie na Elbę, Waterloo — to już tylko odruchy Iwa konającego, właściwy wyrok na kartach historyi wypisał mu Wschód — Berezyna.

Stojąc teraz nad brzegiem tej rzeczki małej, potężny władca zadumał się nad losem swoim. W ocalenie swoje nie wątpił, przeciwnie, liczył na to, że nawet w razie przegranej, Francya nową wystawi mu armię, a Europa i nadal posłuszną mu będzie na każde jego skinienie. Pomimo to czuł, że tem, czem był jeszcze przed pięciu miesiącami, nie będzie już nigdy. Wielkie plany zaborcze, panowanie nad światem całym, pomiatanie królami i gnębienie narodów — wszystko to wysuwa mu się z ręki, ginie też urok niezwykłości.

Straszna musiała to być chwila w życiu tego największego geniusza politycznego z czasów najnowszych. Geniuszowi takiemu potrzeba było zawsze zwycięstw i powodzenia, rozum bowiem ludzi zwykłych tylko wtedy skłania się ku postaciom niezwykłym, gdy im towarzyszy szczęście. W swoich oczach, nawet w razie przegranej, nie tracił Napoleon nic, ale w oczach świata całego aureola, rozpięta nad jego głową, zacznie w mgłę się rozwiewać.

Na dnie małej rzeki, pod skorupą lodową, znajdzie się grób dla cesarstwa...

Inną Europa przybrałaby postać, gdyby nie ta katastrofa! Nie ulega wątpliwości, że gdyby Napo-

leon wytrwał był do wiosny w Rosyi i gdyby z wypoczętymi siłami podjął wtedy kampanię, cios wymierzony Rosyi byłby druzgoczący. Ostatni sprzymierzeniec, jakim była podówczas Anglia, odsunąłby się od zwyciężonych, a na zachodzie i południu potworzyłyby się królestwa i księstwa niezależne. Anglia, ten największy wróg Napoleona, nie mogłaby dłużej prowadzić wojny. Już przy początku 1812 roku skarb angielski był opróżniony, handel do połowy zniszczony z powodu zamknięcia portów europejskich, państwo zadłużone, lud szemrzący.

Nie ulega wątpliwości dziś, że ta fala, która unosiła dotąd Napoleona i pchała go aż do brzegów Dniepru i Moskwy, zaczęła tracić swoją siłę popychającą. Falą tą była rewolucya francuska. Idee o zrównaniu stanów, emancypacyi ludów i t. p. weszły w ducha i krew tych setek tysięcy, tworzących wielką armię Napoleońską. Teraz, kiedy tym ludziom, zagrzanym ideami wzniosłemi, stanął murem surowy konglomerat ludów wschodnich, fala zaczęła się rozpryskiwać na wszystkie strony.

Walkę z Rosyą wystawiano sobie, jako rzecz łatwą, zwycięztwo wydawało się pewnem, a teraz Napoleon stał już bezradny i w armii jego panowało rozprzężenie, natomiast we wszystkich cerkwiach miejscowych gromadził się lud, a wśród dymu kadzideł szły błagania o zwycięztwo i wszystkie ręce nerwowo chwytaly za broń, ażeby wypędzić z kraju najęzdców.

---

## XVII.

### Bitwa marszałka Victora.

---

O północy wicekról Eugeniusz stanął na czele resztek swojego korpusu i zamierzał przeprowić się przez rzekę; przystąpiono do wbijania w ziemię pali-ków, na których umieszczone były pochodnie, rzuca-jące światło niepewne na brzegi, most i krę. W tem świetle bardziej ponuro wyglądały jeszcze twarze i mundury niedobitków.

Dwa mosty były nareszcie gotowe, każdy zaś z nich posiadał wielką tablicę, przyczepioną na dra-gu i objaśniającą, że jeden most służyć ma dla pie-szych, drugi dla konnicy i wozów. Żandarmi mieli poruczony sobie obowiązek dopilnowania porządku.

Wiatr zerwał się silny i śnieg zaczął sypać, ale pomimo to porządek dość ściśle był jeszcze przestrzegany, dzięki temu oczywiście, że nie ukazali jeszcze żołnierze rosyjscy, chociaż oczekiwano ich w każdej chwili. Gwardya, Polacy, korpus Oudino-ta, marszałek Ney z dywizją swoją, zdążyli już przejść na drugą stronę i odpowiednio się ulokować.



Korpusy Eugeniusza, Davouta i cały zaciąg wojska miał uczynić to samo. Marszałek Victor na czele 9 go korpusu objął pieczę nad mostami i od tyłu zabezpieczał przejście. Marceli Deslords razem z gromadą swoich wiernych towarzyszków stanął w pogotowiu, ażeby wypełnić rozkazy najwyższego wodza. Wicekról, dojechawszy do mostu, zatrzymał się i raz jeszcze zwrócił się do oficerów:

— Moi panowie! Po tej stronie rzeki znajdują się jeszcze tysiące nieszczęśliwych, umieszczonych po biwakach, a nie zdających sobie sprawy z tego, że za dwanaście godzin dostać się będą musieli w ręce Rosyan! Kto z panów zdecydowałby się maruderów tych zgromadzić i przyprowadzić nad rzekę?

Oficerowie spojrzeli po sobie, ale żaden z nich nie oświadczył się z gotowością spełnienia tego nieprzyjemnego i niebezpiecznego pełnomocnictwa.

— Ja gotów jestem spełnić ten rozkaz, wasza cesarska mości!—rzekł donośnie, występując z szeregu, major Deslords.

Oprócz wypełnienia nader pożądanego dla wojska misyi, majorem rządziło w tym wypadku jeszcze uczucie przyjaźni, takie bowiem gromadzenie maruderów da mu sposobność ulżenia przykrej doli Jana Oettinga.

— Podejmujesz się tego?—zawołał Eugeniusz uradowany, i spojrzawszy na pierś majora, ozdobioną krzyżem legii honorowej, dodał:—Przypominam sobie ciebie, majorze, chociaż nie należysz do korpusu mojego. Byłeś w Kremlu, kiedy nakazano odwrót!

— Tak jest, wasza cesarska wysokości!

— Dzielny z ciebie żołnierz! Rosyanie prawdopodobnie zostawią ci jeszcze tyle czasu, że uratujesz znacznieszą część biedaków. Oczekuję po drugiej stronie na przybycie twoje, tam też czeka cię nagroda, na jaką zasługuje odwaga twoja.

— Nie liczę na żadną nagrodę, jeżeli też wyjdę cało, to poproszę waszą cesarską mość o jedną łaskę tylko.

— Łaskę?... Jakiej łaski doznać pragniesz, majorze?

— Nie mnie ta prośba dotyczy, ale pewnego oficera ze świty waszej cesarskiej mości. Kapitan Oetting skazany został na karę z powodu ciężkiego przestępstwa, skazany słusznie...

Eugeniusz spojrział bystro na majora, ten zaś dodał pośpiesznie:

— Nie proszę o jego życie! O coś innego mi chodzi...

— A więc dobrze! Powiesz mi to po przejściu przez most.

Marceli skłonił głowę, wicekról serdecznie ścisnął mu rękę i skierował konia na most.

Deslords postanowił natychmiast zająć się posłannictwem swoim, wiedział bowiem, że największy natłok dopiero zacznie się teraz i że nie powinien tracić ani chwili, chcąc zgromadzić w jedno miejsce maruderów wielkiej armii.

Zadanie to było prawie niemożliwe do wypelnienia; „Rôtisseurzy“ rozłożyli się wzdłuż brzegów, porozpalali ogniska swoje, a zając jak najsmaczniej swoje porcy koniny, nie pytali się o nic i nie chcieli nawet ruszyć się z miejsca. Nędza, w jakiej

żyli tak długo, znieczuliła tych ludzi zupełnie, oni widzieli przed sobą tylko trzy zadania: Przedewszystkiem zjeść, potem wypoczywać i wreszcie, o ile to było możliwe, nie ruszać się z miejsca. W możliwość przybycia Rosyan nie wierzyli, a zresztą nie widzieli w niewoli nic przerażającego. Ci i owi z tych ludzi wynędzniałych grozili nawet Marcelemu, płaszczyli mu zedrzeć z ramion i ludzi jego obrabować.

Deslords spostrzegł, że nie da sobie rady z tą bandą rozpuszczoną i o brzasku dnia stanął znów nad brzegiem Berezyny pod Studzianką, rozważając, czy ma przejść na drugą stronę rzeki.

Mosty inny teraz, aniżeli wczoraj, przedstawiały widok: nikt już nie troszczył się o porządek, tablice były zdarte, żandarmi odparci, a masy ludu tłoczyły się w nieładzie. Nad temi masami unosił się krzyk woźniców, którzy, torując sobie drogę, czynili wszystko, ażeby spotęgować jeszcze nieporządek. Nad brzegiem stały jeszcze całe szeregi wozów, po części rozbitych, których właściciele zwątpili już o tem, ażeby mogli je przeprowadzić na drugą stronę. Pospiesznie zatem odbywało się wyładowywanie wszystkich rzeczy cenniejszych, które brano wprost na plecy. Inni probowali przeprowadzić wozy przez wodę bez pomocy mostu.

Całe to mrowisko ludzkie wydawało dzikie okrzyki.

Marceli patrzył, jak poręcze u mostu się łamały, ludzie spadali do rzeki, rozpaczliwie czepiali się kry płynącej i po długim pasowaniu się ze śmiercią, znikali na dnie.

— Dzień dobry majorze! czy i pan chcesz się



teraz przeprawić? — rzekł nagle ktoś, kładąc rękę na ramieniu Deslords'a.

Był to Winters. Marcei za całą odpowiedź wskazał na most, Winters zaś mówił:

— Droga do piekła nie może być gorsza od tej przeprawy, dobrze też się stało, że nam kazali pozostać i obsadzić Studziankę.

— Po co ją obsadzać, kiedy Wittgenstein nadchodzi? — odparł Deslords, podczas gdy Winters smutnie zwiesił głowę, mówiąc:

— Mnie się zdaje, że my, t. j. 9-ty korpus, wybrani jesteśmy przez cesarza na to, ażeby nas wybito co do nogi i ażeby po naszych trupach armia mogła przejść przez Berezynę.

— Co czynić! Nie przyszlśmy do Rosyi używać szczęścia...

Towarzysze przez chwilę nie mówili nic i zadumali się smutnie, nie trwało to jednakże długo. Deslords pierwszy z dumą podniósł głowę w górę, a w oczach jego błyszczał zapł:

— Zanim śmierć pochwyci nas w swoje ramiona, pokażemy raz jeszcze światu, co to znaczy *wielka armia napoleońska!* Widzę, że dziś nie przedostanę się przez most, wolę zatem pozostać z wami i bić się do upadłego!

— Chodź przeto, majorze! przydadzą się nam twoje ramiona silne i twoje serce dzielne!

Deslords udał się z towarzyszem. Wokoło wzgórze i na wierzchołku wszystkie pozycje zajął korpus Victora. Łańcuch pagórków przecinał parów, tworząc równocześnie trakt w głąb kraju. Po lewej stronie parowu ustawiono baterję wielką, utworzoną

z 40-tu armat, nad których umieszczeniem pracowano noc całą. Bateria ta powitać miała straszliwym ogniem nadciągających Rosyan, zewsząd zaś ubezpieczono ją wałami i szańcami, zakrywającemi artylerzystów francuskich przed oczyma nacierających.

Śnieg padać zaczął coraz gęściej i gęściej, o brzasku widać było tylko ciemne postacie ludzkie, owinięte w płaszcze wielkie, które kroczyły po placu; czasami błysnął ogień, a zewsząd dolatywały ochryple nawoływania się i pomieszane głosy ludzkie. Marszałek Victor konno, otoczony świtą, bacznie miał zwrócone oko na parów, zdawał sobie bowiem dokładnie sprawę z tego, że od obrony parowu zawisło przejście przez Berezynę.

Marceli z garstką towarzyszków swoich jak kot wspinał się na wzgórze po prawej stronie parowu, gdzie w zniszczonych do połowy zabudowaniach dworskich rozlokowały się dwa bataliony 2-go badeńskiego pułku wielkoksiążęcego. Ogród, z jednej strony odsłonięty, robił wrażenie cmentarza, z dawnej bowiem okazałości pozostały jedynie brzozy cienkie, które teraz, ogołoczone z liści, drżały przy każdym podmuchu wiatru północnego. Z drugiej strony przystępu do ogrodu broniły jeszcze mury, w których pospiesznie poczyniono otwory dla luf armatnich i w ten sposób pozycja zdawała się silną. U dołu rozciągała się płaszczyna długa, ponura, choć bieląca się w śniegu.

Wintersa razem z towarzyszami świeżo przybyłymi przyjęto okrzykami radości. Marceli zdziwił się jednakże, że wokół siebie nie postyszał innego języka, jak tylko niemiecki, czuł się też niejako ob-

cym jako Francuz wśród tylu ludzi, rozmawiających pomiędzy sobą mało dla niego zrozumiałym językiem.

— W jakiej sile zgromadziliście się tutaj?—zapytał Wintersa.

— Jest nas około sześciuset, sami Niemcy—odparł z dumą.

Lekka kawalerya badeńska rozłożyła się u stoku pagórków, przed nią stanął pierwszy pułk liniowy, na dole, już na płaszczyźnie, rozciągnął się 2-gi i 3-ci pułk liniowy nadreński, obok którego widać było ciemno-zielone mundury z żółtymi wyszywkami 5-go pułku Wirtemberczyków. Były to resztki całego do niedawna jeszcze korpusu! Dalej obóz polski, pułki 9-ty i 4-ty, za nim piechota saska w mundurach zielonych, o niskich „czako“ z zieloną kokardą na głowach. Potem 4-ty westfalski pułk liniowy i pułk fizylierów heskich z czerwonymi pióropuszcami końskimi i krótkimi karabinami. W parowie samym, w zwartym szeregu ugrupowały się brygady kawaleryjskie, a więc: dragoni darmsztadzcy, pułk dragonów księcia Jana saskiego, w zielono-białych mundurach, huzarzy badeńscy w dolmanach niebieskich, oblamowanych futrem, i ułani z lancami długimi i niebiesko-czerwonymi chorągiewkami. Stał i blacha chrzęszczała wokół, setki koni parskwały niecierpliwie, węsząc bitwę w ten dzień chmurny i śnieżny

Oto ostatnia podpora cesarza, te wojska zgromadzone po jednej i drugiej stronie parowu!

W twarze tych żołnierzy bił śnieg coraz większemi płatami, nikt nie przemówił ani słowa, czekano...



Nagle zrobiło się jaśniej i żołnierzom wydawało się, jak gdyby płaty śniegu zakreściły się w powietrzu i z po za nich wyjrzało słońce nakształt tarczy, nie zaróżowiło się niebo, ale stało się węższe i żółte, a powietrze przeszył świst dobrze znany armii Napoleońskiej.

— To jegrzy finlandzcy wysyłają sygnały swoje naprzód! — zawołano wokoło, a Stefan Malinger, którego teraz opanował szal wojenny, szeptał do ucha Deslordsa:

— Dziś gorącą będziemy mieli przeprawę, panie majorze! Teraz dopiero potrzebnyby nam był nasz dzieiny kapitan Oetting! Do stu fur beczek batalionów dyabłów, jakże to być może, ażebym ja miał się dziś bić nie przy jego boku!

— Nie przypominaj mi o tem! — zawołał Marcelli z rozpaczą, ręce cisnąc w kułak—a przynajmniej nie mów mi o nim teraz, nie w tej strasznej godzinie!

Słysząc już było tętent kopyt końskich, sygnały trębaczy i komendę oficerów:

— *Chargez!*

Kolumna jeźdźców stanęła w pogotowiu bojowym, a na jej czele sławny Fournier, którego marszałek umyślnie na to przeznaczył stanowisko. Bo Fournier to stary wiarus cesarski. On to pod Aspern uczestniczył w ataku kawaleryi, dowodzonej przez Murata, on pod Fuentes Onoro rozbił cztery czworoboki angielskie, a co to znaczy, wiedzą o tem ci jedynie, którzy w Hiszpanii mieli do czynienia z czworobokami angielskiemi!

Pierwsze wystrzały armatnie ze strony rosyj-

skiej dały znak rozpoczęcia boju; Rosyanie gromadzą się wokoło pokrytych śniegiem zabudowań wiejskich. Gdybyż przynajmniej można było dojrzeć wszystkie ich ruchy!

Wiatr wieje w oczy, śnieg sypie, ziemia błyszczy...

O brzasku pierwsze wyruszyły niemieckie szwadrony konnicy, a wyjeżdżali oni tak wesoło do boju, takie im towarzyszyły dowcipy i śmiechy, jak gdyby szli odrazu miażdżyć nieprzyjaciela.

— *Vive l'Empereur!*

Nad głowami jeźdźców błysnęły setki pałaszy, na które odpowiedzią był trzask odwodzonych kurków. Błyskawice ognia przecięły ciemność poranną i jak węże czerwone rysowały zygzaki w powietrzu. Rosyanie front rozwinęli, posuwają się naprzód z zapalem, ale dość bezładnie. Wittgenstein postanowił sobie marszałka Victora bądź co bądź wpędzić do rzeki, zanim armia zdola most przebyć. W miarę wzrastania światła dziennego, linie wojsk rosyjskich przedstawiały się coraz dokładniej. Długie ciemnozielone mundury, na które zarzucono płaszcze jasnoszare, oznaczają strzelców. Pomiędzy nimi uwijają się oficerowie z krzywymi szablami w ręku, podobnymi do szabel emirów tureckich. Konnica w jasno-niebieskich spodniach z czerwonymi lampasami, w niskich hełmach, stanęła w szyku bojowym, ażeby odeprzeć pierwsze natarcie jeźdźców niemieckich. Są to dragoni kargopolscy, okuci w stal błyszcząca kirasyerzy nowogrodzcy, kozacy gwardyi cesarskiej w szerokich rajtuzach niebieskich, dalej inne pułki kozaków w czapkach futrzanych, a w ręku dzierżący

długie piki, których pociski niejednokrotnie dały się już uczuć ludziom z zachodu. Cała ta masa wśród ogłuszających okrzyków „hura!” w szalonym pędzie zbliża się ku armii francuskiej.

Winters i Deslords spojrzeli po sobie i porozumieli się wzrokiem, doszli bowiem do przekonania, że zabudowania dworskie nie są bynajmniej bezpieczną dla nich pozycją.

Położony na wzgórzu najwynioślejszem, służył dwór i podwórze okalające za bardzo wygodny punkt dla strzałów nieprzyjacielskich. Wkrótce też rozległ się trzask drzewek, kule uderzać poczęły w mury, a w ślad za tem śnieg zabarwił się krwią ludzką.

Stefan Malinger, widząc coraz większy ubytek wśród towarzyszy, z którymi głód przecierpiał i znosił wszystkie trudy, uczuł w sobie taką wściekłość, że za wszystkie czasy chciał sobie powetować i w otwartym boju stanąć wobec całej masy nieprzyjaciół; Marceli widzi, jak ten, zawsze spokojny Bawarczyk, drży teraz z wściekłości i oczekiwania.

— Dragoni cesarza! na armaty!—krzyknął Fournier—za mną szwoleżerzy!

Na czele pułków heskich i badeńskich, ruszył też Fournier przeciwko Rosyanom, choć konie kopyta całe zagłębiały w śniegu, i prażył ogień nieprzyjaciela.

Nie pomoże opór ze strony Rosyan! Strzelców roztrąca jazda, czworoboki niechoty, które dopiero tworzyć się zaczęły, będą roztratowane, artylerzyści stojący przy armatach, roztratowani będą również. Na linie nieprzyjacielskie uderzają jeźdźcy niemieccy



z wyciągniętymi szablami i powiewającymi chorągiewkami.

*Vive l'Empereur!*

Kirasyerzy zagradzają im drogę, ich pancerze stalowe błyszczą, pałasze się krzyżują, ale walka trwa krótko — ulegli. Cała linia rosyjska zaczęła się chwiać, pułk strzelców zniweczony, pięciuset jeńców prowadzi pijani zwycięstwem żołnierze wielkiej armii.

*Vive l'Empereur!*

Przybywających powitano w szeregach okrzykami radości, ale Deslords krzyknął:

— Nie wolno nam brać jeńców, czy chcecie, ażeby przeszkadzali nam drodze?

Nie trzeba było słów więcej dla żadnych krwi Badeńczyków i Bawarczyków! Rozległy się strzały i wzięci do niewoli padli, brocząc krwią ziemię. Niema pardonu wtedy, gdy nad umysłami zapanuje szal i rozpacz.

— *En avant!* Za mną! — rozległo się ponownie i kompania Badeńczyków razem z oddziałem Deslordsa ruszyła naprzód, ażeby zająć pozycję najbliższą linii rosyjskiej. Winters wyszedł z tej przeprawy z raną na głowie, Deslords otrzymał kontuzję w bok prawy, Malingera ręka krwawiła się po cięciu pałaszem; ale nikt nie zważał na to i wszyscy poczuli jakąś radość nieopisaną, że po tylu miesiącach nędzy, głodu i bezczynności mogą znów wachać proch i krew ludzką przelewać.

Malinger tak był przejęty, że on, tak pilnie przestrzegający subordynacyi, nie zważał tym razem na komendę i chwyciwszy pikę jakiegoś kozaka po-

ległego, opuścił swój oddział, byleby się połączyć z tymi, którzy szli znów do ataku na nieprzyjaciela. Olbrzymia postać tego Bawarczyka w mundurze niebieskim wywoływała potok przekleństw w szeregach rosyjskich. Deslords smutnie spoglądał na te zwycięstwa, szepnął też do Wintersa:

— Czy przypuszczasz, kapitanie, że my zdołamy się utrzymać długo na stanowisku naszym? Ależ oni wystrzelają nas tu jak kaczki!

— A jednak musimy pozostać, dopóki się tylko da—odparł nie mniej smutny Winters.

Marceli spojrzął po szeregu i dostrzegł, że z małej garstki jego znów ubyło dziewięciu towarzyszków broni.

Ponowny atak brygady Fourniera jeszcze większe spowodował spustoszenia wśród Rosyan, dragonów i ułanów opanowała taka wściekłość zajadła, że złamawszy szyki nieprzyjaciół, powrócili do swoich, wiodąc za sobą sześć zdobytych armat.

Wittgenstein spostrzegł, że w ten sposób bitwę prowadząc dalej, wygrać nie może. To nie armia dziesiątkowana, pozbawiona już ducha wojennego, o jakiej mówiono mu dotąd! Na takie ataki kawalerii nie był przygotowany. Natychmiast też rozległy się sygnały nowe, nakazujące gromadzenie się wojskom znużonym, tymczasem zaś granaty rosyjskie padały po za linie wojska i pękały bez szkody.

Marceli ujrzał nagle, że jeden z szeregowców kurczowo ręce wyciągnął w górę, począł tańczyć wokół, chciał coś przemówić i nie mógł. Zaczęto go opatrywać, ale nie znaleziono ani śladu rany;

nikt też nie mógł zrozumieć, co się stało temu biednemu.

Jedynie major szepnął do Wintersa:

— Tego biedaka nie uderzyła kula, ale poraziła, a strach może również śmierć sprowadzić.

Koń Deslordsa nie był taki niespokojny, jak teraz, co widząc Winters zaczął doradzać, ażeby Marceli wziął sobie innego wierzchowca.

— Nie uczynię tego — odparł major — uratował mi on życie pod Aspern, gdzie roztratował dwóch grenadyerów, nacierających na mnie bagnetami. Od tej pory nie rozstaję się z Emirem moim, chociaż jest to zwierzę złośliwe bardzo.

Winters strząsnął scbie śnieg z płaszcza i czapki, z pod której krew się sączyła.

— Ależ ty jesteś ranny, kapitanie!

— Et! drobna rana!

— W każdym razie bierz pan chustkę moją, trzeba nawet najmniejszą ranę zawiązać, kto wie bowiem, czy się dzisiaj na tem zakończy.

— Masz rację, majorze!

Winters, obwiązując sobie twarz, mówił:

— Czy uważasz, majorze, że nagle cisza nastąpiła w szeregach rosyjskich?

— Nie rozumiem, jaki cel mają w zaprzestaniu strzałów — odparł Deslords i urwał, ujrzawszy przed sobą grenadyera, który najspokojniej w świecie usiadł na pieńku zdruzgotanego kulami rosyjskimi drzewa.

— Chyba zwaryowaleś, człowieku! — zawołał — przecież w tem miejscu napewno strzał cię dosięgnie.



Grenadyer wolno odwrócił głowę.

— Tego też tylko pragnę, panie majorze. Do Francji nie dojdziemy już przecież, a tej niedoli, jaka panuje teraz, nie zniosę dłużej, więc lepiej, że skończy się to natychmiast.

Marceli popatrzył na grenadyera i zadumał się nad pytaniem: czy większą jest odwaga iść wprost na kule nieprzyjacielskie, czy też znieść wszystkie utrapienia pobitej armii.

Nagle zadrżała ziemia cała. Zdawaćby się mogło, że całe pole, śniegiem pokryte, zamieniło się w wulkan ziejący ogniem, jak gdyby z tej ziemi zmarniętej wybuchnął dym i lawa ognista. Sześćdziesiąt armat wittgeisteinowskich zagrało akord piekielny, a na resztki korpusu bohaterskiego posypał się grad kul. Dym, siarkę i parę czuć było w powietrzu, do ust cisnęło się gorąco i ludzie padali, rzadko tylko wydając okrzyki bóleści. Jak chmura pędzili teraz kozacy, wydając okrzyki przeraźliwe, z lancami wyciągniętymi do ataku.

Wittgenstein, który już zwątpił, ażeby mógł rozbić szyki francuskie atakiem piechoty, armatami torować zaczął sobie drogę dla kawaleryi i kozaków. Na prawym skrzydle na wzgórzu, obrosłem niewielkimi świerkami, ustawił baterię, której dowództwo oddał generałowi Dybiczowi. Konnica zaczęła ustępować, a konie bez jeźdźców uwijały się, rżąc, po polu, co widząc marszałek Victor podjechał do szwadronów i krzyknął:

— Dragoni, trzymajcie się ostro! W wasze to ręce i w ręce ułanów złożył cesarz ratunek armii.

— I cesarz się nie myli, panie marszałku! — krzyknął Fournier i znów dał znak do ataku.

Aż ziemia zadrżała i śnieg wzbił się w górę pod kopytami końskimi. Marszałek Victor patrzył na tych dzielnych żołnierzy i rzekł do młodego margrafa badeńskiego.

— Oddawna już nie miałem pod swoją komen-  
dą takich dzielnych wojowników!

Pułk badeński starał się utrzymać na pozycji w zabudowaniach dworskich, choć wokół świszczwały kule i krew zlewała się razem z topniejącym śniegiem. Artylerya rosyjska straszne poczyniła spustoszenia. Gdzie okiem rzucić trupy, lub ranni, w ogrodzie, na drogach i ścieżkach, na murach i pod murami, a te mury same wyglądały jak rzeszoto, podziurawione kulami.

Winters spostrzegł, że z liczby sześciuset zaledwie trzystu pozostało przy życiu i trwożne zadał sobie pytanie:

— Czy długo potrwa ta rzeź? Wprawdzie Rosyanie cofnąć się znów musieli, ale czy na długo? Nagle postyszał za sobą okrzyk:

— Na pomoc, Badeńczycy!

Jak kot skoczył kapitan, a za nim dwudziestu szeregowców.

Był to głos Malingera, który wraz z majorem dał się unieść zapałowi i wpadł w sam środek dragonów rosyjskich. Garstkę otoczono natychmiast, wszystkim zaś groziła śmierć niechybna. Już czterech położyło się trupem na ziemi.

W takiej chwili krytycznej zjawił się Winters

na czele swoich Badeńczyków i rozpoczął ogień, który zmusił dragonów rosyjskich do ucieczki.

— Czy żyje wasz major?—zapytał Winters.

— Żyje!—krzyknęli żołnierze i wkrótce przyjaciele uścisnęli sobie dłonie.

Kapitał badeński zdziwił się, ujrawszy twarz Deslordsa, tyle w niej było wściekłości i rozpacz.

— Zbierz pan ludzi swoich, kapitanie—zawołał Marcelli — a wy uderzajcie w bębny z taką siłą, że aż popęka na nich ośła skóra! Może to po raz ostatni bębnić będziecie wielkiej armii do boju!

Deslord ponownie wyciągnął szablę z pochwy i stanął na czele szeregów, a w tej chwili miał wygląd człowieka, zdecydowanego na wszystko. Ten człowiek nie przeżyłby klęski swojego pułku, swojej armii.

Rozległo się bicie w bębny, któremu zawtórował marsz zwycięzki z pod Marengo, marsz, który posiadał taką siłę, że zdawałoby się, iż trupy nawet, które zaległy pola, zerwą się na nogi i wyruszą do ataku z okrzykiem:

*Vive l'Empereur!*

Kurzem i prochem pokryte chude postacie Badeńczyków, Polaków, Saksończyków i Francuzów zgromadziły się około tego męża, z którym od lat dziesięciu związane były ich losy i z którym przez te lat dziesięć przebiegli świat cały. Wydając okrzyk zwycięzki, rzucili się w sam środek wojsk rosyjskich, gdzie stanął generał Wittgenstein ze sztabem swoim.

W obozie rosyjskim zawrzało. Ci ludzie, którzy teraz szli do boju okryci łachmanami, chudzi



i wzięli, czynili wrażenie zrozpaczonych i gotowych do najbardziej heroiczych czynów. Całe gromady żołnierzy ochotników przyłączyły się do tego ataku, oczy wszystkim pałały, z zaciętością szli naprzód, chcąc się pomścić za towarzyszy, poległych nad Dnieprem, pod Smolenskiem, Krasnoje.

Świta generała Wittgensteina rozpadła się na kilka części i tylko konnica przyskoczyła bronić wodza swojego; chorąży ze sztandarem począł uciekać, ale Marcelli Deslords przyskoczył do niego i dwukrotnem cięciem pałasza zwałił go z konia. W tej samej chwili dwadzieścia rąk wyciągnęło się po chorągiew białą, długą z czarnym orłem dwugłowym pośrodku. Tej chorągwi Rosyanie bronili z rozpaczą, w końcu jednakże sztandar utrzymał się w ręku francuskim.

Deslords dumnie stanął w strzemionach, świsnął szablą ponad głową swoją i po raz drugi zagrać kazał marsza z pod Marengo.

— Ta chorągiew daje nam przynajmniej zadośćuczynienie za nieszczęście cesarza! Niechaj Najjaśniejszy Pan przekona się, że starzy żołnierze pozostali takimi, jakimi byli pod Marengo!

Pomimo to musieli się cofnąć, artylerya bowiem rosyjska prażyła dokuczliwie.

Co rozpoczęła jednakże konnica, tego dokonała ostatecznie piechota i Wittgenstein, chociaż trzy razy liczebnie silniejszy, musiał opuścić zajmowane stanowisko. Przejściu wielkiej armii przez Berezynę nie mógł już generał rosyjski zapobiedz, poprzestał zatem na zarzucaniu granatami okolicy, w której przewidywał, że znajdują się mosty.

Krwawo zachodziło słońce dnia tego. Marcelli z owiniętą około ręki chorągwią zdobytą, powracał na dawne stanowisko swoje i rozglądał się po szeregach. Zaczął liczyć, ale pomimo wysiłku, dostrzegł tylko pięciu ludzi z wyszytą na ramieniu cyfrą „84”. wszyscy inni byli mu obcy.

— Gdzie nasi ludzie? — zapytał pierwszego z brzegu.

Normandczyk chudy wzruszył tylko ramionami i wskazał ręką na pole.

— Boże mój! Czyż wszyscy polegli?

— Śnieg dobrze się zaczerwienił od krwi towarzyszków naszych — odparł smutnie Normandczyk.

A zatem szczęściu tylko ludzi pozostało z całego batalionu, z całego pułku sławnego...

Marcelli smutnie zwiesił głowę; nawet pogrzebać nie było można teraz tych trupów, czas bowiem naglił.

Stefan Malinger pojawił się wkrótce przed Deslordsem; włożył on na siebie płaszcz niedźwiedzi po jakimś poległym oficerze strzelców, a z długą lancą w ręku podobniejszy był do kozaka, niż do sierżanta armii francuskiej.

— Jakże teraz przedostaniemy się przez rzekę, i co robią towarzysze nasi na tamtym brzegu — pytał się Marcelli, ale nikt nie umiał dać mu na to odpowiedzi stanowczej. Wiedzano tylko, że Czyczagow próbował uczynić tam to samo, co tu nie powiodło się Wittgensteinowi. Dopiero Winters przybiegł z zawiadomieniem, że jego pułk otrzymał roz-

kaz natychmiastowego przejścia przez most. Polacy trzymają straż nad mostem.

— Do dyabła! Teraz gorzej będzie z nami! — zawołał Malinger, ale Deslords rzekł pośpiesznie:

— Przyłączę się do waszego pułku!

Marcelemu zależało teraz na tem, ażeby jak najprędzej dowiedzieć się czegoś o losach korpusu wicekróla Eugeniusza, jak również o losie, jaki spotkał Jana Oettinga.

Badeńcy przy dźwiękach muzyki i biciu w bębny kroczyli przez spustoszoną Studziankę, z drugiego pułku pozostało zaledwie 400 w szeregach. Za nimi kroczyła garstka pułku 84-go, dumna z choraży, zdobytej na nieprzyjacielu.

Kiedy marszałek Victor zobaczył tych sześciu ludzi i ten sztandar zdobyty, zdjął czapkę z głowy, a razem z nim uczynił to sztab cały. Marcełi skłonił się pokornie.

Przy rzece panował tłok nie do opisania. Bezmyślni „Rôtisseurzy,” poczuwszy, że jednak sytuacja staje się groźną, ruszyli się z miejsca, uciekając ku mostowi, i oto dusić się zaczęli ludzie, konie trątały, wozy i armaty rozjeżdżały, a na moście wydawano okrzyki we wszystkich językach europejskich.

Nagle granat rosyjski zapalił wóz, obładowany prowiantami. Nikt nie myślał o tem, ażeby ów wóz palący się usunąć z drogi i wrzucić do rzeki, ruszać się bowiem nawet było niepodobieństwem. Kto już wszedł na most, ten skazany był na to, ażeby fala ludzka popychała go naprzód, jedynie też tylko mógł



cię każdy starać o to, ażeby ta fala nie zepchnęła go na kry lodowe.

Setki ludzi z zamkniętymi oczyma posuwały się w ten sposób coraz dalej, chociaż były to już dawno trupy; uduszono ich po drodze. Kto się potknął lub wyciągnął rękę nieprawidłowo, był już zgubiony, tłum łamał mu też wtedy wszystkie członki. Konie, które upadły, leżąc na grzbiecie, biły kopytami, rżały i gryzły przechodniów. Jeżeli granat rosyjski wpadł w tę masę, to tylko słychać było jakby wycie przeraźliwe, trochę rżenia konających, potem widać było na mundurach smugi krwi, ale fala głów ludzkich posuwała się bez przerwy. Co chwilę słychać było plusk spadającego ciała do wody, a każdy z tych nieszczęśliwych starał się kurczowo trzymać kry lodowe! Zbyt słabą jednakże była kra, ażeby utrzymać mogła ciężar ludzki, po długich też zapasach siły się wyczerpywały i jedni ginęli w nurtach rzeki, inni dobijali do przeciwległego brzegu z połamaniem rękami i nogami. Tu padali na ziemię, niezdolni iść dalej.

W tem piekle nie mogło być mowy ani o porządku, ani o trzymaniu się razem. Widziano ludzi, przyjaciół wiernych, którzy przysięgali sobie, że most przejdą razem, i w rzeczy samej przy wejściu trzymali się za ramiona, skoro jednak natłok stawał się coraz groźniejszy, instynkt samozachowawczy brał górę i opanowywała ich jakaś febra przestachu. W końcu dochodziło do tego, że najlepsi przyjaciele zadawali sobie ciosy śmiertelne, sięgali po broń, ażeby tylko jak najprędzej znaleźć się na brzegu przeciwległym.

We wszystkich językach przeklinano, we wszystkich jęczano nad niedolą i we wszystkich wzywano Boga i Świętych do pomocy. Polacy odmawiali głośno: „Pod Twoją obronę,“ Hiszpanie zasyłali modły do Najświętszej Dziewicy z Toledo, Włosi klęli: *Maledetto paese!*, Bretończycy wołali *Saint Jacques de Finisterre!* Jakiś kirasyer, długi jak tyka, z pióropuszem na głowie, wpoprzek siodła położył trupa kapitana swojego, a pałasz trzymając w ustach, pięściami torował sobie drogę. Wierny żołnierz nie dotarł do końca mostu, tłum zatamował koniowi drogę, padli wszyscy trzej razem i tysiące nóg ludzkich trawowało trupa kapitana, żywego kirasyera i konia.

Nie zabrakło także i epizodów komicznych. Jakaś stara aktorka francuzka, która z Moskwy ciągnęła za armią, szła w towarzystwie chłopca rosyjskiego, obładowanego klatkami, pełnymi papug. Egzaltowana kobieta wydawała wciąż okrzyki błagalne: „Ach! moje ptaszki kochane! ludzie dobrzy! nie czynicie nic złego moim ptaszkom małym, kochanym!...

Deslords przekonał się odrazu, spojrzawszy na most, że tu przejście jest tylko możliwe przy użyciu całej siły i w zwartych kolumnach; kazał więc przywołać do siebie Stefana Malingera i całą gromadę swoją. Po krótkim przemówieniu nakazał im trzymać się bezpośrednio Badeńczyków.

— Przecież i mnie zabierzecie z sobą! — zawołał ktoś wesół!

Marceli się odwrócił i spostrzegł rotmistrza Rinconiego. Pomimo, że chwila była tak bardzo krytyczną, Marceli parsknął śmiechem na widok towarzysza broni.

Rinconi miał na sobie płaszcz, albo raczej ła-  
chmany jakiegoś płaszczka, który ciągnął się za nim  
po ziemi, na głowę nałożył kapelusz generalski, cały  
zbrukany i widocznie ściągnięty jakimś poległemu  
generałowi, szpadę przymocował sznurkami i prze-  
wiesił sobie przez ramię.

— Im więcej nas będzie, tem lepiej, zwłaszcza  
w gronie dobrych towarzyszków łatwo będzie się nam  
przedostać — zawołał Deslords, czule ściskając dłoń  
starego przyjaciela.

Poruszył się pułk Badeńczyków, a wszyscy kol-  
by nastawili pod ramię i gotowi byli rozbijać po dro-  
dze każdego, kto by im tamował przejście. Pułk ba-  
deński maszerował tak szybko, że major i jego to-  
warzysze tylko z trudem mogli podążać za nim.  
Marceli i Rinconi wyciągnęli szable z pochew i wpi-  
jali ostrza w cielsko koni swoich, które, pobudzane  
ustawicznie, wszelkie możliwe czyniły wysiłki, ażeby  
posuwać się naprzód. Jedyiny Stefan Malinger, ze  
względu na wzrost swój i lancę, trzymaną w ręku,  
wygodnie torował sobie drogę. Rotmistrz Rinconi,  
nizki i wąty, nie mógł utrzymać się długo w towa-  
rzystwie Marcelego, po chwili też usłyszano krzyk  
przeraźliwy. Malinger obejrzał się spiesźnie i ujrzał,  
jak rotmistrz razem z koniem, wyparty z mostu, pa-  
dał w nurty rzeki. Ten sam los spotkał grenadyera  
z pułku 84-go, który mu chciał przyjść z pomocą.

Badeńczycy, Winters, Marceli i Stefan Malinger,  
szczęśliwie dobili na drugą stronę, gdzie gromadzić  
się zaczęto w małym lasku sosnowym. Adjutant,  
wysłany przez marszałka Neya, przyniósł rozkaz  
Badeńczykom, ażeby natychmiast połączyli się z dy-



wizyą polską Dulińskiego, która w tej chwili powstrzymywała atak przedniej straży Czyczagowa.

W lesie straszliwym echem odbijał się huk armat, z czego można było wnosić, że walka jest dość zacięta.

Malinger raz jeszcze spojrzał na rzekę i most, a z piersi jego wydobył się okrzyk przeraźliwy.

Wszyscy zwrócili oczy w stronę rzeki. Tysiące piersi wydało jęk rozpaczony na widok tego, co się stało. Nikt nie zdawał jeszcze sobie sprawy z całego ogromu klęski, ale każdy widział, że zaszła straszna katastrofa. Woda wzbila się w górę jak fontanna, ludzie i konie nurzali się w wodzie, wozy ginęły pod lodem...

Kule armat rosyjskich zrobiły swoje! Wystarczyło kilka dobrze wycelowanych pocisków, ażeby most nadwyreżony rozerwał się w samym środku.

Równocześnie nadeszła wieść, że kra przy drugim moście wyrwała kilka kozłów i że pochód dalszy musi być wstrzymany.

Połączenie dwóch brzegów, które tyle kosztowało pracy i ofiar ludzkich, zupełnie zostało przecięte.

---

## XVIII.

### Bitwa w lesie sosnowym.

---

Podczas gdy Wittgenstein atakował korpus Victora na lewym brzegu Berezeny, Czyczagow wojsko swoje skierował w las Stakowa, ażeby na prawym brzegu nietylko wstrzymać pochód Francuzów, ale jeszcze armię napoleońską wpędzić do rzeki. Na godzinę przed wicekrólem Eugeniuszem Napoleon przekroczył most, a towarzyszyła mu młoda gwardya i Polacy korpusu Oudinota. Nikt nie zauważył, że wśród masy ludu, dążącego za cesarzem, znajdowało się także hrabina Marya Walewska. Dla cesarza torowano drogę, więc też bez trudności przedostano się na prawy brzeg Berezyny.

Zaledwie cesarz stanął po drugiej stronie, gdy postyszał huk armat i dojrzał, że konnica tworzy łańcuchy tyralierskie i ściera się z nieprzyjacielem.

— Co to znaczy? — zapytał marszałka Oudinota.

— Rosyanie stanęli w gęstych szeregach w lesie i obawiać się należy, Najjaśniejszy Panie, ażeby nie dotarli do tego miejsca.

— Trzeba nam ich zatem odeprzeć! Jakie wojska przeszły już przez rzekę?

— Mój korpus, marszałka Ney'a, księcia Eugenia i marszałka Davout.

— Jakie pułki?

— Przedewszystkiem Polacy, dalej ułani moi i kirasyerzy, 3 pułki szwajcarskie liniowe Nr 11, 29 i 17, kirasyerzy sascy...

— Ja zaś przywiodłem z sobą gwardyę i strzelców generała Corbineau; Ney ma z sobą także dywizyę Claparède'a. To nam wystarczy!

— Najjaśniejszy Paniel! — zawołał Oudinot — wszystko to razem nie wynosi dziewięciu tysięcy ludzi..

— A w jakiej sile stanąć mógł Czyczagow?

— Ma z górą trzydzieści tysięcy!

— Byle nie więcej, to radę sobie damy! Każdy z nas walczyć będzie za trzech, ja sam stanę na czele gwardyi.

— Najjaśniejszy Paniel! I tybyś chciał sam?!...

— Zapomnijcie o tem w tej chwili, że jestem cesarzem, sam pragnę być tylko generałem! Pomyśl pan tylko, jak to było na owym moście pod Lodi, gdy z drugiej strony stanęli Austriacy.

Napoleon zsiadł z konia, szpadę wyciągnął z pochwy i stanął przed frontem swojej gwardyi. W szeregach zapanował podziw, który w tej chwili ustąpił miejsca nieopisanemu zapałowi. Wszyscy oficerowie w tej chwili obnażyli szable.

— Grenadyerzy! — rzekł cesarz, głos podnosząc — z bronią w ręku trzeba nam dzisiaj torować sobie odwrót! Rosyanie chcą nas wpędzić do Bere-



zyny i zgubieni będziemy, gdy ich nie wyrugujemy z pozycyi w lesie. Kto chociażby się na krok cofnie, sam sobie grób wykopie! Niebezpieczeństwo jest wielkie, pomyślcie więc o Francyi, o ojczyźnie waszej!

Ogłuszające okrzyki zapału były odpowiedzią na tę przemowę Napoleona, który spostrzegł, że na te twarze ogorzałe zawsze liczyć można bezpiecznie. Wszakże tam nie było nikogo, ktoby z nim razem nie szedł w ogień piekielny. Jak kolumny z granitu, stanęły te muskularne, silne postacie, na których głowie widać było czapki futrzane z orłami cesarskimi, na których piersiach błyszczały krzyż i ordery, a czoła i twarze zdobiły blizny.

Cesarz w tych bliznach czytał: Lodi, Rivoli, Marengo, Piramidy i Wagram...

Wojska, do których w ten sposób przemawiał cesarz, różniły się zupełnie od całej armii pozostałej, mówiono tu nawet innym językiem, obyczaje były odmienne, a każdy nosił przydomek, po którym poznawano dzielnych wojowników. Jedyne te szeregi były jeszcze umundurowane prawidłowo i trzymały się w pochodzie wzorowej komendy. Cesarz wiedział o tem, że gdyby nawet armia przestała istnieć, ci ludzie zawsze spojeni będą z sobą nierozwalnym łańcuchem,

Napoleon sam wskazał im pozycję i w tej chwili wysłał ordynansów na brzeg przeciwny z rozkazem, ażeby przyśpieszono pochód. Wszystkie drogi, wiodące z lasu, zatamowano pośpiesznie usypaniem wałami, po za którymi zastonę znalazła artylerya.

Kirasyerzy i ułani stanęli gotowi do ataku.

Las składał się z drzew wysokopiennych, lecz nie był gęsty; jedna sosna od drugiej w dość dalcziem znajdowała się oddaleniu; krzewy wszelkie dawno były wytrzebione.

Przy brzasku dnia nie trudno było dostrzedz, że Czyczagow dotarł już do połowy lasu, słychać też już było dokładnie huk dział.

Napoleon skinął na marszałka Oudinota i rzekł:

— Wyślij pan Polaków do lasu, Szwajcarzy zaś i gwardya otoczą nieprzyjaciela z dwóch stron, kirasyerzy niech będą gotowi do ataku!

Stało się to w oka mgnieniu i po chwili w lesie rozpoczął się bój zawzięty Polaków z Rosyanami. Od wieków las Stakowa nie widział podobnie zawziętej walki.

Drzewa, dwudziestu sięgające metrów, pokryte mchem, widziały nieraz żubra i dzika, jeleni i daniel obłamywał im korę, wilk szarpał owce, ale tyle krwi i tyle czerepów ludzkich nie nagromadziło się nigdy odrazu.

Puszczę leśną przecinały tylko gdzieniegdzie drogi i ścieżki, a wśród szeregu sosen widniały ciemno-zielone gałęzie buków starych. Niebo nad lasem przybrało kolor matowy, obłoki posuwały się ciężko. Zwierzęta przestraszone wybiegły z nor swoich, wilki i lisy zapuściły się w głębiny, ale, gnane świstem kul, gromadami całemi wybiegały z lasu; jastrzębie tylko z góry przypatrywały się temu, co się dzieje w lesie Stakowa. A las ten ożywił się, gdy wpadły na koniach mundury niebieskie z kokardami czerwono-białymi.

— „*Vive l'Empereur!*” — wrzasnęły tłumy, ten cesarz zaś wiedział dobrze, dlaczego na pierwszy atak posłał Polaków. Jeżeli oni nie wstrzymają Cyczagowa, to w każdym razie dokonają cudów męstwa, idąc na zaciętego wroga swojego. Niema pardonu, gdy wilk zmierzy się z lisem, nie może też być mowy o zgodzie w boju, który podsycą wiekowi nienawiść.

Przy każdym wstrząśnieniu śnieg z drzew opadał chmurami, wciąż słychać było huk armat, przeraźliwą detonację bomb i granatów, rozpryskujących się na wszystkie strony. Ludzie milczeli! Oni bez hałasu umieli zabijać. Zresztą cóżby ich krzyki znaczyły wobec tego koncertu piekielnego. Zdawaćby się mogło, że las sam toczy bój zawzięty z olbrzymami nadziemskimi.

Ludzie zabijali się w milczeniu; nie zachęcał jeden drugiego, nie dodawał ducha, nie pocieszał. Kto padł od kuli, ten wstrząsnął się tylko, wydał jęk z siebie i krwią broczył przestrzenie śnieżne. Wśród ciszy leśnej bohaterzy znajdowali miękkie pośłanie grobowe i wyzwolenie z trosk i nędzy żywota. Konie rżały i rzęzały, gdy je schwyciły dreszcze przedśmiertne,—ludzie milczeli.

Napoleon zatrzymał się w domku leśnika w Zaniwkach, z kądem szosa prowadziła prosto do rzeki. Cesarz pragnął sam uczestniczyć w boju, ale powstrzymał go Oudinot.

— Najjaśniejszy Panie! — zawołał, jeżeli tobie miałyby się, broń Boże! przytrafić coś złego, to nic już nie utrzyma tych szeregów rozluźnionych i nikt z nas więcej nie ujrzy Francji.



Zdanie Oudinota podzielało otoczenie całe, które też zaczęło błagać, ażeby cesarz cofnął swój zamiar.

Napoleon niecierpliwie wzruszył ramionami, poczem zapytał:

— Czy niema wiadomości od Victora?

— Ostatnie raporty brzmią pomyślnie, Wittgenstein nie może posuwać się naprzód!

— A co się dzieje na mostach?

— Przemarsz wojsk trwa w dalszym ciągu.

Do cesarza w wyciągniętym galopie zbliżył się adjutant i rzekł:

— Najjaśniejszy Panie! Polacy proszą o pomoc, prawe skrzydło ich jest zagrożone.

— Posłać im najprzód kirasyerów Doumerc'a, a za nimi ułanów. Jeżeli do wieczora zdołamy się utrzymać na stanowisku, to wtedy przyjdzie nam w pomoc część korpusu Victora i ratunek będzie zapewniony.

Adjutant się oddalił, popędził z rozkazami, ale natarcie Polaków stawało się coraz słabsze, ramię ich mdlało już od pracy. Artylerya rosyjska zdobyła w lesie kilka silnych pozycyj, zkąd szerzyła naokoło spustoszenie wielkie. Jedyne trzyma się jeszcze dzielnie słynna legia nadwiślańska, tworząca część gwardyi cesarskiej i jako taka, nosząca na czapkach orły, a na lewem ramieniu trzy sznury czerwone. I ona jednakże rozpaczliwie spogląda, czy wkrótce nie nadejdzie pomoc.

Nagle las cały napełniły ponure odgłosy trąb i ziemia zadrżała pod kopytami końskimi.

To kirasyerzy Doumerca przebiegają, jeden

z tych słynnych pułków, wsławionych pod Aspern. Śmierć, grożąca Rosyanom, we wspaniałe przybraną była szaty; najlepsza konnica Francyi, okuta w pancerze stalowe, w mundurach niebieskich, z powiewającymi na głowie pióropuszcami, szła ścieżką długimi szabłami zniszczenie wśród Rosyan.

Za odjeżdżającymi krzyknął cesarz:

— Towarzysze! Przypomnijcie sobie Eylau, Austerlitz i Wagram! Stara *gloire* żyje i umrze dopiero z wami.

Równocześnie wyruszyli do ataku kirasyerzy sascy, ów dumny pułk księcia Jana, który 600 ludzi utracił na szanłach pod Borodino i który dziś składa się zaledwie z 60-ciu żołnierzy. W ślad za nimi postępowali włoscy „dragoni królowej“ i ulani polscy. Linie rosyjskie chwiać się zaczynają wobec tego naporu konnicy, z czego korzystając, gromadzą się powtórnie Polacy i resztki piechoty Ney'a, oraz księcia Eugeniusza.

Cesarz nie przestrzegł nawet pułkownika Doumerca, ażeby ochraniał wojska swoje, chociaż Napoleon wiedział, iż ostatni to już kwiat wielkiej armii. Chłop w chłopa każdy rosły, silny jak dąb, oficerowie zaś należący do najlepszej szlachty francuskiej. Jeżeli oni zginą, to cóż mu pozostanie teraz, gdy cała armia, nie wyłączając nawet gwardyi równa się ruinie!... Niewolno się oszczędzać, choć by zniweczony miał być ostatni korpus i zabity ostatni żołnierz.

Coraz donośniej i coraz groźniej dolatuje bicie w bębny w obozie rosyjskim. Czyczagow, generał, pochodzący po części z rodziny małoruskiej, a po

części mający w sobie krew cygańską, należał do ludzi zawziętych i raz postawiwszy sobie za zadanie zniszczyć armię Napoleona, cesarza zaś samego wziąć do niewoli, nie myślał bynajmniej pominąć nadarzonej ku temu sposobności. Widząc, że kozacy nie mogą utrzymać się wobec konnicy francuskiej, cofnął ich natychmiast, ale równocześnie porozstawiał w najrozmaitszych punktach lasu, kryjących się za drzewami, estońskich i finlandzkich strzelców. Strzelcy mierzyli tak celnie, że wkrótce całe gromady koni bez jeźdźców błąkały się po lesie. W ten sposób padł Henri Lamote-Cahors, należący do najstarszej szlachty francuskiej, tak zginął Viconte Gaston de Talleyrand, siostrzeniec słynnego męża stanu — Anatole Moreau, kuzyn generała, hrabia Wilhelm von Mark, i temu losowi ulegli również huzarzy wandejscy, którzy w r. 1793-im zdobyli pierwsze wawrzyny dla młodej Rzeczypospolitej.

Widząc klęskę niechybną, gwardya i pułk szwajcarski równocześnie wyruszyły do ataku i wkrótce opanowały baterye, które Rosyanie ustawili przy trakcie, prowadzącym do rzeki. Jedna tylko z tych bateryj trzymała się zawzięcie, zakrywszy się bowiem po za szańcami, usypanemi z ziemi i drzewa, posiadała pozycję tak silną, iż zdawała się niezdobytą.

Wobec powodzenia gwardyi i szwajcarów wszystkie wojska rozwinęły fronty i wyruszyły na nieprzyjaciela.

— Zwycięstwo! zwycięstwo! — krzyknęli kirasjerzy, ułani i dragoni.

Czyczagow musiał las opuścić, pospiesznie też cofał się przez Stakowo aż do małego folwarku, gdzie



zmęczone wojska swoje zaczął doprowadzać do porządku.

Jeden tylko szaniec bronił się uporczywie, co widząc cesarz, rozkazał wysłać do ataku legię nadwiślańską i pułk badeński. Komendę nad jednym z pułków badeńskich objął Deslords, który też odrazu uszykować kazał armaty.

— Lepiejby było pójść na bagnety — zauważył Winters.

— Nie! tego zrobić nie możemy! Ci ludzie wystrzelają każdego, ktoby się odważył stanąć na drodze.

Przed legią nadwiślańską ustawiono dwie armaty i już miano zacząć kanonadę, gdy nagle ustał zupełnie ogień w obozie rosyjskim. Zapadła cisza, pełna grozy. Zanim jednakże rozpierzchły się chmury dymu, na środku pola ukazała się postać kobieca, dosiadająca siwego konia. Kobieta ta miała na ręku przepaskę białą, znak, jaki nosić zwykli wszyscy parlamentarze. Przybliżywszy się do legii nadwiślańskiej, Helena Łakińska rzekła po polsku:

— Polacy! Nadarza się sposobność zerwania pęt, jakimi was skuł cesarz Francuzów! Napoleon nie jest wart odwagi waszej i jeżeli wy go opuścicie, cała armia jego będzie zgubioną.

Chciała coś więcej mówić, ale przerwał jej potężny okrzyk, wydobywający się z piersi żołnierzy:

— *Vive l'empereur!*

Jak jeden mąż wyciągnęli wszyscy Polacy szable z pochew i z trudem przychodziło oficerom rozważniejszym powstrzymać zamiar ukarania hrabianki, szpiega.

Helena smutnie popatrzyła na rodaków i uczynwszy pogardliwy ruch ręką, z wolna, nie uciekając bynajmniej, zawróciła ku szanćcowi rosyjskiemu.

— Hrabianka tak jest wesołą, jak gdyby się znajdowała na balu w Moskwie — rzekł Marceli uszczypliwie, porucznik zaś Wybicki zawołał:

— Klnę się na Boga, że to upiór, nie kobieta! Czyżby która z naszych kobiet odważyła się zbliżyć do nas wtedy, gdy kule świszczą w około?

— Głupstwa pleciesz! — odparł Deslords — nie upiór to, ale czarownica, z piekła rodem! Dosyć nam już ona przyniosła nieszczęścia!

Marceli zwrócił się do starego artylerzysty:

— Mój bracie! Jeżeli w tej chwili wyślesz kulkę za tą damą i jeżeli trafisz ją prosto w głowę, to kieszeń twoją napelnę złotem!

— Zupełnie mi złoto niepotrzebne, panie majorze, kulkę i tak jej wpakuję.

Pomimo tego zapewnienia, wszystkie kulki, wysłane za Heleną, poszły bokiem, ona zaś, jak gdyby domyślała się wszystkiego, zdaleka posyłała pozdrowienia majorowi i otaczającym go oficerom.

Wojsko francuskie poszło do ataku przeciwko szanćcowi, ale zostało krwawo odparte. Przypuszczono szturm po raz drugi — i znów bezowocnie.

Oficerowie zebrali się na naradę, co czynić dalej, i kiedy właśnie zamierzali po raz trzeci uderzyć na bagnety, spostrzegli w niewielkiem oddaleniu cesarza, który stanął nad rzeką i badał położenie. Przy nim znajdowali się: Ney, księżę Eugeniusz i generał Eblé.

Cesarzowi doniesiono właśnie, że most zarwał

się pośrodku i że komunikacya wszelka z marszałkiem Victorem przecięta została zupełnie.

— To źle, to bardzo źle!—rzekł Napoleon—ile czasu zajmie naprawa, generale?

— Najmniej pięć do sześciu godzin — odparł Eblé.

— To stanowczo za długo! Victorowi natychmiast trzeba donieść, ażeby zaprzestał bitwy z Wittgensteinem i resztę korpusu swego przysłał nam na pomoc, Rosyanie bowiem w każdej chwili zacząć mogą na nowo.

— Może wpływ przebyć będzie można rzekę—rzekł jeden z adjutantów i natychmiast udał się na most, gdzie saperzy gromadzili materiały budowlane do naprawy.

W miejscu, w którem most się załamał, otworzyła się szczelina około 25 stóp szerokości, co doskonale widziano w obozie rosyjskim. Po chwilowem też zaprzestaniu ognia, wszystkie baterye rosyjskie zaczęły na nowo ostrzeliwanie miejsca zagrożonego.

Adjutant wspiał konia i wskoczył do rzeki, ale zaledwie przebył kilka kroków, rażony kulą nieprzyjacielską w ramię, stoczył się z konia i zniknął pod wodą.

Za jednym adjutantem pospieszył drugi, potem trzeci, ale wszystkich spotkał los jednakowy. Pozostali nie śmieli iść tym śladem, cesarz też nie wymagał podobnego waryactwa. A jednak Napoleon nie chciał zwlekać dłużej, gniewnie też rzucał okiem wokoło i oczy jego ciskały błyskawice.

W takiej chwili przybliżył się Deslords, który



patrzył na scenę całą i salutował wicekróla. Eugeniusz poznał go natychmiast.

— Ach! to pan, majorze Deslords! Jakże się ciesze, że szczęśliwie przebyłeś rzekę.

— Nietylko, że szczęśliwie, ale jeszcze z miłą od Rosyan pamiątką.

I Deslords ukazał zdobytą na nieprzyjacielu chorągiew.

— Dzielnie się spisałeś, majorze! Cesarz potrafi wynagrodzić waleczność twoją — zawołał Eugeniusz uradowany, a zwracając się do Napoleona, dodał:

— Oto jeden z tych żołnierzy starych, których nieszczęście nie potrafi złamać!

— Poznaję cię, majorze! — zawołał cesarz — życzyłbym też sobie, ażeby podobnych tobie było więcej w mojej armii.

Marceli skłonił się poważnie i natychmiast zwrócił się do wicekróla:

— Powiedziałem już, że będę waszą cesarską mość prosił o pewną łaskę.

— Mów śmiało, majorze!

— Łaska ta dotyczy skazanego kapitana Oettinga. Podług praw wojennych zasłużył on na karę śmierci i gdy wyrok zapadnie, śmierć ową poniesie w sposób, hańbiący zarówno jego, jak i armię całą. Chciałem przeto prosić, ażeby zamiast tej śmierci bezużytecznej, dano mu zgon, mogący przynieść pożytek dla armii. Wyślij go wasza cesarska wysokość teraz przez ten most złamany do marszałka Victora! Jeżeli przejdzie szczęśliwie, co nie jest prawdopodobne, to niech mu wina będzie odpuszczoną, odda nam bowiem niezmierną usługę. Je-

żeli zaś nie przejdzie, to zawsze odpokutuje za grzechy swoje i uniknie hańby.

Cesarz i Eugeniusz spojrzeli na siebie, po chwili zaś rzekł Napoleon, bystro patrząc w twarz majora:

— Nie zależy mi wcale na tem, ażeby cała armia wiedzieć miała o przestępstwie kapitana Oettinga i dlatego przychyliam się do prośby twojej, majorze. Dowiedz się, czy żandarmi przyprowadzili go już na tę stronę rzeki.

Poszukiwania nie trwały długo, Oetting bowiem przeprowadzony już był na drugi brzeg Berezyny, wkrótce też stawiono go przed cesarzem. Błędnym wzrokiem wodził Oetting, ujrzawszy teraz cesarza, wicekróla, marszałków i Marcelego, nie zdawał też sobie sprawy, po co tu został przywołany. Niepewność ta trwała jednakże krótko, Napoleon bowiem rzekł zimno, aż mróz przeszywał serce:

— Kapitanie! widzisz ten most zniszczony przez nieprzyjaciół! Otóż zależy mi, ażeby marszałkowi Victorowi natychmiast zanieść mój rozkaz. Marszałek ma bezzwłocznie zaprzestać dalszej bitwy i być gotowym do przyścia mi tu z pomocą. Trzech adjutantów, którzy wysłani byli z mojego rozkazu, ubiły kule rosyjskie, nie chcę ryzykować więcej i dlatego tobie polecam dokonanie ostatniej próby. Jeżeli powiedzie ci się przedostać do Victora, to poprostu otrzymasz zwykłą dymisyę z armii, jeżeli zaś zginiesz, to los twój w niczem się nie zmieni.

Oetting popatrzył błędnie na rzekę; widział most załamany, widział wzbijającą się w górę wodę, widział kule raz wraz uderzające w rzekę i zrozumiał,

że dano mu teraz do wyboru śmierć pomiędzy kłojem lodową, albo też śmierć z ręki sądu wojennego.

— Niechaj-że i tak będzie! Śmierć w Berezy-  
nie, to jeszcze nie pozbawienie czci!...

Ton wszakże, z jakim cesarz wymówił te słowa, miał w sobie coś takiego, co pobudziło dumę Oettinga, rzekł też, podnosząc w górę głowę:

— Dawniej tego rodzaju polecenia dawałeś, Najjaśniejszy Panie, oficerom swoim jako zachętę do współubiegania się o łaski twoje, skoro więc dziś, mnie biednemu skazańcowi powierzyłeś tak ważną misję, nie mam dość słów do podziękowania za tę łaskę niezwykłą.

Cesarz pogardliwie wzruszył ramionami, Oetting zaś poprosił o konia.

Wicekról kazał natychmiast podać mu konia, a całe otoczenie patrzyło z ciekawością na dalszy przebieg tej sceny.

Marceli, nie zważając na obecność cesarza i marszałków, podszedł do Oettinga i rzekł poważnie:

— Uściśnij mnie, przyjacielu, na tym bowiem świecie nie zobaczymy się już chyba więcej.

— Dziękuję ci serdecznie — szepnął Jan rozrzuwniony, całując gorąco przyjaciela — miałeś rację, że taką śmierć mi uprosiłeś, zawsze ona lepsza, niż hańba.

W tej chwili przybliżył się także Stefan Malinger, którego rękę również czule ścisnął Oetting, potem wskoczył na konia, skłonił się pokornie cesarzowi, oraz księciu Eugeniuszowi i szybko wjechał na most.

I nagle stała się rzecz dziwna. Zaledwie ujechał kilka kroków, bateria rosyjska zaprzestała ognia,



jak gdyby dotknięta różdżką czarodziejską. Na polu ukazała się postać kobieca, powiewająca chustką trzymaną w rękę. Oetting nie mógł tego dojrzeć, cesarz jednakże i całe jego otoczenie widziało dokładnie ową postać kobiecą. Napoleon uśmiechnął się pogardliwie, oczy Egeniusza zabłyśły gniewem, Marcelli stał się trupio blady.

Jan Oetting nie poszedł za przykładem poprzedników swoich, nie próbował, wskoczywszy raz do rzeki, dostać się z powrotem na most, ale popędził konia aż na brzeg przeciwległy. Widziano go, jak wylądował i jak zniknął w szeregach armii Victora.

Nie upłynęło nawet pół godziny, gdy Oettinga ujrzano znów na brzegu przeciwległym, zabierające go się do ponownego przebycia rzeki.

— Ach Boże! gdybyż teraz przepłynął szczęśliwie! — wołał Stefan Malinger, stojąc po za Marcelim.

Major odwrócił się i ponury spojrzał na Malingera, nakazując mu milczenie, podczas gdy Jan spokojnie i równo płynąc, zbliżał się do brzegu.

Naagle z lasu wybiegła chmara kozaków i stanęła u brzegu, czekając na wylądowanie Oettinga. Rzeczą było widoczną, iż nie chcieli go oni bynajmniej zabijać, ale jedynie zabrać z sobą. Kozakami zdawała się dowodzić kobieta.

Oetting oddalony już był zaledwie o dwieście kroków od brzegu, gdy raptownie deska wielka odczepiła się od mostu zepsutego i padła mu na głowę. Jan wydał krzyk przytłumiony, wypuścił cugle z ręki i padł na grzbiet koński bez czucia.

Kozacy przystanęli, jak gdyby w ziemię wrosli, Marcelli zaklął potężnie.

— Boże wielki! więc to wszystko napróżno! — zawołał Malinger.

— Szkoda go—mówił cesarz—choć... chociaż, jak się teraz przekonuję, był to jednak zdrajca.

Całe to zajście przedstawiało się tak zagadkowo, że przedewszystkiem poczekać należało na sprawdzenie, jak z zadania wywiązał się nieszczęśliwy Oetting.

Z zadumy wyrwał cesarza tentent koni i nowe strzały w obozie Victora. Polacy i szaserzy gwardyi przypuścili piąty atak do broniącej się ustawicznie bateryi i pomimo zawziętej obrony, wzięli ją bagnetami. Rosyanie uciekali pospiesznie z lasu, a z nimi hrabianka Helena Łakińska, której wszystkie nadzieje rozwiały się w tej chwili: armia napoleońska trwała w dalszy ciągu, Polacy nie dali się skłonić do przejścia na stronę Rosyan, Jana Oettinga nie umiała uratować...

Kiedy major Deslords, drząc na całym ciele, z członkami skostniałymi usiadł na pniu w lesie, mimowoli potracił nogą o trupa. Przyjrzał się bliżej i poznał dzielnego, zawsze wesołego Badeńczyka, kapitana Wintersa; pałasz rosyjski przeciął mu głowę na dwie części. Smutnie i długo patrzył na twarz przyjaciela, potem udał się po Stefana Malingera i razem z poczciwym Bawarczykiem śnieg odgarniać zaczęli i grób kopali dla jednego z członków wielkiej armii napoleońskiej.

— Ta Berezyna—rzekł—to Styks dla armii naszej! Pozostaliśmy tylko we dwóch, Stefanie! Winters nie żyje, Rinconi utonął, Oettinga trupa nie odnajdziemy nawet. Przeklęty kraj i potrzykroć przeklęta ta rzeka!

— Widocznie tak było przeznaczone, panie majorze, a co komu przeznaczone, to go nie minie.

— Czy ty w to wierzysz?

— Wierzę święcie. Widocznie nie była nam jeszcze śmierć przeznaczoną, gdy nie potopiliśmy się wszyscy w rzece.

— I cóż się z nami stanie dalej?

— Przebijać się będziemy!

Major Deslords uścisnął czule rękę sierżanta Malingera i obydwaj uronili łzę nad poległymi towarzyszami.

W kilka godzin później resztki 9-go korpusu posuwały się przez most naprawiony na prawy brzeg Berezyny, marszałek Victor zaś natychmiast po przejściu zameldował się u cesarza.

— Czy otrzymałeś mój rozkaz, panie marszałku?

— Otrzymałem, Najjaśniejszy Panie! Przywiózł mi go oficer gwardyi włoskiej i nakazał, ażebym natychmiast przygotował się do przemarszu.

Cesarza zastanowiło to, że Oetting jednak sumiennie spełnił polecenie. Dlaczego ten człowiek generała Corbineau wywiódł w pole?... Było w tem coś, czego cesarz nie mógł zrozumieć dokładnie.

— Czy odparłeś, marszałku, generała Wittgensteina?

— Najzupełniej, Najjaśniejszy Panie! Wojska moje były się świetnie.

— I moje były się dzielnie, Czyczagowa wypędziliśmy z lasu.

— A więc droga jest wolną.



— Najzupętniej! Teraz pomarszerujemy na Zębin i jutro biwakować będziemy w Brysie.

Potem wyruszymy ku Wilnu, a pan zawsze będziesz zabezpieczał tyły armii.

Na usta Victora wybiegł uśmiech ironiczny.

— Jestem to zawsze czynić gotów, Najjaśniejszy Panie, ale armia przecież nie istnieje więcej.

Napoleon wzrok lodowaty zapuścił w twarz marszałka.

— Czy straciliśmy dziś sztandar choćby jeden?

— Nie, Najjaśniejszy Panie!

— Czy armaty wzięli nam nieprzyjaciele?

— Nie, sire.

— Czy którykolwiek z marszałków albo z oficerów sztabowych poddał się Rosyanom?

— Nie, Najjaśniejszy Panie!

— Niechaj więc sobie po śmierci naszej gadają głupcy, co zechcą, ale ja ci mówię, marszałku, że moja armia istnieje, chociaż utraciła wielu ludzi. Naprzód za mną, moi panowie! Droga do Francji otwartą!

. . . . .

W godzinę później cesarz ujrzał na skraju lasu, tam, gdzie rozpoczynał się trakt do Zębina, powóz, który widocznie oczekiwał na niego. Napoleon przybliżył się szybko i ku zdziwieniu swojemu dostrzegł bladą twarz Maryi Walewskiej. Przez okna karety wyciągnęła do niego rękę i rzekła:

— Jesteś uratowany! Rosyanie cofają się na całej linii, droga do Wilna stoi otworem.

— Widzisz zatem, że można jeszcze walczyć przeciwko przeznaczeniu!

— A ja myślałam, że ciebie nic już nie uratuje.

— Tak też i było na pozór; wszystko się przeciwko mnie sprzyściło, a jednak przemogłem siłą woli.

— Radzę ci jednak nie ufać szczęściu swojemu, wystawiło cię ono na straszliwą próbę.

— Mam nadzieję, że to szczęście uśmiechać mi się będzie dłużej jeszcze.

— Nie tryumfuj przedwcześnie! Do Niemna jeszcze tak daleko, wojska twoje nie mają żywności, w armii twojej panuje najzupełniejsze rozluźnienie!

— Muszę się przebić naprzód! I ja wierzę w przeznaczenie, i właśnie dlatego, że w nie wierzę, pewny jestem, że nie umrę w tym kraju. Gwiazda moja świeci jeszcze na niebie, chociaż ono zdaje się takie pochmurne!

Napoleon serdecznie pożegnał kochankę swoją i wolno skierował się ku kolumnie gwardyi, która z zapalem witała nadjeżdżającego wodza.

---

## XIX.

### Wśród chłopów i wilków.

---

Jan Oetting nie został zabity, jak to myślał cesarz, Marcelli i wszyscy, którzy przypatrywali się scenie na rzecę. Koń jego, ogier małoruski, przyzwyczajony był do przebywania wplaw większych nawet i bystrzejszych rzek, aniżeli Berezyna, jeżeli zaś Oetting nie wypadł z siodła omdlawszy, to zawdzięczał jedynie właśnie tej desce, która przycisnęła go ciężarem swoim i tym sposobem przytwierdziła niejako do konia.

Zimno, udzielające się z wody, przywiodło go znów do przytomności, a instynkt samozachowawczy nakazał mu opasać rękoma szyję końską i zdać się na los szczęścia. Koń, niezmiernie czyniąc wysiłki, płynął ustawicznie w dół rzeki, chociaż uderzały go kawały lodu, i nareszcie powiodło mu się stanąć na prawym brzegu rzeki.

Jan kołysał się w tę i ową stronę, krew spływała mu z czoła, gdy rozglądać się zaczął w okolicy. Od głównego teatru wojny znajdował się teraz



w dość znacznem oddaleniu, co łatwo osądził po tem, że uszu jego dolatywał głuchy tylko odgłos strzałów armatnich. Grupy ludzi i koni płynęły wciąż rzeką, co straszny przedstawiało widok wobec zachodzącego już zmroku. Oetting ujrzał w pewnem oddaleniu las wielki, rozciągający się szeroko, przed tym lasem zaś stał domek, zupełnie śniegiem pokryty, a z komina wydobywał się dym czarny.

Nie namyślając się długo, skierował się w stronę tego domku, będąc pewnym, że natrafi tu na ludzi, zaledwie jednakże ujechał sto kroków, gdy posłyszał krzyki i spostrzegł gromadę chłopów uzbrojonych, zbliżających się szybko ku niemu. Chłopi ci opadli go natychmiast, zrzucili z konia i wiązać zaczęli ręce. Oetting, osłabiony, nie próbował nawet się bronić, chłopci zaś z tryumfem poprowadzili go do wsi. Wszystkie chałupy wiejskie przepelnione były żołnierzami, zakwaterował się tu bowiem oddział grenadyerów armii Czyczagowa.

Jana Oettinga, związanego oddano teraz w ręce żołnierzy, którzy nieszczęśliwego przyjęli potokiem wymysłów, a nawet popychali go i bili kolbami. Jan prosił, ażeby go zaprowadzono do oficerów, ale próbie tej towarzyszyły tylko śmiechy, które kto wie, jakby się były zakończyły, gdyby nie nadszedł młody oficer z małym jasnym zarostem, doskonale rozumiejący język francuski.

— Mam chyba prawo żądać, ażebyś się pan tym ludziom kazał ze mną obchodzić przyzwoicie — zawołał Oetting—i proszę wydać odpowiednie rozkazy. Wiadomo panu niezawodnie, jakie są zwyczaje

w tym wypadku pomiędzy narodami cywilizowanymi...

Oficer uśmiechnął się ironicznie i rzekł, dobitnie akcentując każdy wyraz:

— Będziemy się z panem tak obchodzili, jak się obchodzą Francuzi z naszymi biedakami.

To rzekłszy, z lekceważeniem odwrócił się od Oettinga, który nie mógł się teraz spodziewać żadnej ulgi. Zbyt często Oetting był świadkiem rozstrzelania jeńców francuskich, słyszał też o tem, że kozacy, mszcząc się za krzywdy swoje, jeńców wojennych rozbierali do naga i wypędzali na pola, ażeby tam marzli w śniegu. Nie była to nawet dzikość, ale prosta samoobrona, ci jeńcy bowiem musieli być żywieni, a pożywienia brakło zbyt często dla własnych żołnierzy. Wojna w tym kraju przestała już oddawna być wojną prawidłową, a zamieniła się na walkę o chleb.

— Niechaj przynajmniej ci ludzie zobaczą, że nie pohańbię munduru francuskiego! — rzekł Oetting i dumnie podniósł głowę do góry.

Energiczne zachowanie się jeńca zaimponowało kapralowi rosyjskiemu, który też natychmiast poprowadził Oettinga do biwaku, gdzie rozpalony był ogień wielki i gdzie grzali się grenadyerzy. Tu Jan mógł rozgrzać się przynajmniej i wysuszyć ubranie, nasiąknięte wodą; pozwolono mu także pożywić się zupą, gotującą się w kotle wielkim, a złożoną z kapusty, mąki i małych kawałków mięsa.

Adjutant wicekróla Eugeniusza przypatrywać się zaczął otoczeniu swojemu i nie trudno mu było dostrzedz, że wszyscy ci żołnierze wyglądali nad wy-

raz nędznie. Pułk grenadyerów uczestniczył już w bitwie, niektórzy więc żołnierze mieli głowy, ręce i nogi obwiązane szmatami, a mundury wszystkie podarte. Oficerowie gestykulowali żywo i często z niepokojem wskazywali na okolicę Studzianki. Bitwa ta bowiem niemniej dała się we znaki Rosyanom, jak i Francuzom, co Oettingowi nietrudno było wyrozumieć po gestykulacji oficerów i postawie szeregowców.

Nie miał jednakże czasu czynić obserwacji odpowiednich, wkrótce bowiem nastąpił zwrot groźny dla niego. Uderzeniem kolbą w kolano kazano mu powstać z miejsca i udać się przez uliczki wsi do młyna opuszczonego, gdzie zastał już wielu jeńców Francuzów. Drzwi zamknęły się za nim, ciemność zaś wewnątrz panowała tuka, że Oetting powoli dopiero rozglądać się zaczął w nowem położeniu.

Towarzyszem jego w więzieniu był przede wszystkim jakiś huzar holenderski, dalej dwóch gwardzistów cesarskich, pięciu, czy sześciu Badeńczyków, dziesięciu Polaków z pułku księcia Czartoryskiego i trzech szaserów francuskich. W pierwszej chwili ucieszył się, że będzie mógł pomówić z tymi ludźmi ich ojczystym językiem; ale wkrótce przekonał się, że ci nieszczęśliwi wcale nie są skłonni do rozmowy i wszyscy ponuro patrzą w ziemię, dumając nad swoim losem nieszczęsnym.

— Założę się z wami—zawołał nagle szaser— że wszystkich nas wyślą na Sybir.

— Nie gadałbyś bracie!—odparł Badeńczyk—co najwyżej przetransportują nas do Moskwy.

— To mi już zupełnie obojętne—wtrącił trzeci—



dopóki z żołnierzami mamy do czynienia, to jeszcze nic złego, ale jeżeli pozostawią nas na pastwę chłopstwa, to źle będzie z nami!

Wszyscy zamilkli, a każdy przypominać sobie zaczął owe historye straszliwe, opowiadane w armii francuskiej, o torturach, jakie zadawać mieli chłopci wziętym do niewoli Francuzom.

Zwolna strach wstępować zaczął w serce Oettinga, przypomniał też sobie, że chłopci ci nigdy nie budzili w nim zaufania. I teraz miałby popaść w ich ręce! Nie! lepsza śmierć samobójcza!

Przez całą noc, smutną noc, żołnierze zamknięci byli w młynie, ale nie spał nikt prawie.

Wiatr świszczął i szczelinami wciskał się do izby, mróz ścinał kości, a jeńcy rozmyślali nad krajem rodzinnym, nad ogniskiem domowem i nad tymi, co pozostawiali hen! daleko na zachodzie.

Śnieg ustał na dworze, ale zimno przejmowało coraz większe, niktby też spać nie mógł i jeńcy biegali po izbie uderzając nogą o nogę dla rozgrzania. Oprócz zimna, obawa tego, co nadejść może, nie pozwoliła zmrużyć powiek.

Po północy ustały wszelkie sygnały w obozie rosyjskim, nie słychać też było rżenia koni, ani nawoływania się żołdatów. Zdawałoby się mogło, że wojsko opuściło wioskę, chociaż wydało się to wszystkim nieprawdopodobnem. Przecież zabraliby z sobą jeńców!...

Nadzieja ta niesprawdziła się jednak. Nadszedł ranek, cisza panowała coraz większa, ale drzwi młyńska wciąż były zabarykadowane. Przez szczeliny ścian wdzierało się słońce, ale nikt nie podszedł

z łyżką ciepłej strawy. Jeńcy z biciem serca spoglądali po sobie, a we wzroku tym malowała się rozpacz i obawa, czy nie każą im w tej szopie młyńskiej ponieść śmierci głodowej. Jakiś gwardzista, Paryżanin, a więc w nieszczęściu jeszcze zabawiający się dowcipami, krzyknął:

— *Sacrebleu!* Jeżeli te gałgany chciały się nas pozbyć, to przynajmniej w takiej porze roku powinni nas byli wpakować do pieca, ale nie do młyna dziurawego!

Zaśmiano się na razie, ale po chwili umilkli wszyscy, podedrzwiami słycać bowiem było jakieś głosy ludzkie, i po chwili wrota się otwarły, a do izby wkroczyła wśród okrzyków groźnych i gestykulacji groźnej banda chłopów. Pomimo, że nikt nie rozumiał języka, przeczuwano, iż ci ludzie wiedli spór pomiędzy sobą o to, jak postąpić z jeńcami, których żołnierze, nagle otrzymawszy rozkaz do wymarszu, pozostawili we wsi.

Barczyste postacie chłopów, ich czoła niskie, nosy krótkie, niemiłe wrażenie sprawiły na jeńcach, zapach zaś kozuchów oddziałał na delikatne powonienie ludzi z zachodu.

Chłopi, jak na dzikie zwierzęta, patrzyli na tych obezwładnionych Francuzów.

— Na cóż oni czekają jeszcze? — szepnął Oetting do ucha jednego z gwardzistów, ów zaś odparł:

— Czyby nie można się uwolnić?

To mówiąc, spojrział przez drzwi otwarte na podwórze. Słońce jasno świeciło na niebie. Jan wzrokiem pokazał swoje ręce związane. Gwardzista uśmiechnął się tylko i popatrzył na gwóźdź zarzede-

wiały, sterczący w ścianie. Pokazało się, że ten człowiek przez noc całą poruszał ów gwóźdź, który teraz luźno zupełnie trzymał się muru.

— Trzeba ten gwóźdź wydostać — szepnął żołnierz— a wtedy uwolnimy ręce nasze!

Chłopi porozumiewali się długo, co czynić z jeńcami, wreszcie zgodzili się na sposób postępowania i dzielić zaczęli Francuzów na grupy pojedyncze. Pierwszej grupie rozkazano wyjść na dwór, reszta pozostała pod opieką straży.

Oetting i dwaj gwardziści cesarza patrzyli, co się stanie z pierwszą grupą towarzyszków, i zobaczyli, że prowadzono ich przez wieś do rozpościerającego się szeroko stawu.

Słońce przyświecało jasno, dzień był cudownie piękny, chociaż mroźny. Śnieg, który przez dwa dni padał bez przerwy, błyszczał teraz, jak gdyby najdroższe wkoło rozsypywał kamienie. Ponad wierzchołkami drzew unosiły się chmurki czerwonawe i białe i jak filigranowe przepaski odbijały się od błękitnego nieba. Na dachach, płotach i pieńkach drzew, leżał śnieg, olśniewający blaskiem swoim.

Oetting i jego towarzysze widzieli wyraźnie, że nad brzegiem stawu zgromadziła się wielka ilość chłopstwa.

Jeden z gwardzistów zadrżał też nagle i stał się bielszy od chustki.

— Co to znaczy? Co oni robią? -- zapytał Jan żywo.

— O Boże! Daj nam umrzeć teraz! — wykrzyknął gwardzista, drżąc na całym ciele — widziałem wyraźnie, że chłopci tych biedaków rozbierali do na-



ga, oblewali ich wodą z przerebli i tak kazali im marznąć na śniegu. Boże! bądź miłościw nam grzesznym, a Ty, Panienko święta, weź nas w opiekę Swoją!

Krew wzburzyła się w Janie na myśl o takiej śmierci haniebnej.

— Towarzyszu! — szepnął do gwardzisty — czy nie masz ochoty razem ze mną spróbować jeszcze ucieczki?

Gwardziście rozweseliły się oczy.

— Lepiej zastrzelonym być podczas ucieczki, aniżeli umrzeć w ten sposób. Niechajże się nie chwala, że zadrwili z gwardyi cesarskiej!

— W takim razie stań tuż przy mnie i w ścisku staraj się tym gwoździem uwolnić mi bodaj jedną rękę. Wtedy ja rozetnę twoje sznury i dam ci znak odpowiedni.

Jan razem z towarzyszem ostrożnie przybliżyć się zaczęli do drzwi i uważali bacznie, ażeby chłopie nie spostrzegli ich ruchów.

Po jakimś czasie powrócili znów do młyna pierwsi chłopie i zabrali drugą partyę jeńców z sobą. Teraz trzeba było energicznie przystąpić do dzieła, nikt nie mógł bowiem wiedzieć, czy w następnej partyi nie znajdzie się Jan z towarzyszem. Od strony stawu rozległ się krzyk przeraźliwy i dozorczy wybiegli zobaczyć, co się stało. Na tę chwilę oczekiwał właśnie Oetting, który nie widząc bacznie zwróconych oczu dozorców na siebie, uwolnił najprzód lewą rękę swoją, później prawą towarzysza i razem z nim wypadł pośpiesznie z młyna.

Blask dzienny ich oślepił. Śnieg błyszczał, a domy i chałupy zdawały się tańczyć wokóło.

Oetting z gwardzistą biegli wzdłuż wsi przed siebie, nie wiedząc nawet, dokąd dążą. Kobiety i dzieci usuwały im się z drogi i zanim spostrzeżono ich ucieczkę, byli już blisko szerokiego lasu sosnowego. Za sobą posłyszeli wystrzały, nie odwrócili się jednak i pędzili do lasu, który za bezpieczną uważali ostoję.

Nagle Oetting posłyszał krzyk, obejrzał się i zobaczył, że towarzysz jego, ugodzony kulą, padł na ziemię, kurczowo chwytając się śniegu.

Jan ani na chwilę nie zwolnił kroku i pędził dalej, dopadł też wreszcie lasu i zniknął wśród drzew śniegiem pokrytych. Nikt nie wyruszył za nim w pogon, widząc też, że w lesie czuć się może bezpiecznym, Oetting przystanął na chwilę. Sam nie wiedział, co czynić dalej, przedewszystkiem też należało się zorientować w położeniu. Wiedział, że znajduje się na prawym brzegu Berezyny, przypuszczał zatem, że ów las, w którym się znajduje, należeć musi do Stakowa i że ku zachodowi znajduje się droga do Kamienia. Gdyby mógł znaleźć tę drogę, byłby uratowany. W kieszeni znalazł Oetting kompas, podług którego mógł się oryentować i potężną rację nietkniętego chleba; zimna nie obawiał się wcale, miał bowiem na sobie ciepłe futro huzarskie.

Całym zadaniem nieszczęśliwego zbiega było teraz wydobyć się w stronie zachodniej z lasu obszernego, bez ognia bowiem i dachu nad głową, położenie jego było nader niebezpieczne. Nie ludzi się obawiał, ale zwierząt dzikich, ukrytych w lesie.

Odpczawszy chwilę, śmiało wyruszył naprzód, ale przez kilka godzin napróżno błąkał się, szukając jakiegokolwiek drogi. Cisza przeraźliwa panowała wokoło niego, słońce i śnieg paliły mu oczy, a chociaż tu i owdzie napotkał na wyraźne ślady ludzkie, nigdzie nie ujrzał drogi, ani ścieżki. Czuł niczem nie-przeparte pragnienie, które zaspakajał garściami śniegu, zabierał z sobą wszystkie napotykanne kawały drzewa i tak zabezpieczony, kroczył ciągle dalej i dalej.

Zwolna zmrok zaczął już zapadać, stawało się coraz ciemniej, a Oetting błędził wciąż po lesie, nie znajdując wyjścia z tego labiryntu; usiadł przeto pod sosną największą i zadumał się nad położeniem swoim. Wypoczawszy chwilę, ruszył znów dalej, ażeby nie dać się zmorzeniu i nie zasnąć na śniegu snem wiecznym. Po półgodzinnem błędzeniu natrafił na szalas, zbudowany przez leśników, i rad był, że przynajmniej znalazł dach nad głową, który go zasłonił przed padającym śniegiem. Zapalił pośpiesznie ogień i grzać się zaczął oraz pożywiać się chlebem, poczem na noc przygotował sobie posłanie z gałęzi i padł na nie zmęczony. Przeraźliwa cisza, panująca wokoło, nie pozwalała zasnąć człowiekowi, przyzwyczajonemu do huku armat i życia obozowego, wyobraźnia też pracowała ustawicznie, coraz nowe podsuwając mu widoki. Helena — Marceji — wicekról — armia — cesarz — wszystko to przesuwano się kolejno przed oczyma. Mniejsza zresztą o wszystko, ale czy przynajmniej w oczach Deslordsa odpokutował za przewinienie swoje, czy też ciągle jeszcze uchodził za zdrajcę wśród kolegów! Ta myśl trapiła go teraz najwięcej!



Ustawicznie zadawał sobie pytania, na które nikt nie umiał mu dać odpowiedzi.

Sosny stare zdawały się nic nie wiedzieć o dramacie dziejowym, jaki się rozgrywał o kilka mil za ledwie, a Oetting pytał się dalej, czy bodaj jeden korpus francuski dojdzie do Niemna, czy bodaj jeden orzeł napoleoński dotrze do Francji?

Sosny od czasu do czasu poruszały swe korony i milczały uporczywie.

Oetting przypomniał sobie owe chwile, gdy przy boku cesarza przekraczał przez Niemen, gdy sztandary powiewały w powietrzu, a muzyka wygrywała marsze zwycięskie. Jakże oni wesoło, jak pewni siebie witali wschód słońca na ziemi rosyjskiej! Setki języków mieszały się wtedy z sobą, narody bratały, Portugalczycy ściskali ręce Duńczykom, Holendrzy—Niemcom, Włosi—Francuzom, Szwajcarzy—Hiszpanom, a wszystkich wiodło na północ magiczne imię: Napoleon.

Pobicie Rosji miało ukoronować ich życie waleczne, a Francja z bogactwami miała łupami, zdobytymi na wschodzie.

A teraz?...

Gromada kostniejących z zimna i głodu uciekinierów, nic więcej! Z dziesięciu wróci do domu za ledwie jeden, katastrofa, jakiej nie bywało przedtem...

Jan czuł, że go opanowywa febra, w malignie też coraz nowe stawały przed nim obrazy.

Czyżby ta Berezyna stać się miała grobem sławy Napoleona? Czyżby zaczynała się teraz nowa era w historii, era, w którejby Napoleon przestał być siłą pobudzającą, źródłem mądrości rządzenia?

Oetting widział cesarza w pamiętnej dla siebie chwili nad Berezyną, ale z twarzy jego kamiennej nie mógł nic wyczytać.

Cesarz i Helena! Dwie te postacie krzyżowały się ustawicznie w umyśle Jana; jedna z nich była uosobieniem tyranii dla ludów—druga nienawiści ludu dla tyrana. Cesarz tworzył dla Oettinga ideał nie-dościgły, a jednak rozumiał on teraz nienawiść hrabianki. Helena miała słuszność, że nienawidziła Napoleona, bo ten człowiek męczył ludy, bo on szczył przeciwko sobie narody, on ludziom w ciało wpijał ostrogi, jak się je wpijać zwykło tylko koniom. Co dla niego znaczyła krew ludzka, gdy chodziło o dogodzenie pysze własnej!

Zmęczony, osaczony ze wszystkich stron w lesie, ofiara zachceń cesarskich, zrozumiał teraz Oetting, że Napoleona nie tylko wielbić można, ale także nienawidzić głęboko.

I czemuż on był, on, Jan Oetting, leżący teraz w szalasiu na śniegu? Wszakże był zawsze tylko *Niemcem*, służącym w armii *francuskiej*.

Po raz pierwszy w życiu uczuł, że jednak hańbą jest krew swoją przelewać dla obcego władcy. Dotychczas nie myślał nigdy o tem; zaciągnął się razem z innymi w szeregi francuskie, dał się porwać wirowi wojennemu, a resztę sprawił urok imienia Napoleona.

Nie sam przecież zawinił w ten sposób!

W szeregach wielkiej armii znajdowało się 160 tysięcy Niemców. Więc czemuż była ta cała armia napoleońska, jeżeli nie sztucznie pozszywaną siłą, zlepkiem narodów? Gdyby ci ludzie przejrzeni, gdy-

by poczuli odrębność swą narodową, ten korsykanin pozostaćby musiał sam, bez możności dokonania planów zaborczych.

Wszystko to mówił sobie Jan w tej chwili rozpaczliwej, a jednak zawsze uparcie powracał mu do głowy wyrzut sumienia, że jako oficer tej wielkiej armii złamał przysięgę i towarzyszków naraził na zgubę i że dla miłości kobiety zdradził cesarza i armię na klęskę. Zgubiła go Helena, a jednak rozpamiętywał teraz wszystkie chwile błogie, jakie przeżył z nią razem. Z początku widziała w nim ona tylko obrońcę swojego — potem przyjaciela i nareszcie... ukochanego. Oetting podziwiał siłę woli w tej kobiecie, która nawet wtedy, gdy odpłacała pieśszoty, jeszcze nie zapomniała o głównym celu życia swojego, o nienawiści dla Napoleona. Piękną była, wspaniałą nawet, ale rozważając teraz wszystko na zimno, Jan nie dostrzegał w niej uroku kobiecości. Może później, przy boku jego, stałaby się kobietą tkliwą i sercową. Może... może...! wszystko minęło.. zapóźno... zapóźno...

Jan westchnął głęboko. Nawet teraz, wśród niepewności jutra, myślał tylko o tem, czy jeszcze zobaczy w życiu hrabiankę. O Marcełim nie myślał prawie wcale, odkąd bowiem miłość wyłącznie zapłonowała w jego sercu, zabrakło miejsca dla uczucia przyjaźni.

Oetting nie mógł zasnąć, z oddali dochodziło go wycie wilków, krzyk przeraźliwy sów, miauczenie kotów dzikich, przytem zimno dokuczało mu bardzo.

Zaledwie też dzień zaczęło, Jan zerwał się z posłania, zjadł kawałek chleba i poszedł szukać drogi,



któraby go mogła zaprowadzić do armii. Błądził w ten sposób aż do południa i nic nie dojrzał, tylko śnieg i śnieg wokoło, tylko sosny coraz wyżej strzelały ku niebu, tylko gdzieś natrafił na strumyk zamarznięty, a zresztą cisza panowała wielka.

Około południa mgła zasnuwać zaczęła las cały i Jan zatrzymać się musiał, nie widząc nic przed sobą. Osłabły padł pod drzewem, w oczach ukazywać mu się zaczęły ogniki, zdawało mu się, że widzi jakieś postacie, mundury, cesarza, Helenę — zerwał się przeto, ażeby nie usnąć, i biegł dalej.

Nagle przystanął, do uszu jego doleciał huk bębnow. Rzucił się przeto naprzód, to znów przystanął i nasłuchiwał, a twarz zaczęła mu się rozjaśniać weselem. Odgłosy bębnow i trąb stawały się coraz donośniejsze, nie ulegało też wątpliwości, że to oni, to towarzysze... ratunek!..

Jan zdobył się na ostatni wysiłek i pędził z rozpaczą naprzód, krzycząc i wzywając ratunku. Nikt mu nie odpowiadał, drzewa milczały, a mgła stawała się coraz gęstsza.

Wkrótce ustało bicie bębnow i Janowi zdawało się, że chyba musiał się omylić. Smutny przeto zwiesił głowę na piersi i popatrzył wokoło. Niedaleko od niego czernił się na śniegu jakiś przedmiot, podszedł zatem i podniósł z ziemi ładownicę oznaczoną Nr. 11, a więc należąca do oficera pułku huzarów holenderskich; o kilka kroków dalej leżał pałasz oficera szaserów.

Nowa otucha wstąpiła w serce Oettinga, tem więcej, że mgła zaczęła się przerzedzać i księżyc rzucał blade światło na las, śnieg i przedmioty różne,

coraz gęściej zaścielające ziemię. Broń połamana, ślady krwi, kawałki płótna leżały wokoło, co świadczyło wyraźnie, że albo znajduje się w bliskości armii, albo też, że tędy przebiegali, pędzeni przez oddziały rosyjskie, uciekający Francuzi.

Mróz i głód dokuczały mu teraz strasznie, nie wiedział też, gdzie na noc złożyć głowę swoją. Pomimo to szedł ciągle naprzód, a idąc w ten sposób, natknął się na trupa, opartego o drzewo. Jan przyglądać się zaczął bacznie i ujrzał jednego z kolegów swoich w mundurze zielonym korpusu włockiego. Był to oficer gwardyi strzelców, z którym Oetting niejedną noc wesołą przepędził w ogrodach rajskich w Monzy. Jan chciał pójść dalej, ale cofnął się przerażony, w bliskości bowiem posłyszał wycie ochryple i trzask gałęzi. Stado wilków ciągnęło przez las.

Nie widząc żadnej innej obrony, Jan wskoczył na drzewo i patrzył, co się dzieć będzie dalej. Wilki zaczęły się nawoływać i stanęły gromadą przed trupem oficera włockiego, nie tknęły go jednak, jak gdyby czekały na coś, czy na kogoś. Jeden z wilków wyruszył z powrotem do lasu i zaczął wyć, nawołując towarzyszków. W istocie po chwili nadciągnęły znów dwa wilki, ale i te stanęły przy trupie, nie śmiąc go napocząć. Nareszcie pojawiło się stare wilczysko, którego głowa i ogon białe były zupełnie, i ten pierwszy odgryzł ramię oficerowi; było to niejako sygnałem do rozpoczęcia uczty.

Jan wzdrygnął się na ciele całym i zamknął oczy, nie chcąc patrzeć na tę ucztę okropną. Wilki nie zauważyły nawet obecności jego na drzewie, tak bardzo zajęte były łupem swoim. Nasyciwszy się,

gromada zwierząt znów rozpierzchła się po lesie, ale Jan bał się zejść z drzewa, ażeby nie popaść w ich szpony, czuł się przytem tak zmęczonym, że nie mógłby pójść dalej. Na drzewie przeczekał do rana, wypoczął i ruszył dalej, trzymając się śladów rozrzuconych, a pochodzących od poległych żołnierzy francuskich.

Las zaczął się przerzedzać, jakiś wiatr świeży powiał; Oettingowi żywo zabiło serce, biegł już teraz bez opamiętania, chociaż nie wiedział, czy na skraju lasu znajdzie pole szersze, czy też domy ludzkie, których się bał najwięcej. Znalazłszy się na skraju lasu, stanął zdumiony— przed nim rozlewały się znów wody Berezyny. A więc znalazł się znów nad brzegiem tej rzeki, która grobem się stała dla tylu dzielnych żołnierzy wielkiej armii.

Jan nie wiedział teraz, co począć, nie wiedział, w której się znajduje stronie rzeki, czuł tylko, że przez dwa dni okrążał wciąż Berezynę i że prawdopodobnie posunął się w dół daleko od mostów pod Studzianką.

Pomiędzy krą płynęły wciąż jeszcze trupy, mundury, broń, hełmy kirasyerskie i czapki niedźwiedzie. Oetting nie mógł patrzeć dłużej na to zniszczenie i udał się wzdłuż lasu, zdaleka dostrzegając pole szerokie, gdy nagle przed oczyma jego błysnął ogień wielki. Zdawało się, że las cały mienił się przepięknymi farbami, a śnieg nabierał to koloru pupury, to fioletu; na gałęziach zwieszały się brylanty, rzucające jasno-żółte, to znów ciemno-niebieskie blaski wokoło. Widok ten był tak wspaniały, że nawet Jan, zmęczony, przez chwil kilka nie mógł oczu oderwać,



poczem dopiero obejrzał się wokoło i zobaczył, że wieś, zapalona nagle, oświetliła piękny las Stakowa. Wśród powodzi ognia ujrzał przesuwające się postacie ludzkie, rozpoznawał mundury.

Oetting biegł szybko ku wsi, stojącej w ogniu i wkrótce znalazł się przed zdziwionymi niepomiernie dwudziestu grenadyerami dywizyi Moranda, należącej do korpusu Davouta. Oprócz nich było tu jeszcze kilku Westfalczyków z korpusu Junot'a, którzy wszyscy razem grzali się przy ogniu podpalonego domu. Żołnierze ci byli uzbrojeni dobrze, chociaż ciała pokrywały już tylko strzępy mundurów.

Po wzajemnych powitaniach, Oetting natychmiast rozpytywać się zaczął o armię i cesarza.

Nie umiano go objaśnić, ci ludzie bowiem od dwóch dni, oddzieleni od korpusów swoich, błądzili pomiędzy lasem a rzeką. Niczego więcej nie dowiedział się przeto Oetting, jak tylko, że dzień przedtem przemaršerowały tędy oddziały wojsk francuskich i że odchodząc, zapaliły wieś na pożegnanie.

— Trzeba się nam spieszyć, ażeby się połączyć z oddziałami temi — zawołał Oetting — Rosyanie bowiem mogą nas tu w każdej chwili wziąć w niewolę.

— Rosyanie nie ruszą się z miejsca — odparł jeden z grenadyerów, drugi zaś dodał:

— Mają oni dosyć do roboty po bitwie, a zresztą obojętne nam to zupełnie, my bowiem przede wszystkim musimy wypocząć i zagrzać się tutaj.

— Czy cesarz uszedł cało? — pytał się Jan w dalszym ciągu, ale znów grenadyerzy nie umieli go objaśnić, jeden z nich tylko przypomniał sobie,

że widział cesarza w powozie, otoczonego czworobokiem gwardyi przybocznej.

Jeżeli przedtem panował już nieład w armii, to teraz znać było zupełne rozluźnienie; każdy na swoją rękę starał się o ratunek, nic też dziwnego, że Oetting nie dowiedział się ani o losie korpusu księcia Eugeniusza, ani tem mniej o resztkach 84-go pułku. Jakiś Westfalczyk tylko mruknął po niemiecku:

— Z tych mundurów zielonych, jakie pan masz na sobie, nie wiele już pozostało, a i tę resztkę wezmą dyabli, jak nas wszystkich!

Jan spojrział na tego wysokiego mężczyznę z długą brodą i oznakami kaprałskimi, a na ramieniu jego odczytał nr. 57-my. Oetting znał ten pułk doskonale i wiedział, że nr. 57-my oznaczał sam wybór armii napoleońskiej. Pułk 57 zasłużył się w roku 1796 we Włoszech, gdzie zdobył sobie przydomek: *Le terrible*.

Kapral westfalczyk miał widocznie poważanie wśród swoich, natomiast odznak oficerkich Oettinga nie respektowano tu wcale. W tych warunkach nie istniały już stopnie starszeństwa, wszyscy też Oettingowi mówili wprost „ty.“

Pomimo to postanowił on przyłączyć się do tej garstki, był to bowiem jedyny sposób dostania się prędzej, czy później do armii.

Noc przepędzili wszyscy w domu na pół tylko spalonym, znaleźli też tu osłonę przed zimnem i wiatrem.

Nazajutrz zamierzono udać się w dalszą drogę.

---

## XX.

### Zgubiony i znów uratowany.

---

Przez noc mróz stał się jeszcze ostrzejszy, śnieg skrzypiał pod nogami i wiatr mroźny pędził ustawicznie małe płyty śnieżne. Po spożyciu kilku kęsów strawy, rozdzielanej bardzo przezornie, wszyscy owi-  
nęli się, milcząc, w płaszcze swoje i wyruszyli w drogę.

— Czy kozaków nie widziano jeszcze w tej stronie?—zapytał się adjutant wicekróla, rozglądając się bacznie na wszystkie strony.

— Widzieliśmy ich więcej, aniżeli było potrzeba — odparł kapral pułku 57-go — wczoraj przybili oni do drzewa dwóch naszych towarzyszków swojemi różnami długimi. Zawsze to jeszcze lepsze, aniżeli wtedy, gdy rozbierają ludzi do naga, ubranie unoszą z sobą, a w ten sposób urządzonemu każą marznąć na śniegu. Twój piękny płaszcz futrzany może ła-  
two na naszą głowę sprowadzić kozaków — śmiejąc się ironicznie, dokończył kapral, a w tym śmiechu znać było, że sam miał ochotę na piękny płaszcz fu-  
trzany.



Jan nie wiedział teraz, co lepsze: czy dostać się w ręce kozaków, czy też trzymać się tych ludzi, podobniejszych do zbójców, niż do żołnierzy armii regularnej.

W milczeniu marszerowano wciąż drogą wiodącą na zachód, gdzie ojczyzna, rodzina i spokój.

Niebo stawało się czerwono-żółte, mróz był coraz silniejszy, śnieg sypał coraz większy, ale gromada cała nie myślała o niczem, nie zastanawiano się nad tem, co już przebyto, ani nad tem, co będzie jeszcze w przyszłości — wszyscy czuli próżnię w żołądku i przejmujące zimno w całym ciele. Dwa kruki przeleciały nad ich głowami, a żołnierze z zazdrością spoglądali na ptaki, które na skrzydłach szybko uciekać mogły z tego kraju, z tego cmentarza chwasty francuskiej.

Ile razy wiatr powiał silniej, gromada coraz mocniej otulała się w płaszczce i dery, człowiek przyciskał się do człowieka i szli wszyscy, jak owiec gromada, szukając ciepła. Po za tem bano się uczynić ruch jakiegokolwiek i tylko machinalnie stawiano nogę za nogą.

Z pól okolicznych unosiła się jakaś moc, która wpływała na zmęczenie ogólne. Zawieja śnieżna podczas bitwy nad Berezyną niczem była w porównaniu z tą podróżą. Wtedy ruszało się wszystko, panował hałas, wrzał bój, a teraz wokoło cisza grobowa. Niebo obojętne nad głowami, pola jak gdyby cukrem przysypane i ta cisza ponura, obezwładniały ludzi, żołnierzom też zdawało się, że marszerują już w ten sposób wieki całe. Znieczulone, przeziębnięte, odarte szły resztki wielkiej armii.

Oetting chciał posłyszeć przynajmniej głos ludzi, zaczął się też wypytywać kaprała o jego przeszłość, o bitwy, w których brał udział, o kampanię włoską.

Stary żołnierz z początku odpowiadał niechętnie, później jednakże się ożywił, zapalał się na wspomnienie zwycięstw i wśród ciszy pól rosyjskich padały nazwiska miast i ludzi, których sławą rozbrzmiewał świat cały. Oetting słuchał z początku uważnie, później słuch stawał się przytępiony, męki bowiem dni ostatnich, zmęczenie fizyczne i cierpienia moralne wprawiły go w stan dziwnego znieczulenia. Mając też zaczął na jawie i wszystko wydało mu się teraz snem, który minął bezpowrotnie. Świat cały wymarł, znajomi wszyscy wymarli i pochowani zostali pod śniegiem rosyjskim, nawet słońce się wypaliło, cesarz nie żyje, a cała armia wielka, to tylko piękna legenda, którą świat sobie powtarza. Żyją dwie istoty tylko na świecie—on i ona, kobieta o jasnych włosach, miękkich i białych ramionach, wypieszczonych rękach, kobietą, którą on kochał niegdyś.

Okolo wieczora przymarszerowano do jakiegoś folwarku opuszczonego, po którym znać było, że tu niedawno gościli żołnierze. Drzwi i okna były powyrywane i widocznie spalone dla ogrzania kostniejących członków; znaleziono jeszcze ognisko tlejące, ale znikąd nie można było znaleźć kawałka drzewa, ażeby go dorzucić do ognia. Po długich też dopiero staraniach, gdzieś z kąta wydobyto dwa stare koła od wozu, które rozbite natychmiast i rzucono na ognisko. Rozglądano się po budowlach, ujrzano w kącie dwa trupy strzelców westfalskich, którzy

prawdopodobnie nie byli tak szczęśliwi, ażeby znaleźć koła od wozu i usnąwszy bez ognia, zmarzli i śmierć znaleźli w zimnych zabudowaniach dworskich.

Po zdjęciu z trupów płaszczy, wyrąbano przełębel w stawie i spuszczone ich pod lód.

Oetting umówił się z Westfalczykami, że kolejno każdy z nich czuwać będzie, ażeby ogień nie przedostał się do powały i ażeby dom nie stanął w ogniu wtedy, gdy wszyscy we śnie będą pogrążeni, wiedział bowiem, że Francuzi nie zważają bynajmniej na skutki ognia, biwaki też ich kończyły się zwykle spalaniem wszystkiego, cò znaleźli. Często bezrozumnie przeciskali się odrazu do ognia, grzali odmrożone członki i pozostawali na miejscu, niezdolni do dalszego marszu, kto zaś nie mógł pójść dalej, ten był zgubiony.

Okolo północy obudziły śpiącą gromadę uderzenia kolbami o drzwi i krzyki głośne:

Odpowiedziano im śmiechem i wymyślaniem.

— Poszukajcie sami kwatery! Tu niema dla was miejsca. Kto z sobą nie przynosi drzewa, ten nie ma prawa ogrzać się przy ogniu.

Zasadami takimi kierowali się wszyscy maruderzy, ale oddział, stojący na dworze, nie miał ochoty ustępować i gwałtem pragnął się dobić do środka. Jakiś głos potężny krzyknął też lichą francuszczyzną, z wyraźnym akcentem niemieckim:

— Psy przekłete! trzeba nie być człowiekiem, ażeby towarzysza broni w taką noc zostawiać na polu! Jeżeli nas dobrowolnie nie wpuscicie, to wtargniemy do was przemocą, wszystkich wypędzimy z chałupy



— Idź sobie dalej i nie wymyślaj — odpowiedziano mu z zewnątrz — potrafimy ci jeszcze zakneblować usta.

— Łajdakil złodzieje! Panie majorze, zdobądźmy kolbami tę kwaterę!

Gdyby Oetting znajdował się blisko drzwi, to musiałby być poznać odrazu głos człowieka, który mówił w tej chwili, ale on leżał na postaniu niezdolny się poruszać i nie troszczący się o nic.

— Dzieci! — krzyknął kapral 57-go pułku—dożyć pałasy, pokażemy jeszcze, że prawo powinno być uszanowane w armii.

Zanosiło się na bitwę formalną, słychać było chrzęst szabli, zgrzyt odwodzonych kurków i kto wie, do czegooby było doszło, gdyby oddział, który nadszedł, nie był się cofnął w porę i wśród przekleństw nie pomarszerował dalej.

Reszta nocy przeszła spokojnie, kiedy jednak rano, po zjedzeniu zupy, złożonej z mąki i śniegu, chciano wyruszyć w drogę, na drodze ukazali się kozacy. Z początku widać było tylko pewną ilość punktów czarnych, odbijających się na śniegu, wkrótce jednakże sprostrzeżono, że porusza się jakaś masa czarna i w szybkim pędzie zbliża się ku domowi; zajętemu przez maruderów

Nadjeżdżających kozaków była sotnia cała, znalazłszy się też blisko domu, wydali okrzyk przeciągły i nastavili lance do ataku.

Na czele jechał ataman i dwóch oficerów, z oznakami kozaków gwardyi, sotnia ta bowiem pochodziła z oddziału Płatowa i ruszyła naprzód, mając za sobą nadciągającą armię Czyczagowa.

Kapral objął komendę i rozkazał wszystkim uformować się w porządku, Francuzi bowiem spróbowali jeszcze chcieć oporu, nie zdążyli jednakże wystrzelić nawet, gdy otoczyli ich ze wszystkich stron kozacy, pierwszy zaś padł ciężko ranny od lancy Jan Oetting.

Całe życie stanęło mu w tej chwili w pamięci, przypominał sobie o przyjaciółach, z którymi go los rozdzielił, i przypominał sobie kobietę, która nawet w godzinę śmierci ukazała mu się jak zjawisko niezwykłe.

Umysł rannego zaczął się mroczyć, przed oczyma jego przesuwaly się jakieś mary senne, począł snić błogo. Śniło mu się, że piękna głowa kobieca z włosami jasnemi pochylała się nad nim, że para oczów tkliwie wpatruje się w niego, że czuje dotknięcie rąk miękkich; — uśmiechał się błogo, oczy zamknął, snić tak pragnął wiecznie.

Byleby go nie przebudzono, byleby nie stanęła znów przed nim groźnie twarda rzeczywistość. Ale gdyby się był przebudził, rzeczywistość przeszłaby była najśmielsze marzenia Oettinga.

W ślad za kozakami, którzy za najwygodniejszą służyli eskortę, dążyły sanki, wyłożone skórą wilczemi i dywanami, na wygodnem zaś posłaniu siedziała hrabianka Helena Łakińska. Uważając rolę swoją za skończoną, Helena poprosiła admirała o eskortę, zapragnęła bowiem udać się do zamku swojego, położonego już w granicach Królestwa Polskiego. Podczas walki przystanęła w sankach i widziała ztąd dokładnie, że oficer jakiś, w mundurze

dobrze jej znanym, a noszonym przez świętą wicekróla Włoch, padał ranny na próg domu.

Nie przypuszczała, ażeby mógł to być on, Jan, którego widziała tonącego w wodach Berezyny, pomimo to drżała i podbiegła do rannego. Ujrzawszy tak drogie jej rysy Oettinga, nie rzekła ani słowa, ale własnymi rękami rozpościerać zaczęła futra i dywany, które służba zносиła pośpiesznie, sama zajęła się opatrzeniem rany, a łzy gorzkie płynęły jej po twarzy, gdy widziała Jana skostniałego od zimna, zbieżonego i wychudłego okrutnie.

Oetting otworzył z wolna oczy, zerwał się i chciał coś mówić, ale ona pocałunkiem wstrzymała napływające wyrazy.

— Mam cię nareszcie i nie opuszczę już więcej, a ty żyć będziesz teraz szczęśliwy—wołała ucieszona i natychmiast kazała przenieść rannego oficera na sanki.

Konie ruszyły z kopyta, dzwoneczki brzęczały, mijano szybko drzewa, przejeżdżano przez wsie i miasteczka, Oetting zaś marzył tym razem już na jawie.

Nie był to sen zatem, ale coś, jak gdyby epizod z bajki, jaką nieraz słyszał, dzieckiem będąc, w domu rodzinnym od nianiek. Życie nowe wstępowało w niego, gdy czuł przy sobie jej oddech, gdy słyszał jej zaklęcia miłosne.

Z niezmierną troskliwością opatrzyła Helena Janowi drugi raz ranę, podłożyła mu poduszkę pod głowę i wzmacniała winem nadwątlone siły, ile razy jednakże chciał przemówić i zapytać się o coś, pocałunki zamykały mu usta.



Wjechano w las ciemny, sosnowy, mijano zamarłe strumienie i rzeki, konie parskały, a dzwonki wciąż brzęczały miarowo. Co pewien czas zmieniano konie, wszystko to jednakże odbywało się tak szybko, że Jan nie czuł różnicy najmniejszej.

Dwa dni i noc trwała ta podróż i dopiero na wieczór drugiego dnia sanki zatrzymały się przed zamkiem, przypominającym strukturą wiek XVI-ty.

Były to Łakińce, majątek rodzinny Heleny.

---

## XXI.

### Nędza na gościńcu.

---

Gdyby Jan Oetting był wiedział wówczas, gdy wraz z grenadyerami i Westfalczykami nocował w opuszczonej stodole folwarku, że o kwaterę dobijał się Marceli Deslords i jego towarzysze, to oczywiście ani kwadransa nie byłby czekał i wraz z nim udał się w dalszy pochód. Czy jednak poprawiłby się los jego wtenczas, to jeszcze wielkie pytanie.

Nie wpuszczeni do stodoły, Marceli, Malinger i mała gromadka pozostałych, z rezygnacją apatyczną poszli dalej, szukać sobie biwaku wśród śniegu. Ludzie ci, trzymający się ustawicznie razem, podobnie do innych, znajdowali się w stanie znieczulenia zupełnego. Wszystkie zapasy utracili podczas przejścia przez Berezynę, podarto im też wtedy mundury i płaszcze. W kieszeniach mieli jeszcze trochę chleba i grochu, którym żywiono się codziennie, czasami pieczono sobie padlinę końską, ale do tej potrawy nie mógł się przyzwyczaić Deslords, pomimo głodu, jaki mu palił wnątrzości.

Major drogę całą odbywać musiał pieszo, Emir bowiem, dla którego zabrakło wszelkiego pożywienia, zbyt był słabym, ażeby mógł udźwigać na grzbiecie swoim człowieka; położono mu zatem na grzbiet kilka skór i niewielką puszkę z prowiantami. Biedny Emir żywił się tylko słomą, którą mu na postojach wrywano z dachów, i tą odrobiną trawy, jaką sobie zdołał wygrzebać z pod śniegu.

Na szczęście, pościg Rosyan zatrzymał się po przejściu przez Berezynę, pomimo to jednak wszystko było rozluźnione. Jako tako trzymały się jeszcze razem oddziały gwardyi, resztki korpusu Victora i niektóre pułki polskie, zbliżające się coraz więcej do ojczyzny swojej.

— Kiedyż to my dojdziemy do Wilna, panie majorze? — zapytał Malinger, gdy na drugi dzień przechodzono znów przez wieś opuszczoną.

— Bóg raczy wiedzieć! gdybyśmy marszerowali jak potrzeba, to w pięć dni powinniśmy być na miejscu, w tych zaś warunkach, jak obecne, potrwać to może ośm, a nawet i dziewięć dni jeszcze.

— Kto wie, czy choćby jeden z nas domarszeruje do tego Wilna, gdzie pewnie dostalibyśmy dobrą kwaterę i porządne pożywienie.

— W Wilnie dostaniemy wszystkiego: ubrania, butów i najeść się będziemy mogli do syta. Przecież już w lecie napełnił księżę Bassano wielkie magazyny. Ha! gdybyśmy tylko doszli do Wilna.

Odtąd Wilno było marzeniem Stefana Malingera, jakimś Eldorado, gdzie zmęczonych czeka woń przypraw kuchennych, dobrze ogrzany pokój i zasłużony, kilkodniowy wypoczynek.



Marszerowali w milczeniu, po chwili zaś Stefan wszczął na nowo:

— Panie majorze! Czy pan naprawdę jest tego zdania, że kapitał Oetting zdradził armię i chciał przejść do nieprzyjaciela?

Marceli milczał uporczywie, Malinger zatem ciągnął z zapalem:

— To nieprawda! To kłamstwo, ja nie uwierzę w to nigdy.

— Widziałeś przecież, co się działo! — odparł wreszcie Deslords ponuro — dlaczego ustał ogień armatni, gdy on tylko wstąpił na most?

— Tak, to dziwne istotnie!

— A czyż nie dziwną jest cała historia o zmyleniu drogi konnicy Corbineau?

— To zupełnie co innego? Tu była w tem ręka tej Polki przeklętej.

— W każdym razie Oetting zapomniał o przysiędze i honorze, odpokutował też za to, jak odpokutować był powinien.

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie — szeptały wargi Stefana, major zaś mówił już więcej do siebie, niż do towarzysza:

— Takiego dzielnego żołnierza, jakim był on, nie widziałem. Nawet rzeszę nie poruszył, gdy wokół niego padały kulki niebieskie. Pod Ciudad-Real rzucał się na mnie i przewrócił na ziemię, a ja dopiero po chwili przekonałem się, że w ten sposób uratował mnie od śmierci, o dwadzieścia bowiem kroków od nas pękł właśnie granat. Stało się! Zdrada... dezercja! Powiadają na jego usprawiedliwienie, że jako Niemiec mógł nie uznawać nad sobą cesarza Fran-

cuza, ale to mędrkowanie tylko, i gdyby wszyscy chcieli się karmić takimi sofizmatami, to wszystkie armie na świecie musiałyby się rozluźnić! Przysięga jest zawsze przysięgą, a obojętną jest zupełnie rzeczą, komu się przysięga. Nie mówmy lepiej o tem, ból czuję niezmierny, gdy sobie przypomnę wszystko.

Deslords z Malingerem kroczyli odtąd w milczeniu, nie mówili także do siebie pozostali żołnierze, bo i cóż mieli sobie opowiadać, gdy wszystkie myśli i wszystkie marzenie koncentrowały się w jednym wyrazie: Wilno.

Wieczorem na biwaku, który tym razem odbywano wspólnie z gwardyą wicekróla i Badeńczykami korpusu Victora, znów ubyło dwóch ludzi ze słynnego niegdyś pułku 84-go; padli oni, zbliżywszy się zaledwie do ognia, mróz pokrzywił im nogi, nie mogli iść dalej.

Musiano biedaków pozostawić na łasce Opatrzności.

— Panie majorze — rzekł Stefan smutnie—teraz pozostało nas już tylko sześciu!

Marceli smutnie skinął głowę i tylko opukiwać się począł, pragnąc się przekonać, czy jeszcze płótno chorągwi niesie na piersiach.

— Gdybym tylko doszedł do Francyi i na rodzinnej ziemi złożył tę chorągiew—rzekł z westchnieniem.

Podobnemu losowi, co owi dwaj ludzie z pułku 84-go, ulegało regularnie codzień po kilku żołnierzy, przestano też zwracać na to uwagę, nikt nie zatrzymywał się gdy padali, a uszy wszystkich przyzwyczaiły się do jęków.

Coraz trudniejszym stawało się znośne przepędzanie nocy. O dachu nad głową nikt nie myślał nawet i każdy czuł się szczęśliwy, gdy znalazł sosnę, pod której gałęziami mógł się ułożyć do snu. Byle tylko ogień znalazł się w pobliżu, to i noc nie wydawała się już straszną. Na szczęście, major miał jeszcze przy sobie dwie flaszki wódki imbirowej, której kroplami, wymierzanemi z niezmierną oszczędnością, dzielił się z towarzyszymi przed pójściem na spoczynek. Wódka ta służyła za nader pożądaną posiłek. Żołnierze kładli się następnie na ziemię i zasypiali, część zaś starała się o to, ażeby ogień nie wygasł przez noc całą.

Popiół, a wokół niego kilku trupów — był to widok teraz tak często napotykanym po drodze, że nikt nawet nie zwracał na to uwagi.

Śnieg, który padał gęsto przez dwa pierwsze dni po przejściu Berezyny, ścisnął się po nadejściu silnego mrozu w skorupę lodową, wielce utrudniającą posuwanie się naprzód.

Konie setkami padały na polu, wszędzie też widać było sanki i wozy, porzucone po drodze! Zresztą główną część sanek i wozów musiano zostawić pod Berezyną i tylko kilka armat z trudem posuwało się za wojskiem.

Mróz tak wielkie przybrał rozmiary, że dym z kominów nie tłukł się nawet po polu, ani nie ullaływał w górę, ale stał na miejscu, nie mogąc się poruszać; nad biwakami unosiła się chmura lodowa; z koni wybiegała para, zdaleka też stworzenia te wyglądały jak dziwa. Jako jedyny środek przeciwko odmrażaniu palców wynaleziono kładzenie tych pal-



ców w dziurki od nosa, jak tylko można było najgłębiej. W kieszeniach marzył chleb, który następnie rozgrzewać było potrzeba. Nikt nie był w stanie wśród tego zimna marszerować kilka godzin z rzędu, prędzej zaś jeszcze od piechoty marzła konnica. U niektórych żołnierzy występował rodzaj deliryum, mróz upajał ich nakształt opium, fantazyja nasuwała im jakieś obrazy, śnili o czemś, mówili sami do siebie, opowiadali o domkach małych i ogródkach w ziemi rodzinnej, o krewnych i przyjaciółkach, zdawało im się, że grzeją się przy kominku, albo znów wyśpiwywali jakieś piosenki wesołe, oczy im błyszczały i zdawali się używać szczęścia i wesela. Nagle ci ludzie najczęściej wydawali z siebie krzyk przeraźliwy, padali na śnieg, wili się kurczowo i gryźli ręce aż do krwi, skoro bowiem przyszli do przytomności i cała prawda bolesna stanęła im przed oczyma, to wtedy mózg rozsadzał im czaszki.

Inni znów szli cicho z idyotycznym wyrazem twarzy, zupełnie obojętnie patrząc na wszystko i przyjmując nieszczęścia wszelkie bez czucia, bez bólu. „Głupcami z Moskwy“ nazywano ich w szeregach, a nikt nie zastanawiał się nad tem, ile obrazów krwawej tkwiło w tych słowach.

Pewnego dnia, a był to dzień jasny, pogodny, choć nadzwyczaj mroźny, po nocy przebytej nad stawem rozległym, w napół zapadłej chałupie rybackiej, przybiegł do Deslorda Stefan Malinger, wydając zdaleka jakieś okrzyki rozpaczliwe.

— Panie majorzel zwaryował nam, zwaryował!

— Któż zwaryował?

— Jacques, nasz dobosz kochany!...

Na dworze słychać było krzyki.

— Schwytajcie go!—on jeszcze sobie coś złego uczynić gotów! i t. p.;—dragon zaś jakiś mruknął:

— Jeden nie żyje, drugi zwaryował, wszyscy źle skończymy w tym kraju.

Major wybiegł na dwór i kazał puścić biednego szaleńca. Jacques, człowiek niezmiernie wysokiego wzrostu należał do ludzi cichych i potulnych.

Od czasu bitwy pod Berezyną, gdzie bił się, jak zawsze, odważnie, stał się jeszcze więcej skrytym, nie odzywał się przez całą drogę do nikogo i nigdy nie wydał z siebie słowa skargi. I ten człowiek dostał nagle pomieszanie zmysłów, skakał jak dziecko, śmiał się i darł ubranie na sobie, opowiadał zaś ustawicznie o słońcu, które świeci i grzeje w Paryżu, i wydawało mu się, że stoi na warcie przy Palais Royal i że taki upał panuje, iż rozbierać się musi do naga. Potem zaczął bić w bęben Marsyliankę, ten śpiew, zakazany w szeregach armii cesarskiej. Nago, tylko z bębniem na piersiach, marszerował dumnie w śniegu i z całej siły uderzał pałką, wygrywając ową piekielną melodyę z 93-go roku. Jakieś wspomnienia budzić się zaczęły w tej duszy, wspomnienia jasnych dni wolności i szczęścia.

Major zrozumiał biednego człowieka, tę melodyę znał dobrze... 1793! Jemappes, Valmy, Verdun!...

Deslords pobiegł ku nieszczęśliwemu, starał się go pochwycić, ale doboisz uciekał, ciągle biegnąc przed siebie. Nie mogąc ujść pogoni majora i towarzyszków, rzucił się na lód i zniknął w przerębli. Kto wie, może te chwile pomieszania zmysłów sprawiły, że śmierć była mu lekką i przyjemną.

Deslords z pozostałymi jeszcze resztkami pomarszerował naprzód...

Powoli w tych ludziach rodzić się zaczęło przekonanie, że chyba niema już kawałka ziemi, któryby nie był przykryty śniegiem. Wszystko, co żyło, przykryła płachta śnieżna, nogi zapadały w śniegu, na drogach i po rowach leżał śnieg i śnieg pokrywał drzewa wszystkie. Przy najmniejszym powiewie wiatru unosiły się chmury białe i zasypywały ubrania i twarze marszerujących. Żołnierzom zdawało się nawet, że ten śnieg ma głos swój odrębny, że w skrzypie i w zgrzycie wydaje jakieś dźwięki, że drwi sobie z nich, opuszczonych, głodnych i przytępionych na umyśle, zdawało im się, że ten śnieg woła: „Patrzcie, ja teraz jestem panem waszym!”

Żołnierze znali też wszystkie odcienia śniegu, chociaż wydaje się on nam wszystkim monotennie białym. Rano widzieli w tej białości zabarwienie różowe, które zmieniało się we wspaniałą purpurę i szkarłat z lekkim odcieniem pomarańczowym, gdy zapalono ogień w obozie. O zachodzie śnieg przybierał barwę niebieską i w miarę nadchodzenia nocy stawał się ciemno-żółtym. Jakież dopiero kształty różne odbijały się w tym śniegu! Zamki, pałace, kryształły najfantastyczniejsze widać było w soplach, zwieszających się pomiędzy konarami drzew. Pokrywszy dachy domów, błyszczał jak tafla srebrna, a na płotach wyobrażał czapki najrozmaitszego kształtu.

Tak jest! śnieg był panem w tym kraju. Jak wąż wił się wokoło, błyszczał w kształtach najrozmaitszych i w swoje uściski zimne brał tysiące tych



nieszczęśliwych, których niegdyś nazywano bohaterami wielkiej armii, których sława obiegała świat cały i którym tak niedawno jeszcze zazdroszczono szczęścia.

Marceli Deslords szedł naprzód i czuł, że coraz trudniej przychodzi mu zastanawiać się nad położeniem, że coraz więcej czuje zmęczenie w członkach swoich. Pomimo to siłą woli panował nad sobą, znał bowiem naturę swoją, a zdrowie wypróbował już w tylu kampaniach. Mundur jego zupełnie podarł się w drodze, ażeby więc nie świecić dziurami, założył na siebie derę końską i przepasał się sznurkiem; na rękę miał wielkie rękawice o jednym palcu, które szczęśliwym trafem zdobył w Borysowie. Zimna nie czuł zatem wielkiego, bolała go jednakże coraz więcej rana, otrzymana pod Studzianką, ale więcej jeszcze bolały go myśli własne, gdy się zastanawiał nad losem armii i towarzyszków. Śmierć dobosza, z którym przez lat dziesięć przebył w jednym pułku, odczuł Deslords głęboko i marszerując teraz, zastanawiać się począł nad olbrzymim zniszczeniem, jakiego dokonały ostatnie dwa miesiące. Już nietylko chodziło mu o towarzyszków, o pułk własny, o korpus, ale—o armię całą.

A cesarz! Nikt nie wiedział, gdzie w tej chwili mógł znajdować się Napoleon, chociaż ludzie ustawicznie zadawali sobie to pytanie.

Wiatr świszczwał ponuro, śnieg unosił się i sypał w twarz żołnierzy, a Marceli westchnął ciężko i mówił sam do siebie:

— Czyż to możliwe, ażeby posiadać wszystko

i nagle wszystko utracić? A przecież armia nasza była *wielką* naprawdę!...

I *wielką* była naprawdę ta armia! To nie sen słodki, ale rzeczywistość. Była wielką i wielkich miała bohaterów, a legenda o niej trwać będzie wiecznie. Pałasze i karabiny błyszczały w słońcu, gdy przeciągano przez bramy Madrytu, gdy wkraczano do Medyolanu i Wiednia. Królowie drżeli na widok tych szabl, a ludy radosne wydawały okrzyki.

Dziś wszystko to snem się wydało Deslordso-  
wi tu, w tej pustyni śnieżnej.

Duma błysnęła w oczach Marcelego. Dni chwały nie minęły jeszcze, a gdyby nawet zniknęły bezpowrotnie, to jeszcze zostanie wspomnienie, które wypełni resztę życia. Dziś śnieg rozpostarł się wokoło i zimno wali z nóg towarzyszków, ale kiedyś, dawniej, świeciło słońce jasno i orły napoleońskie rzucały w ogniu słonecznym blaski złociste. Sto tysięcy bębnow grało hymn zwycięzki i przebiegało Europę z jednego końca na drugi! Cały świat należał do tych ludzi! *Ça, ça!* — Młodość nie była straconą i jeżeli młodość szaleć musi i szumieć, to nigdy ku temu nie miała tyle sposobności. Pełnemi garściami rzucali złoto i drogie kruszce wokoło, pocałunki kobiet najpiękniejszych były dla nich rzeczą zwykłą, a oni sądzili, że szczęście takie nie skończy się nigdy i że trwać będzie do końca życia...

Słodki to był sen i tem okropniejsze przebudzenie! Śnieg, jak całun śmiertelny, wyciąga ramiona swoje po resztki wymierającej armii napoleońskiej. Ostatni dobosz, który teraz wracał z Rosyi i padł, mógłby zagrać marsza pogrzebowego.

Niema już wielkiej armii, a czy będzie kiedyś jeszcze, na to Deslords nie umiał sobie dać odpowiedzi.

Major zastanawiać się teraz zaczął na tym, który przez lat tyle pozwalał im pić z czary złotej napój odurzający i pytał się w duchu: co cesarz pocznie dalej? Jakże on wróci z Rosyi, jak stanie przed Europą zawziętą, przed Francją zdumioną,— bez nowych zwycięstw,— bez wojska?...

Czy jednakże cesarz powróci wogóle, czy ktośkolwiek z nich stanie jeszcze stopą na ziemi rodzinnej?

Deslords poczuł dreszcz na całym ciele, w oczach ukazywać się zaczęły ogniki, krew biła mu do głowy,

— Panie majorze! Niech pan się oprze na mnie, bo widzę, że chwiejesz się na nogach — zawołał Stefan Malinger.

— Dziękuję ci, sam nie wiem, co się ze mną dzieje.

— Emirowi także się przytrafiło coś złego, nie może już iść dalej.

Deslords zaklął głośno, przystanął i spostrzegł, że Emir istotnie upada na lewą nogę. W oczach majora biedny koń wygłodzony przewrócił się na śnieg i nie pomogły żadne starania, ażeby go znów postawić na nogi. Major postyszał, że w szeregu radzono nad tem, ażeby kulą skrócić mu życie, wtedy bowiem będzie się można znów pożywić nieco mięsem. Major chciał protestować przeciwko temu, żał mu było konia wiernego, ale widząc gniew na twarzach żołnierzy i bojąc się wybuchu, nie rzekł ani słowa w obronie Emira.



Ci ludzie od dwudziestu godzin nie mieli już chleba i grochu, a przecież jeść musieli cośkolwiek...

Emira zabito, pocięto na kawały i upieczono na ogniu.

Deslords nie wziął do ust ani kawałka mięsa.

Od czasu tego rozpoczęły się niesnaski w małej gromadzie, trzech pozostali żołnierze z pułku 84-go zupełnie byli apatyczni, chorzy, nie mogli też popierać majora swojego, na którego sarkano niesprawiedliwie coraz więcej i którego jedynie bronił Stefan Malinger. Głód potargał wszystkie nici subordynacyi.

Badeńczycy i Włosi nie mogli zapomnieć, że podczas pochodu do Rosyi ucierpieli wiele od Francuzów, a zwłaszcza od gwardyi cesarskiej, teraz też gromadzili się na jakieś narady, nie chcieli słuchać nikogo, a przy podziale żywności zawsze chcieli brać więcej, aniżeli inni.

Major patrzył na to, ale czuł się zupełnie bezsilny, na nieszczęście przytem rano zrobiło mu się tak niedobrze, że nie mógł już iść dalej, czuł zawrót w głowie, przedmioty wszystkie kręciły się wokół i sam kołysał się na nogach. Febra, jako następstwo wysiłków nadludzkich, głodu i rany jęczącej, opanowała Deslordsa.

Oddawna już weszło w zwyczaj, że z chwilą, gdy ktoś zachorował w szeregach, a koniec jego był blizki, jeszcze za życia dzielono się ubraniem i wszystkim, co posiadał, więc i teraz łakomie spoglądano na czapkę futrzaną majora i na derę końską, którą był owinięty.

— Nadeszła chwila likwidacyi, panie majorze— zawołał jeden z Badeńczyków, ale nie dokończył,

w tej chwili bowiem przyskoczył Stefan z pistoletem w rękę i krzyknął głosem piorunującym:

— Wara tknąć się pana majora, pierwszy, który się przybliży, będzie miał ze mną do czynienia!

Żołnierze znali się niedźwiedzią Malingera, rozpierzchli się też natychmiast, gdy jednakże dragon zawezwał ich, ażeby ponieśli majora aż do wsi najbliższej, odpowiedziano mu uśmiechami ironicznymi.

— Niechaj się każdy sam ratuje, jak może!— wołali. — Każda minuta jest drogą, a majora nic już nie uratuje.

— Psy przekłete! — krzyknął Malinger — i wyśmiecie w ten sposób postępować z człowiekiem, który krzyż legii nosi na piersiach?

— Któżby się tam teraz kłopotał o krzyże i epolety — odpowiedziano—i tobie również radzimy, ażebyś nie robił głupstwa, majora zostawił na drodze, a sam szedł dalej z nami.

Stefan pozostał przy majorze, oni pomarszerowali.

Deslords, zbyt słaby, aby mógł się poruszyć, rzekł słabym głosem:

— Oni mają słuszność, pozostaw mnie tu, przyjacielu, a sam ratuj życie swoje. Zanim jednak to uczynisz, zdejm chorągiew ze mnie, ona musi być złożoną we Francji.

Pocziwy dragon zawołał rubasznie:

— Co też pan major gada za głupstwa! Przecież tak źle jeszcze nie jest, przeziębilesz się trochę, osłabiesz, ale zdrow przytem jesteś zupełnie. Byle do wsi się dostać, a taki kawałek, to już ja pana przeprowadzę.

Energia chłopska Stefana podziałała—i Marcelli, który już popadał w apatyę, podniósł się z ziemi.

— Teraz tylko przygryźć trzeba usta—zawołał Malinger i nieść prawie zaczął Marcelego.

Pomimo siły wielkiej, dragon upadał co chwila ze zmęczenia, ale nie rozpaczał i nie dał się przekonać majorowi, który ustawicznie radził mu się ratować samemu.

Droga do wsi trwała niezmiernie długo, ale w końcu dotarli szczęśliwie; Malinger zaś ucieszył się niezmiernie, zobaczywszy stojące na drodze saniki, wyłożone derami i zaprzężone w dwa kuce. Opanowanie tych sanek, ułożenie w nich majora i wzięcie lejc do jednej ręki, a pistoletów w drugą, było dziełem jednej chwili.

Właściciel sanek żyd, który ciągnął za armią, zobaczywszy, co się dzieje, przyskoczył z całą gromadą swoich współwyznawców, a wszyscy krzyczeli, gestykulowali i chcieli Stefana ściągnąć z kozła. Malinger wyprostował się i zagroził pistoletem, Marcelli jednakże wyciągnął z kieszeni rulon Napoleondorów i rzucił pomiędzy żydów, co widząc Stefan zawołał z humorem:

— Widzicie, gałgany, że jesteśmy hojni! My teraz płacić możemy porządnie, co nam po pieniądżach!

Wieś cała wyglądała jak wymarła i nigdzie nie można było dostać żadnego pożywienia, żydzi wskazali jednakże ręką na miejscowość odległą zaledwie o dwie mile, gdzie z pewnością nie zabraknie kwatery i jedzenia.



— Jak się ta miejscowość nazywa? — zapytał Stefan.

— Smorgonie — odparł żyd.

— A więc jedziemy do Smorgoni! — zawołał dragon i popędzać zaczął konie.

Żydzi niezmiernie byli zadowoleni, gdy widzieli tego draba odjeżdżającego, Malinger bowiem wyglądał wcale nieponętnie i raczej podobny był do zbója, niż do żołnierza armii regularnej. Na sobie miał skórę niedźwiedzia, znakomicie chroniącą go od zima, szyję opasał serwetą jedwabną, zrabowaną w Moskwie, a na głowie miał rodzaj kaptura, zrobionego z adamaszku czerwonego, który przed tem służył jako pokrycie mebli. Reszta ubrania składała się z łachmanów jakiegoś nieokreślonego koloru. Na kaptur włożył hełm, który go wprawdzie uwierał, ale którego nie chciał porzucić!

— Dopóki hełm ten mam na głowie, to zawsze jeszcze wyglądam po żołniersku i mogę stanąć w szeregach — mawiał z całym przeświadczeniem o wyższości helmu nad czapką futrzaną.

Marceli leżał bez ruchu na dnie sanek, uderzenia krwi do głowy ustały i tylko słabość opanowała go wielka. Energiczne tarcie śniegiem nogi prawej, która, zdawało się, że jest odmrożoną, poruszyło znów krew, i Marceli spostrzegł, że z nogą nie jest najgorzej.

Dojechano do wsi wielkiej, czy też osady, nad którą dominowały wieże kilku kościołów.

W Smorgoniach po raz pierwszy Malinger spostrzegł większą ilość mundurów francuskich, kiedy też rozpoczął poszukiwania kwatery dla majora i dla

siebie, okazało się, że wszystkie domy zajęte są przez wojsko. Napróżno przeklinał we wszystkich językach, nigdzie nawet izdebki, nawet stodoły puste znaleźć nie mógł.

Malinger zauważył w Smorgoniach wielką ilość kapeluszy generalskich, ale najmniejszej na to nie zwracał uwagi, wiedząc, że bardzo często prości szeregowcy nakładali na siebie kapelusze generalskie, ażeby łatwiej zdobywać kwatery i jedzenie.

— Choćby mi przyszło piekło całe poruszyć, to jednak znajdę kwaterę — krzyknął dragon i skierował się ku pierwszemu z brzegu domkowi chłopskiemu.

Energicznie potrząsnął drzwiami, jak gdyby je wyrwać chciał z zawias, z zewnątrz zaś doleciało go zapytanie, wymówione głosem spokojnym:

— Kto tam?

Malinger nic nie odpowiedział, tylko trząsnął drzwiami dalej, żądając otwarcia.

Nagle drzwi się otworzyły i Malinger przerażony odskoczył na bok, a z piersi wydobył mu się okrzyk:

— Cesarz!

Na progu istotnie ukazał się cesarz, który tu razem ze swiątą swoją obrał kwaterę.

Napoleon, w wielki płaszcz otulony, rzucił na dragona groźne spojrzenie:

— Co to jest? Zkąd się tu wzięłeś?

Malinger bełkotał coś niewyraźnie, nie mógł jednak z przestachu wynaleźć słów na wytłómaczenie postępku swojego, gdy z sanek padł słaby głos Deslordsa.

— Przebaczania, Najjaśniejszy Panie! szukaliśmy kwatery, nie wiedząc...

— Ach! to pan, majorze Deslords! Czy jesteś ranny?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ale omdlałem z zimna i zdaje mi się, że mam nogę odmrożoną.

— Te mrozy przekłete! — zawołał Napoleon i w tej chwili dodał:

— Taki dzielny żołnierz, jakim ty jesteś, majorze, nie powinien zginąć na polu! Czy masz dość siły, ażeby chodzić jeszcze?

— Zdaje mi się, że gdy troszkę wypocznę, to jeszcze zdobędę się na siły odpowiednie.

— A więc dobrze! Kąże się w tej chwili zająć losem pana—a zwracając się do świty, krzyknął:

— Daru! Proszę zobaczyć, czy w naszym domu niema bodaj małej komórki, a jeżeli jest, to musisz pomieścić tam naszego dzielnego majora. Dać mu natychmiast wina i bulionu, doktor Yvan niechaj przyjdzie go wybadać! Major Deslords zasłużył sobie na opiekę.

— Najjaśniejszy Panie! nie mam słów na wyrażenie mej wdzięczności. Życie mi uratowałeś!

Napoleon uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— Pamiętaj jednakże, majorze, że nie wolno ci chorować dłużej nad 12 godzin, jutro bowiem wyruszamy dalej.

Cesarz wszedł z powrotem do domu, w którym zajmował jedną wielką izbę na dole, Marcełego zaś pomieszczono w małej komórce, gdzie przedtem mieścił się drwalnik. Po tylu nocach spędzonych na powietrzu Deslords doznawał rozkoszy prawdziwych,



mając dach nad głową. Stefan nie opuszczał ani na krok chorego, sam też pożywił się winem, które im przyniósł doktor Yvan.

Deslords wśród ciszy słyszał dokładnie, że położony obok pokój cesarski napelniał się ciągle nadchodzącymi marszałkami i generałami, rozróżniał też dokładnie głos cesarza, króla Neapolu, Murata, wicekróla Eugeniusza i marszałka Neyą; treści rozmowy nie mógł jednakże podchwycić, gdyż kiedy niekiedy tylko dolatywał go wyraz, rzucony głosem podniesionym.

W tej chałupie w Smorgoniach odbył Napoleon ostatnią naradę z marszałkami swoimi i postanowił odjechać od armii, powrócić do Francji.

---

---

## XXII.

### Z b i e g i.

---

Jan Oetting, otworzywszy po raz pierwszy po długim śnie oczy, nie umiał sobie zdać sprawy z tego, co zaszło, i zdawało mu się, że śni ciągle. Ze zdumieniem rozglądać się zaczął wokoło, dotykał się wszystkich przedmiotów, szczypał się w ciało, ażeby się przekonać, czy istotnie znajduje się na jawie. Wszystko wokoło zdawało się świadczyć, że jest bohaterem jakiejś bajki, zasłyszanej w dzieciństwie.

Zbytek i przepych rozesłany był w pokoju, w którym na łożu wielkiem pod baldachimem spoczywał owinięty w koldry jedwabne. Na kominku buchał ogień, rozlewając ciepło miłe po pokoju, wysłanym dywanami; u okien zwieszały się portyery aksamitne, obramowane złotem, przy łóżku stał fotel wygodny, obity jedwabiem, a gdzie oko padło, wszędzie napotykało na marmury, rzeźby i porcelanę. Woń rezedy delikatnie napępiała pokój, a ze ścian spoglądały ku niemu wesoło uśmiechnięte portrety dawniejszych mieszkańców tego zamku.

Oetting zapragnął wstać z łóżka, ale napróżno oglądał się za mundurem, miejsce łachmanów zajęło ubranie wykwintne i bielizna delikatna.

Rana na ramieniu przewiązana była z wielką troskliwością, zagojona też była zupełnie i nie bolała go więcej.

Pobiegł do okna i popatrzył na ogród. Zima w żelaznym uścisku swoim trzymała jeszcze świat, wokoło rozesłany był śnieg, a wiatr wstrząsał gałęziami drzew i poruszał okiennice; wzdrygnął się, przypomniawszy sobie w tej chwili owe dni, przepędzone w lesie, i zdawało mu się, że przypląnął do jakiejś wymarzonej wyspy szczęśliwości.

Zadzwonił i w tej chwili ukazał się służący, który na zapytanie, objaśnił, iż hrabianka Łakińska czeka w swoich apartamentach. Prowadzony przez służącego, Oetting wszedł do sali jadalnej, gdzie znajdowała się już Helena. Na widok Jana zerwała się z krzesła i podbiegła szybko, zarzucając mu ręce na szyję.

— Nareszcie jesteś zdrowy, nareszcie mam cię przy sobie i nikt tego skarbu nie wydrze mi teraz!— wołała radośnie, gdy służba zostawiła ich samych.

Odtąd zaczęły się dni szczęścia w Łakińcach, a taką radością nie brzmiał oddawna stary zamek Łakińskich, których jedynym potomkiem żyjącym była hrabianka Helena.

Dobra te od trzech blisko wieków należały do rodu Łakińskich, którzy właściwie wywodzili się z Rusi Czerwonej. Jeden z przodków walczył pod Wiedniem, zamek zaś ten zbudowany był jeszcze za czasów Jana Kazimierza przez budowniczych



i majstrów, sprowadzonych umyślnie z Norymbergii, kilkakrotnie jednakże przebudowywany, tworzył mieszaninę stylów rozmaitych. Pomieszczenie dawał zamek obszerne, ale znać było po nim, jak i po parku całym, zaniedbanie, tak naturalne w czasach wojennych, Janowi też zdawało się, że jest gdzieś ukryty w twierdzy niezdobytej.

Po kilku dniach Helena zaczęła czynić przygotowania do podróży, co dziwiło Oettinga.

— Czyżbyśmy tutaj nie byli bezpieczni? — zapytał.

— Nie możemy tu dłużej pozostać — odparła hrabianka energicznie.

— Ależ gdzie się udamy?

— Pojedziemy tam, gdzie nas cesarz nie będzie mógł osiągnąć, do Anglii lub do Szwajcaryi.

— Więc ty przepuszczasz, że cesarz uszedł zasadzki i nie dostał się do niewoli? — pytał się Oetting, a w słowach tych leżał przestrach.

— Niestety! — zawołała Helena, a oczy jej rzuciły ognie. — Zemsta moja powiodła się tylko w połowie! Prawda, że Berezyna zniszczyła armię francuską, ale on uszedł cało, wiadomo zaś, że on sam jeden tyle jest wart, co prawie cała jego armia. Nie przypuszczałam tego nigdy.

Nastąpiła długa chwila milczenia, poczem znów Jan zapytał?

— Po co mamy uciekać tak daleko, czyż nie lepiej zatrzymać się w Niemczech albo we Włoszech?

Helena długo nie chciała dać odpowiedzi, wreszcie rzekła:

— Pytasz się, dlaczego? O to dlatego, że na wiosnę wojna znów wybuchnie z całą siłą, a straszniejszą jeszcze będzie. W Niemczech, ani we Włoszech nie bylibyśmy bezpieczni.

— To być nie może! — zawołał Oetting, Helena zaś śmiać się zaczęła:

— Czy sądzisz, że Austria i Prusy nie będą teraz chciały przeprowadzić planów swoich, teraz, kiedy Napoleon otrzymał taki cios straszliwy.

Oetting nie dowierzał jeszcze, Helena przeto wybiegła z pokoju i po chwili wróciła, niosąc w ręku zwój papierów, który, kładąc na stole, zawołała:

— Oto jest traktat, zawarty pomiędzy Austrią i Rosyą.

Widząc niedowierzania na twarzy Oettinga, zaczęła objaśniać:

— Papiery te oddano w moje ręce, ażeby do czasu przechować je w miejscu bezpiecznym, cesarz nie przyjdzie ich tu szukać!

Uśmiechnęła się sarkastycznie, Jan zaś wziął papier do ręki i czytał:

„Do hrabiego Czerniszewa, przedstawiciela Jego Cesarskiej Mości cesarza wszech Rosyi w Paryżu.

„Ze względu na przygotowującą się kampanię wojenną, potrzeba, ażeby obydwa rządy, w przewidywaniu wypadku, dla potęgi francuskiej niekorzystnego, postanowiły, co następuje i t. d. i t. d. i t. d.

Podpisano: W imieniu C. K. kancelaryi nadwornej i państwowej.

F. Gentz.“

Oetting nie krył zdziwienia swojego, Helena zaś mówiła pośpiesznie:

— Na mocy tego aktu cofnął się Schwarzenberg, poddał się Mińsk, a Czyczagow mógł podejść pod Berezynę. Oto rozwiązanie zagadki, o której nie miał pojęcia Napoleon, ufający do tej pory Austrii.

— Jeżeli zatem Rosya zajmie wasz kraj — wtrącił Oetting — to sędzę, że najbezpieczniejby było pozostać tu na zamku.

— Uszłabym wtedy może zemsty cesarza, ale srogo zemściliby się na mnie rodacy moi, dla których bożyszczem jest Napoleon, a ja szpiegiem na rzecz wroga. Kuzynka moja Walewska sama nastalaby ich na mnie.

Przerwała i śmiać się zaczęła:

— Czyż się dziwić rodakom moim, że Napoleona uważają za Boga, skoro ty nawet patrzysz na niego jak na jakieś zjawisko nadziemskie!

Oetting popatrzył w oczy Heleny i rzekł poważnie:

— I cóżbyś powiedziała, gdybym teraz inne sobie wyrobił zdanie o cesarzu?

Helena z radością rzuciła mu się na szyję.

— Wiedziałam, że do tego przyjść musi! Teraz należysz już do mnie niepodzielnie! Kochamy się i rozumiemy. Nareszcie i ty potrafiłeś nogami tego bałwana, przed którym tak niedawno biłeś pokłony.

Jan milczał, a Helena mówiła dalej ożywiona:

— Cesarz! Napoleon! wielkie imię! Przez lat dziesięć zdawało się, że świat wiecznie korzyć się będzie przed nim. Jak piłką dziecko, tak on bawił się Europą, a pół miliona bagnatów dopornagało mu do tej zabawki. Pięć wieków nie zdołało tylu kró-



łów pozbawić tronu, ilu on pozbawił w tak krótkim czasie. Jemu wolno było nurzać się we krwi i złości, na jego podpis otwierały się wszystkie kasy, a gdy zawołał, pułki wyrastały z pod ziemi. Przystano wierzyć w Boga, bo wierzono tylko w potęgę Napoleona. Wszystko się skończyło, armia nie istnieje więcej, cesarz powraca zwalczony, upokorzony.

— Nie tryumfujmy jeszcze — wtrącił Oetting— Napoleon nie należy do tych ludzi, którychby można obezwładnić jednym uderzeniem.

Helena wzruszyła ramionami i ręką zatknęła mu usta, a przytulając się do Jana, mówiła czule:

— I cóż nas teraz on może obchodzić, co nas obchodzi świat cały! Zrobiłam, na co się mogły zdobyć siły kobiece, a teraz chcę żyć dla ciebie. Uchodźmy w kraj daleki, zasłużyliśmy na szczęście, więc żyjmy odtąd miłością naszą.

Jan popatrzył bystro na ukochaną i rzekł do siebie z westchnieniem:

— Gdybym wiedział, że ty mnie kochasz naprawdę!

Helena się zaśmiała i ręce zakładając mu na szyję, zawołała:

— Czyż jeszcze nie miałeś dosyć dowodów mej miłości?

— Ciągłe mam to uczucie, że nie miłość to z twej strony, ale litość tylko i jałmużna. Z początku uważałeś mnie za pożądanego tylko pomocnika do wykonania planów swoich, później ulitowałaś się nad nieszczęśliwą ofiarą swoją i to mnie tylko drę-

czy, że nie wiem, czy mnie kochasz prawdziwie. Litośćby mnie zabiła.

Oetting rękami podparł głowę i smutnie wodził wzrokiem przed siebie. Myśl, że jest tylko narzędziem w ręku Heleny, brak wiary w jej miłość, od dni kilku sprawiała mu katusze.

Po chwili podniósł głowę i rzekł stanowczo:

— Zanim los mój związę na życie całe z twoim, zanim wyruszę z tobą na kraj świata, chcę się dowiedzieć prawdy i chcę wiedzieć, co mnie czeka w przyszłości.

— Znać w tobie pochodzenie niemieckie — zawołała Helena z ironią. — Wszystko u was odbywa się na zimno, kochacie nie sercem, ale rozumem. Rozchmurz jednakże czoło swoje, przestań wątpić, a będziesz szczęśliwym.

W gruncie rzeczy Helena czuła się winną wobec tego człowieka, wiedziała też o tem, że w jej sercu nie było jeszcze mowy o miłości ani w Moskwie, ani w Małym Jarosławcu. Ona wtedy pragnęła go tylko przykuć do siebie czarem swoim, chciała go uczynić podnóżkiem swoim, a dalsze konsekwencye przyszły same z siebie. Niewątpliwie było w tem uczuciu dużo litości, wiedziała bowiem, że za jej zdradę Oetting płacił życiem złamanem. Dopiero później rodzić się zaczęło w Helenie uczucie, którego bała się, a które z bezwiedną siłą opanowało jej serce. Oetting dla tej kobiety, tak pewnej siebie i dumnej, urastał zwolna do ideału, imponował jej spokój jego, rozważa i wielkie poczucie obowiązku. Helena była tylko kobietą i potrzeba było ręki, któraby umiała ją poprowadzić, serca, któreby ją umiało

odczuć, ust, któreby wyciskały pocałunki. Ona kochała teraz, kochała gorąco i dlatego zarzut bolał ją podwójnie.

Oetting mówił dalej:

— Wszystko poświęciłem dla ciebie! W oczach towarzyszków moich wojennych jestem człowiekiem bez czci, przyszłość moja zniweczona bezpowrotnie. Potrzeba mi teraz wielkiego poświęcenia ze strony twojej, ażebym mógł w twą miłość uwierzyć.

Oczy ich spotkały się z sobą i Helena powtórzyła bezwiednie:

— Potrzeba poświęcenia...

— Ażeby za wszystko, com przeszedł dla ciebie, znaleźć w życiu jakąkolwiek nagrodę, potrzeba mi dowodów twej miłości, a tych dowodów ty mi nie dasz nigdy, bo ty dziwnem jesteś stworzeniem. Poświęciłaś tyle dla czczego uczucia zemsty, po co, dlaczego?...

— I ty się pytasz: dlaczego? Więc gdy widzę, że najgorszy z tyranów wyciska z kraju mojego wszystko: jego bogactwa, jego krew, gdy kwiat młodości naszej poświęca dla pychy swojej i za to wszystko daje tylko marne przyrzeczenia, to miałam milczeć i siedzieć beczynną. Marszałkowie traktowali rodaków moich gorzej niż konie, prosty szeregowiec, byle Francuz, drwił z najzasłużeńszego Polaka — i ja miałam milczeć, mając sposobność do zemsty? Nie! Ty uczuć moich nie rozumiesz, przecież ty jesteś Niemcem!

Niemiec!... Wyraz ten padł jak ostrze w serce Oettinga i krew uderzyła mu do głowy, a wstyd budzić się w nim zaczął na myśl, że on, Niemiec.



mógł się dać uwieść orłami napoleońskimi. Porównując też siebie z Heleną, czuł całą jej wyższość nad sobą. Ona była tylko obywatelką małego, rozdartego kraju, a jednak czuła się częścią narodu swojego, choć błądziła w śródkach, on należał do wielkiego narodu i pojęcia nie miał o tem, że trzeba zawsze czuć się tą częścią drobną społeczeństwa własnego.

Nowy świat, nowe horyzonty otwierały się teraz przed Oettingiem, a w duszy uczuwał gniew na siebie i współrodaków swoich, którzy, równie jak on, byli winni.

Otdąd Oetting wciąż chodził zadumany, a Helena nie odczuwała nawet tej zmiany, jaka się w nim działa. Zajętą była wyłącznie przygotowaniem do podróży, które czyniła gorączkowo. Byle ztąd uciec jak najdalej!...

Służba przygotowywała wozy, zapasy żywności, znoszono futra, dywany, ażeby niczego nie brakowało w drodze, wytknięto też już całą marszrutę i wybrano drogi, któremi nie powinny były przeciągać resztki armii napoleońskiej.

Przedewszystkiem zależało na tem, ażeby jak najprędzej dostać się do Warszawy, z kądem przez Leszno i Rawicz można się było udać do Drezna; tam Helena miała już znajomych, którzy wyrobić mogą paszporty do Szwajcaryi. W Dreźnie, gdzie liczną była podówczas kolonia polska, odbyć się miał ślub zakochanych. O kąd spokojny i cichy w Szwajcaryi nie było trudno.

Zwolna i w Oettinga wstępować zaczęło uczucie szczęścia. O wojnie, o szczęku broni, o huku armat nie dochodziły do zamku starego żadne wieści

i Janowi zdawało się, że skończył się zupełnie jeden akt tragedji życia, tragedji, która pochłonięła sto tysięcy towarzyszków. Wieczorami tworzone sobie plany na przyszłość, rozmawiano o piękności krajów, jakie zwiedzić zamierzano, upajano się blaskami słońca, które tam, na południu, inne na ziemię rzuca żary, aniżeli tu na północy.

— Czuję, że będziemy bardzo szczęśliwi—mówiła Helena, głaszcząc ręką Oettinga — szczęście stokrotnie wynagrodzi nas za niedolę przebytą.

I wtedy rozjaśniała się twarz Jana, nie trwało to jednakże długo, uporczywie bowiem powracała myśl o towarzyszach poległych, których śnieg przysypał.

W ten sposób upłynęło sześć dni na zamku w Łakińcach; siódmego dnia miano wyruszyć w drogę.

Jan i Helena siedzieli właśnie w małym salonie i grzali się przy kominku, na dworze bowiem ciągle mróz trzymał ostry, gdy do pokoju wszedł pośpiesznie stary Szymon, kamerdyner, pamiętający jeszcze rodziców hrabianki, i rzekł z przestraczem:

— Proszę jaśnie pani, Francuzi stanęli przed bramą i żądają kwatery.

— Francuzi?...

Jan i Helena podnieśli się odrazu z fotelów a twarze ich blade były jak ściana, pierwsza jednakże Helena zorientowała się w położeniu i rzekła pogardliwie:

— Prawdopodobnie jest to jakaś garstka maruderów! Żądają zatem kwatery?

— Tak jest, jaśnie pan! Nie są to jednakże maruderzy, ale dobrze uzbrojeni żołnierze.

— W jakiej liczbie stanęli pod bramą?

— Jest ich około pięćdziesięciu, ale oni powiadają, że nie dla nich ma być ta kwatera, ale dla pewnego wysokiego oficera.

Helena zaśmiała się złośliwie.

— Powiedz im, że w Łakińcach niema kwatery dla najwyższych nawet oficerów francuskich.

Jan pobiegł do okna, wychodzącego na balkon, i dostrzegł po za drzewami, w śniegu, przed bramą, gromadę ludzi z bronią błyszczącą w rękę. Patrzył uważnie, nagle oczy zasłonił rękami, twarz jego stała się kredowo-bładą i slaniając się na fotel, krzyknął:

— Jestem zgubiony! Patrz! Tam stoi generał Corbineau! Obok niego Stefan Malinger, a tam... Marceli! Za nimi szaserzy gwardyi...

Helena słuchała tego ze sztucznym spokojem.

— No! i cóż w tem złego?

W tej chwili wpadł Szymon powtórnie do pokoju.

— Proszę jaśnie pani, Francuzi żądają koniecznie, ażeby ich wpuścić, i grożą, że w przeciwnym razie użyją przemocy.

Jan bez czucia leżał na fotelu, Helena jednak zachowała krew zimną.

— Nie ulękniemy się groźby, mury nasze gorsze już przetrzymały ataki. Ludzi zgromadzić wszystkich natychmiast w sieni, pobudzić strzelców rosyjskich, znajdujących się w stodole, drzwi wszelkie zabarykadować!



Szymon poszedł spełnić te rozkazy, do Heleny zaś przyskoczył Oetting:

— Kobietko! — krzyknął — ależ to rozpocznie się bitwa!

— Żywych nie wezmą nas, za to ci rękę!

— Na miłość Boską! co czynisz?

Marceli Deslords dostrzegł hrabiankę w oknie balkonowem i twarz jego natychmiast przybrała wyraz srogi, zwrócił się przeto do towarzyszków i krzyknął:

— Ten zamek należy do zdrajczyni! Musimy go zdobyć, towarzysze, a gdy zdobędziemy, to nikt żywy z niego wyjść nie może! Czy słyszycie, *nikt!*

Do pokoju dolatywać zaczął odgłos siekier; Stefan Malinger z całą siłą uderzał w kunsztowną bramę pałacową, rozległy się też pierwsze wystrzały. Z ogrodu i okien pałacowych odpowiedziała również służba hrabianki i strzelcy rosyjscy wystrzałami.

## XXIII.

### Ostatni biwak cesarza.

---

Zostawiliśmy Marcelego Deslordsa, gdy leżał w ciemnym drwalniku, w domu chłopskim, w Smorgoniach. Ciepło miłe rozchodziło się po wszystkich kątach, a razem z niem major uczuwał wzmacnianie sił; zdrowie powracało mu szybko.

Wypocząwszy w łóżku, Deslords rozglądać się zaczął w nowem położeniu swoim, wyteżył też słuch, ażeby posłyszeć, co mówiono w przyległym pokoju. Gdyby Marceli mógł widzieć te twarze zgromadzone wokoło stołu drewnianego, które teraz radziły przy słabem świetle lampy małej, byłby się zdumiał niepomrotnie. Przy stole siedzieli: książę Eugeniusz, Murat, Ney, Davout, hrabia Daru i cesarz z sekretarzem swoim, a wszystkie te postacie, pół włoskie, pół francuskie, rozmawiały i gestykulowały szybko. Plany i idee krzyżowały się ustawicznie, lecz gdy przestali mówić, cisza grobowa nagle zalegała pokój. Każdy oddawał się wtenczas zadumie nad nieszczęściami armii. Ci ludzie mogli powiedzieć teraz o so-

bie, że rozmowa wprowadzie męczy, ale więcej jeszcze męczy milczenie.

W końcu przestano się sprzeczać, wszyscy bowiem wiedzieli, że dni chwały skończyły się już bezpowrotnie. Każdy też rozmyślał teraz o sprawach domowych, o koronach swoich i państwach i każdy zastanawiał się nad skutkami tego wypadku dziejowego. Nikt nie pytał się o to, co Francya powie na ten odwrót z Moskwy. Niech za to odpowiada cesarz! On to przez upór swój sprowadził całe nieszczęście na ich głowy, on też teraz starać się powinien, ażeby zło było naprawione i ażeby nikt z nich nie stracił tytułów i dochodów.

Cisza zaległa komnatę, wszyscy spoglądali na cesarza, a znać było, że każdy z nich przy najbliższej sposobności gotów wybuchnąć gniewem. Nareszcie wstał Napoleon i oparłszy się ręką o stół, zaczął przekładać rzecz całą; mówił, iż najchętniej oddałby dowództwo naczelne nad resztkami armii księciu Eugeniuszowi, że jednak z tem dowództwem związana jest odpowiedzialność wielka, której nie może wkładać na barki pasierba swojego. Żołnierze muszą mieć nad sobą wodza wytrawnego, któregooby poważali i któregooby się bali, jako takiego zaś uważa króla Neapolu i prosi go, ażeby objął komendę.

Dawniej tego rodzaju polecenie wywołałoby entuzjazm wśród marszałków, ale teraz Murat zgodził się na objęcie dowództwa prawie z niechęcią.

Cesarz starał się wytlómaczyć z postępowania swojego:

— Gdybym miał tę pewność, że obecność moja przy armii może przynieść jeszcze korzyść jakąskol-



wiek, to pozostałbym z wami. Niestety! widzę, że niczego tu dokonać nie mogę. Chciałem zebrać wojska i przezimować z niemi na Litwie, okazało się jednak, iż plan taki równa się iluzji. Z drugiej strony potrzeba teraz chwycić się środków energicznych, ażeby nadal rządzić Francją, a na to ja tylko sam jeden mogę się zdobyć.

Cesarz przerwał, obejrzał się po zgromadzonych i dokończył, robiąc aluzję do sprzysiężenia Maleta, o którym właśnie doszła wiadomość do Smorgoni.

— Zwłaszcza wobec wypadków, jakie teraz zaszły, obecność moja w Paryżu jest konieczna.

I znów długa nastąpiła cisza, którą wreszcie przerwał książę Eugeniusz:

— Mojem zdaniem, dobrze czynisz, Najjaśniejszy Panie, że wyjeżdżasz do Francji, któż bowiem wiedzieć może, jakie powikłania czekają nas na wiosnę! Łatwo przyjść może do przesilenia, a wtedy potrzeba nam będzie nowej armii, którą ty jeden zebrać możesz, Francja do ciebie tylko, Najjaśniejszy Panie, ma zaufanie, zresztą do nikogo.

— Tem więcej, że dotychczasowa armia jest zgubiona—dodał Ney, Murat zaś zauważył:

— Potrzeba będzie całych wysiłków woli, ażeby tych maruderów utrzymać w korbach.

Davout wzruszył ramionami.

— Wszystko to wygląda bardzo pięknie, ale co na to powiedzą mocarstwa, co powie Anglia?

Cesarz gniewnie spojrzał na Davouta i odrzekł:

— Świat cały powie, panie Davout, że zwycięstwa nasze były olbrzymie, ale i niepowodzenie gigantyczne.

Davout uśmiechnął się sarkastycznie, ten i ów odezwał się z protestem, ale wszyscy zadawali sobie pytanie: „Co Anglia powie na to?”

W umysłach tych ludzi wzbudziła się teraz zasada, którą gilotyna wpajała w narody:

„Winnym jest ten, kto słabszy.“

Napoleon wiedział, że ci ludzie gotowi mu teraz czynić wyrzuty, popatrzył też na otoczenie i zmieniając ton, rzekł swobodnie, jak gdyby rozmawiał o rzeczach najzwyczajniejszych w świecie:

— Już to, kochani przyjaciele, podczas tej kampanii popełnialiśmy wszyscy masę nonsensów. Jeden z nas popełnił głupstw trochę więcej, drugi trochę mniej, ale dziś nie ma sobie nad czem łamać głowy.

Napoleon zaczął teraz wydawać rozkazy odnośnie do gromadzenia armii uciekającej, postanowił, jak użyć dywizję Loisona, co czynić z Bawarczykami i Neapolitańczykami i jak rozwiązać sprawę rządów prowizorycznych na Litwie. Wreszcie cesarz oznajmił, że najkrótszą drogą uda się do Warszawy, zkąd przez Drezno i Moguncję podąży do Paryża. Jako punkt zborny dla pozostałych resztek armii oznaczył Królewiec, gdzie miano urządzić próbę nowej organizacyi wojska.

Wydawszy wszystkie rozporządzenia, Napoleon oznajmił, iż za trzy godziny wyruszy z niewielką bardzo eskortą. Przedtem pragnął spożyć obiad, na który zaprosił także marszałków. Wspólnie z oficerem szaserów, który w tym dniu był na służbie, udał się dla obejrzenia powozu, jakim przebyć miał drogę.

Przed odjazdem przypomniał sobie jeszcze cesarz, że w drugim pokoju leży major Deslords, kazał więc natychmiast przywołać doktora Yvana, który zapewnił, że Marceli, wypocząwszy kilka godzin i wzmocniwszy się ciepłym posiłkiem, będzie mógł marszerować dalej.

W rzeczy samej Deslords wstał z łóżka i zameldował się u cesarza, ażeby mu podziękować za dobroć doznaną.

— Jakże się miewasz, dzielny mój majorze? — zawołał Napoleon—czy powróciły ci siły zupełnie?

— Prawie zdrów jestem, Najjaśniejszy Panie, i tylko życzyłoby sobie należało, ażeby wszyscy zziębnięci i osłabieni towarzysze moi doznali podobnej troskliwości.

— Wierzaj mi, że radbym był uczynić to samo dla wszystkich, ale niestety! rzecz to niemożliwa—odparł cesarz i w tej chwili zapytał:

— Czy korpus twój poniósł wielkie straty?

Marceli ze zdumieniem popatrzył na cesarza, i sam nie wiedział co odpowiedzieć, bąknął przeto:

— Najjaśniejszy panie...—i nie skończył.

— Mów śmiało!—zawołał Napoleon.

— Ilu zostało jeszcze z korpusu mojego, nie wiem, dywizya jednak, w której się znajdowałem, posiadała pod Berezyną dwustu dwudziestu ludzi, a pułk mój liczył dwudziestu czterech, nad którymi objąłem komendę. Po przejściu przez rzekę było nas już tylko sześciu, przed kilku zaś dniami ostatni trzej towarzysze opuścili mnie podczas marszu. Czy żyją jeszcze, tego już nie wiem.

Napoleon nie odpowiedział nic na razie i tylko



ręce tarł i rozgrzewał sobie przy ustawionym w pokoju piecyku polowym.

— Mrozy mamy potężne!—rzekł wreszcie, a po chwili dodał:

— A więc tylko tych trzech ludzi, i to wszystko, co pozostało ci z pułku całego?

— Pozostała mi jeszcze chorągiew, Najjaśniejszy Panie — odparł Deslords, odpinając guziki zniszczonego munduru i wskazując na piersi.

Napoleon z zachwytem popatrzył na majora, podał mu rękę i rzekł poważnie:

— Takich dzielnych żołnierzy potrzeba mi teraz więcej, aniżeli kiedykolwiek. W Moskwie udzieliłem ci krzyża, od tej chwili mianuję cię pułkownikiem, a gdy na wiosnę tworzyć zacznę nową armię, w gwardyi mojej przybocznej znajdzie się dla ciebie miejsce, na które sobie zasłużyłeś.

Chwila nie była stosowną do wybuchów radości, Marceli też z trudem hamował cisnące się na usta wyrazy zapału i tylko z błyskiem w oczach dziękował po wojskowemu.

Cesarz mówił dalej:

— Teraz udasz się ze mną do Warszawy, musimy jednakże pospieszać, każda bowiem chwila jest drogą.

— Czy sądzisz, Najjaśniejszy Panie, że Rosyanie raz jeszcze...

— O Rosyan nie boję się teraz, zostawią nas oni w spokoju, zbyt wielkie bowiem ponieśli straty. Ta kampania kosztowała ich więcej ludzi, aniżeli nas.

Ten optymizm cesarza nie oddziałał bynajmniej

na Marcelego; przytem wiedział on, że Napoleon ma manię przedstawiania strat własnych w świetle jak najkorzystniejszym, więc i w tej chwili cesarz mówił dalej optymistycznie:

— Tak, tak, mój majorze, Rosya przez pięć lat lizać się będzie musiała z ran otrzymanych. Jej handel jest zniszczony, miasta popalone, armia do połowy wybita.

Napoleon mówił to wszystko takim tonem, jak gdyby wracał z wyprawy zwycięskiej, po chwili zaś zwrócił się do Deslordsa z pytaniami:

— Gdzie po raz pierwszy znajdowałeś się w ogniu, pułkowniku?

— Pod Valmy z Kelermanem, Najjaśniejszy Panie!

— Należałeś zatem do ochotników z 92-go roku.

— Tak jest, sire.

— Czy podczas rewolucyi byłeś w Paryżu?

— Byłem członkiem klubu Jakobinów i przez kilka tygodni przesiedziałem w więzieniu.

Cesarz odwrócił się nagle i zmierzył Deslordsa od stóp do głowy, a patrzył tak długo i uważnie, że majora wprowadzało to w zakłopotanie. W umyśle cesarza budziły się wspomnienia krwawe, ten człowiek zaś stojący teraz przed nim, podwójnie zaczął go zaciekawiać.

— To dawne dzieje — rzekł sucho, ustawicznie trąc sobie ręce nad ogniem. — Świat znacznie postarzał od tego czasu, kiedy to myślano za pomocą gilotyny kształcić dzielnych generałów.

— Trzeba było użyć gilotyny wobec tych, któ-

rzy nie chcieli wypełniać powinności swoich—odparł Deslords.

— Metody takiej nie dałoby się zastosować dziś z pożytkiem—rzekł cesarz.

— Gilotyna nauczyła ludzi obowiązku, odwrót też z pod Moskwy wypadłby był daleko gorzej, gdyby każdy wedle sił nie starał się spełniać powinności swoich.

— Więc sądzisz, pułkowniku, że każdy zasłużył się dobrze przy odwrócie? — zapytał cesarz z ironią i dokończył:

— Ciekawy też byłbym poglądu twego na postępowanie moje. Powiedz mi otwarcie, co sądziłbyś o mnie, gdybym był przed przejściem przez Berezynę opuścił armię?

— Nie mogę wypowiedzieć sądu mojego, Najjaśniejszy Panie.

— A ja cię proszę, i jeżeli potrzeba, rozkazuję powiedzieć prawdę.

— W takim razie jestem posłuszny, i powiem, że gdybyś był wtedy opuścił armię, Najjaśniejszy Panie, to zasłużyłbyś na to, ażeby cię bez pardonu rozstrzelano. Głowy Custine'a i Beauharnais'ego padły pod nożem gilotyny, a mniej zawinili oni, aniżeli ty byłbyś zawinił, Najjaśniejszy Panie.

Napoleon patrzył poważnie na tego człowieka, stojącego przed nim, a mówiącego tak, jak gdyby rąbał szablą, Deslords zaś dokończył:

— Nie przypuszczam, ażeby generał Bonaparte z roku 1796-go inny mógł wyrok wydać na siebie.

— I ja tego nie przypuszczam — dodał cesarz zimno, nie patrząc prosto w oczy majorowi.



Po krótkim milczeniu rzekł znów Napoleon:

— Nie traćmy jednakże czasu, rozmowy zostawmy na później, ty zaś, pułkowniku, każ teraz sobie wyszukać miejsce wygodne w sankach, obok eskortujących mnie Polaków, niechaj twój służący przygotuje wszystko do drogi.

— Nie mam służącego, Najjaśniejszy Panie, człowiek bowiem, z którym tu przymarszerowałem, jest niezmiernie odważnym towarzyszem i służy w bawarskim pułku dragonów. Ten dragon uratował mi życie, a za dzielną służbę swoją zasłużył na krzyż równie dobrze, jak ja.

— Przypomnij mi o tem później, a zobaczę, czy będzie można tego człowieka odpowiednio wynagrodzić.

Cesarz odwrócił się i podszedł do okna, po chwili zaś rzekł:

— Oto zbliżają się już Polacy.

Nałożywszy futro na siebie, Napoleon nie podszedł jednakże do ułanów polskich, ale zwrócił się wprost ku ładnej i wygodnej karecie, bujającej się na pasach. Były to sanki hrabiny Maryi Walewskiej, która dotrzymała słowa i razem z Napoleonem postanowiła odbyć pełną niebezpieczeństw drogę do Francji.

Marceli skłonił się pokornie, gdy w oknie karety ujrzał piękną twarz i wielkie ciemne oczy hrabiny, do siebie zaś mruknął:

— Oto jest nowa Lavaillère cesarza! Inni mogą ją nazywać aniołem opiekuńczym i dałby Bóg, ażeby tak było, Napoleon bowiem więcej teraz, aniżeli kiedykolwiek, potrzebuje anioła opiekuńczego.

Cesarz, podszedłszy do powozu, rzekł cicho, aby nie być słyszany przez otoczenie:

— Droga moja, postanowiłem stanowczo opuścić armię i w jak najkrótszym czasie stanąć w Paryżu. Teraz jedziemy do Warszawy i sądzę, że tam zatrzymasz się dłużej i odwiedzisz krewnych swoich.

Walewska przecząco poruszyła głową.

— Nie mam już teraz żadnej rodziny, a świat mój cały tylko przy tobie. \*

We wzroku cesarza, kiedy teraz patrzył na kochankę swoją, odbijała się czułość wielka, Walewska zaś mówiła dalej:

— Przyjechałam tu przecież jedynie dlatego, ażeby cię ratować, i jeżeli mam żal jaki, to tylko ten, że nie posłuchałeś rady mej wcześniej i nie porzuciłeś armii jeszcze przed Berezyną.

— Nie mogłem uczynić tego, co bowiem dziś stało się koniecznością, to wówczas byłoby zbrodnią. Armia ufała mi ślepo i nie wolno mi jej było opuścić w nieszczęściu. Teraz postać rzeczy zmieniła się zupełnie. Reszta wojsk moich nie potrzebuje mojej opieki, uratuje się sama, obecność zaś moja we Francji w tej chwili jest konieczną.

— Naturalnie, że przyjechawszy do Francji, znów rozmyślać zaczniesz o nowych wojnach?—wtrąciła Walewska z uśmiechem przymuszonym.

— Moja Maryo, nie przyszedłem na ten świat, ażeby układać piękne madrygały, albo też, ażeby pisać książki kucharskie na wzór poczciwego, kochanego króla Ludwika.

— Gdybyś światu pozwolił odpocząć trochę, to i sam użyłbyś więcej szczęścia na świecie.

— Ani światu nie potrzeba spokoju, ani mnie więcej szczęścia. Dużo pracy mam jeszcze przed sobą, a zadanie życia musi być spełnione.

Wzrok cesarza pobiegł gdzieś w dal, ku zachodowi i znać było, że w głowie jego ważą się myśli wielkie. Stał też długo przy karecie zamyślony, wreszcie ujął za rękę hrabinę Walewską i rzekł z mocą:

— Jednej rzeczy potrzeba mi bardzo — wiary twojej we mnie.

Ona zaś odparła uroczyście:

— Cokolwiek się stanie, nie opuszczę cię nigdy!

— Ty i kuzynka twoja trzymacie w ręku swoim życie moje, co zaś przeważy: czy miłość twoja, czy jej nienawiść, czas pokaże.

— Helena od dzieciństwa dla nas wszystkich była zagadką.

— Czy nie wiesz, gdzie się znajduje teraz?

-- Nie wiem, przypuszczam jednak, iż pozostała przy armii rosyjskiej, nie odważyłaby się bowiem po tem, co uczyniła, powracać do kraju.

Cesarz raz jeszcze uściśnął rękę hrabiny Walewskiej i oddalił się widząc, że hrabia Daru przygotował już sanki, które otoczyli szaserzy i ułani.

Marceli i Stefan wyruszyli przodem, polecono też im, ażeby starali się po drodze o kwaterę odpowiednią.

Cesarz wydał rozkaz, ażeby nie jechano wprzód do Wilna, ale ażeby miasto okrążono od strony po-



ludniowej. W Wilnie nie miano się zatrzymywać wcale.

Obok Deslordsa jechał generał Corbineau na czele garstki francuskich i polskich ułanów.

Stefan Malinger w złotym był teraz humorze, powtarzał też ustawicznie:

— Nareszcie wydostaniemy się z tego kraju przeklętego — zjedliśmy sobie porządnie, zagrzaliśmy się i czegoż nam więcej potrzeba? Teraz nic już nas złego nie może spotkać!

Marceli nie odpowiadał na te wybuchy radości, w duszy bowiem jego budziło się dziwne przecucie nowych przejść bolesnych.

Za sankami Deslordsa szedł powóz hrabiny, eskortowany przez gwardyę strzelców, w pewnem zaś oddaleniu dwoje sanek wiozło cesarza, hrabiów Coulaincourt'a i Daru, oraz adjutantów. Oddalenia od jednego do drugiego powozu stawały się raz większe, to znów mniejsze, starano się jednakże jechać możliwie najszybciej.

Mróż, ten tyran i wróg największy Francuzów, nie zwalniał ani trochę, przeciwnie, wzrastał ustawicznie. W Smorgoniach termometr, posiadany przez doktora Yvana, wskazywał 20<sup>o</sup> poniżej zera, w drodze spadł jeszcze o 2<sup>o</sup>. Wokoło śnieg pokrył pola, drogi, lasy i łąki, oko zaś drażniła ta monotonna białość, rozpościerająca się wszędzie. Słońce świeciło na niebie, ale nie grzało, cisza zaś panowała tak wielka, że wrażenie u jadących wywoływało ukazywanie się wron i zajęcy, ale w końcu i to zaczęło nudzić, a widok śniegu wywoływał znużenie i febrę.

Na drugi dzień po opuszczeniu Smorgoni ce-

sarz z Coulaincourtem postanowił wypocząć przez kilka godzin we wsi, przez którą przejeżdżano, do Marcelego zaś przybliżył się oficer ułański i szepnął, że Napoleon życzy sobie, ażeby zboczono z traktu głównego i udano się drogą boczną do pałacu, widniejącego zdaleka.

— Czy nie wiesz, dlaczego kazano to uczynić?— zapytał się Deslords.

— Podobno hrabina życzy sobie tego.

— Jakże się ta wieś nazywa?—pytał dalej.

— Łakińce — odparł porucznik, a Marceli podskoczył na siedzeniu swoim.

— Łakińce? Podobnie nazywa się jedna z krewnych hrabiny Walewskiej.

— Nic w tem dziwnego — zawołał ułan — przecież i hrabina Walewska pochodzi z tych dóbr, do jakich zdążamy.

Jakkolwiek krew się burzyć zaczęła w Marcellim na samo wspomnienie Heleny, to jednak stosownie do rozkazu kazał skrócić na drogę boczną, pewnym będąc, że pałac stoi pustkami i że Helena znajduje się w obozie rosyjskim.

Po dwugodzinnej podróży Marceli razem z eskortą ujrzał wielką bramę wjazdową i park w Łakińcach. Zdziwienie jego, wściekłość i ból na widok Jana Oettinga, którego miał za umarłego i na widok hrabianki Heleny wybuchnęły teraz z siłą niepowstrzymaną. Oczom swoim nie chciał wierzyć, a przez myśl przebiegła mu cała komedia, odegrana nad Berzyną. To zwalenie się z konia podczas przeprawy przez rzekę wydało się teraz Deslordsowi po miśtrzowsku odegraną komedią. Towarzysze Oettinga

umierali z zimna i głodu, on zaś używa wygod w zamku przy boku pięknej kobiety...

Marceli schwycił Malingera za rękę i krzyknął:

— Patrz, Stefanie! Oto on, ten twój dzielny kapitan, którego wszyscy ceniliśmy niegdyś wysoko, którego król wyróżniał nad innych, a cesarz chwalił gorąco! I ten człowiek uciekł haniebnie, a teraz prawdopodobnie dzieli się z kochanką swoją rublami, otrzymanymi za zdradę...

— Panie majorze, wybijmy bramę i weźmy go żywcem!—zawołał Malinger, Deslords zaś rękę zwinął w pięść i groził ku oknu pałacowemu.

— Łotrze, zdrajco haniebny! Żałuję teraz każdego uściśnienia ręki twojej. Godzina zemsty nadeszła i kara was nie minie, choćbym to sam miał przyplacić głową. Stefanie, musimy wejść do pałacu! Cesarz pragnie się tu zakwaterować, więc wypędzić trzeba wszystkie sowy z tego gniazda!

— Na wszystko jestem przygotowany, panie majorze, a wiem, że trochę ruchu przy tem zimnie nie zaszkodzi wcale.

— Jeżeli brama nie da się wyłamać, to trzeba przedostać się przez mur. Strzelcom nakazać, ażeby w tej chwili rozpoczęli ogień!

I rozpoczęła się walka zawzięta. Helena dysponowała siłami, nie przekraczającemi trzydziestu ludzi, podczas gdy napastnicy stanęli do ataku w podwójnej liczbie. Strzały padały ustawicznie po jednej i drugiej stronie, a śnieg w ogrodzie czerwienił się coraz więcej.

Malinger ustawicznie bił siekierą w bramę z taką siłą, że wreszcie pękły wrzeciądze.



— Naprzód, przyjaciele! — krzyknął teraz i ruszył wprost do pałacu, Deslords zaś zawołał:

— Każdego, ktoby się ukazał się w oknie, wystrzelać!

Strzelcy rosyjscy celowali wybornie i pomimo wysiłków, Deslords nie byłby się dostał do wnętrza pałacu, gdyby generałowi Corbineau nie wpadła była myśl do głowy szukania wejść bocznych. Zaczęto przeto obchodzić dom wkoło i po długich staraniach wkroczo no bocznemi drzwiami do sieni.

Niewielkie to jednakże było zwycięstwo! Ukryci na schodach i za kolumnami oblężeni prażyli nacierających tak ostro, że wkrótce podłogę całą zasłaty trupy. Jan z Heleną, służba i domownicy barykadowali się pospiesznie na piętrze, w braku zaś strzelb, wrywali kamienie i cegłę, rzucając je na głowy Francuzów.

— Bronią się z rozpaczą — rzekł generał Corbineau.

— Wiedzą dobrze, dlaczego tak czyniał — odparł Deslords.

— Szkoda jednakże ludzi naszych — zauważył generał—proponowałbym zatem, ażeby tę sprawę załatwić polubownie. Zapewnijmy im spokojny i niczem niekrępowany odwrót, jeżeli zgodzą się opróżnić pokoje.

— Nie! nigdy! Żywych, czy umarłych muszę dostać w swoje ręce—krzyknął Deslords zapalczywie, a tyle nienawiści fanatycznej widać było na twarzy pułkownika, że Corbineau nie chciał już perswadować dłużej.

— Taka chwila zemsty nie nadejdzie po ra drugi! Nareszcie odpowiedzą mi za wszystko, za armię całą, za korpus nasz rozbity, za pułk mój poległy. Rachunek krwawemi pisać będziemy cyframi. Ciesz się, hrabianko, i ty zdrajco, który nie miałeś odwagi oprzeć się wdziękom kobiety przewrotnej!

Na usta Deslordsa wybiegała piana, nogami tupał, a tak był przejęty tem wszystkim, że nie zważał wcale na kule, świstające ustawicznie około jego głowy.

— Skoro nie możemy dostać się po schodach, to przystawmy drabiny i wybijmy okna — krzyknął, a rozkaz jego starano się w tej chwili wykonać.

Pomysł to był jednak bardzo nieszczęśliwy, oblężeni bowiem z wielką łatwością przewracali drabiny i z góry strzelali na nacierających Francuzów. Corbineau schwycił Deslordsa za rękę:

— Ich życie nie warte twojego — zawołał. — Ci ludzie strzelają jak do tarczy, a my spacerować mamy wśród gradu kul i to bez potrzeby? Lepiej już podłożyć ogień z czterech stron i spalić ich żywcem, albo też ogłodzić.

— Nie, generale, ja muszę dostać ich w ręce, choćby mi przyszło paznogciami rozdrapać ścianę i głową mur przebić.

Deslords zamierzał właśnie uszykować ludzi do ataku, gdy nagle otwarły się drzwi, prowadzące do sali wielkiej i z pokoju wypadła wielka gromada ludzi, zaopatrzonych w pałasze, strzelby, siekiery i topory. Na czele tej gromady szedł naprzód Jan Oetting.

Francuzi cofnęli się na razie, ale Deslords śmiać się zaczął i wołać:

— Ha, ha, pragniesz teraz śmierci z naszej ręki! A więc dobrze! Spotka cię to, czego żadasz — i wyciągnął szablę z pochwy.

Bitwa wybuchnęła teraz z całą gwałtownością, Francuzi pragnęli zemsty, mieszkańcy zaś pałacu wiedzieli, że gdyby wpadli w ich ręce, ani jeden nie wyszedłby żywy.

Rozmach, z jakim wypadli ludzie hrabianki z sali, tak był wielki, że Francuzi cofać się musieli ustawicznie.

Oddawna, a może nigdy jeszcze stara siedziba Łakińskich nie była świadkiem takiej bójki zajadłej. Odgłosy strzałów mieszały się z przekleństwami, okrzykami i brzękiem bagnatów.

Marceli, cofając się teraz pospiesznie, nie spostrzegł, że Oetting, wydając okrzyk bóleści, słać się począł i blizki był upadku. Potężne cięcie pałaszem jednego z ułanów obezwładniło ramię Jana.

Natychmiast przyskoczyło dwóch ludzi, którzy podchwycili upadającego kapitana i po schodach wnieśli go do pokoju Heleny, która zbladła śmiertelnie na widok rany ukochanego.

— Panie majorze! — krzyknął w tej chwili Malingier — Widziałem go na własne oczy, kapitan Oetting stanął sam na czele i kazał strzelać do nas, towarzyszyków swoich.

Stefan drżał na całym ciele z oburzenia.

Deslords cofać się musiał z ludźmi swoimi, co tem więcej podniecało upór jego.

Nagle blask wielki uderzył w oczy wszystkich,



słysząc też było trzask drzewa i zawalenie się domu. Jeden z Francuzów podłożył ogień pod stodołę, która zajęła się w tejże samej chwili, oświetlając dwór i park przyległy.

— Na Boga! Cóż się tu dzieje? — padł nagle głos kobiety.

Oczom Francuzów ukazała się teraz hrabina Marya Walewska, blada, biegnąca bez tchu prawie. Te płomienie, trupy leżące na schodach i w sieni, śnieg krwią zabarwiony, ściany podziurawione kulami i okna wyrwane, przedstawiały widok, jakiego nie spodziewała się hrabina Marya znaleźć tu, w tem miejscu, gdzie przepędziła młodość swoją.

Marceli skłonił się hrabinie i rzekł:

— Pałac ten już był zajęty, ludzie zaś, którzy go zamieszkali, widzieli, że bronić się muszą.

— Czyżby Helena miała być w domu?—zapytała zdziwiona hrabina.

— Zastaliśmy ją tutaj, a wiadomo, że w ślad za hrabianką Łakińską biegnie zniszczenie i śmierć.

— Pójdę do niej! — zawołała Marya z mocą.— Przecież mnie chyba nie odmówią wstępu.

Corbineau i Deslords zagrodzili jej drogę.

— Nie puścimy pani! Tam kule świszczą, nie piłki, jakimi dzieci się bawią, a my za życie pani bierzemy odpowiedzialność przed cesarzem.

— Bądźcie spokojni, nic złego nie może mi się tutaj przytrafić, może zaś powiedzie mi się tych nieszczęśliwych przywieźć do rozumu. Lepiej zgodnie zakończyć tę sprawę.

— Nie ma zgody!—krzyknął Deslords—nie ma przebaczenia ani dla hrabianki Heleny, ani dla tego

zdrajcy oficera, który teraz znajduje się przy niej  
Nie narażaj się przeto pani bezpotrzebnie na niebezpieczeństwo.

— A jednak muszę uratować siedzibę pradziadów moich — mówiła hrabina, nie myśląc bynajmniej ustępować — jeżeli oni się nie poddadzą, to może przynajmniej skłonię służbę, ażeby uszanowała wolę cesarza.

Marceli i Corbineau zrobili przejście, a generał rzekł:

— Nie możemy krępować woli pani, w każdym jednakże razie stać będziemy tutaj i czekać na rozkazy pani.

Hrabina Marya Walewska weszła śmiało do pałacu...

## XXIV.

### Sąd wojenny.

---

Służba pałacowa poznała natychmiast Maryę i wszyscy ucieszyli się na widok dawno niewidzianej w Łakińcach hrabiny. Walewska witała się też ze wszystkimi, wreszcie rzekła:

— Proszę oznajmić kuzynce mojej, że przyjechałam i pragnę się z nią rozmówić.

Stary kamerdyner pobiegł natychmiast, za chwilę też na progu ukazała się Helena. Błada, zimna, wyszła hrabianka na powitanie Walewskiej, której nie widziała od lat kilku.

— Czego żadasz odemnie?— rzekła.

— Przyszłam cię wyratować i przerwać tę bezcelową bójkę.

Helena śmiać się zaczęła pogardliwie.

— Na czele intruzów francuskich chcesz wejść do domu, którego nigdy nie splamiła noga obcego najeźdźcy.

— Przestań mówić w ten sposób do mnie i raz nareszcie wybij sobie z głowy te urojenia. Chcia-



łaś zemsty, więc masz ją teraz, ale pamiętaj, że przez ciebie dosyć już ucierpiał honor kraju naszego.

— I ty, Maryo, śmiesz jeszcze mówić o honorze?

Głos Heleny brzmiał twardo, oczy zaś wyrażały niewysłowioną pogardę, gdy mówiła dalej:

— Dziwię się, że bez zarumienienia weszłaś do domu mojego, wiesz bowiem dobrze, że nazwisko Maryi Walewskiej wykreślone zostało z naszej księgi rodzinnej. Ty jesteś wyrodkiem, niegodnym tych związków krwi, jakie cię łączą z nami, bo my nie zwykliśmy całować ręki, która nas bije, ani nie szanujemy tych, którzy nas oszukują.

Położenie Maryi Walewskiej stało się nad wyraz przykre; przyszła ona tu żądać wytłómaczenia, a teraz sama musiała się tłómaczyć. Nie mogła też znaleźć słów na swoje usprawiedliwienie, Helena zaś mówiła dalej:

— Pozwól, że honoru swojego sama bronić będę, tego rodzaju kobiety nie mają prawa wtrącać się do czynów ludzi uczciwych.

Marya pod wpływem tych słów ubliżających odzyskała pewność siebie.

— Nie sądziłam, że w ten sposób odpłacisz się za dobre serce moje, ale widzę, że przez ciebie szal przemawia. Czy ty nie widzisz, że cesarz strasznie się zemści za zdradę twoją.

— Już raz próbował się zemścić, ale mu się to nie udało. Po cóż zresztą ta czcza gadanina! Idź, jeżeli chcesz, padnij przed nim na kolana i proś go o przebaczenie dla mnie! Musisz ślicznie wyglądać,

gdy klęczysz przed tym Korsykaninem, a on już przyzwyczał się do tej pozy twojej.

— Heleno! — krzyknęła Marya i schwyciła kuzynkę za rękę.— Czy nie widzisz, że Francuzi już podpalili pałac i że nie utrzymasz się dłużej na czele tej garstki służby. Ustąp więc, a ja przyrzekam ci wymódz na cesarzu, że pozwo'li ci wyjechać swobodnie za granicę.

Helena zaśmiała się złośliwie.

— Wspaniałomyślny doprawdy ten twój cesarz! Pobity, bez wojska powraca z Rosyi i mnie wolnością ma teraz udarować! Nie! moja droga, rana jego zbyt mocno się krwawi, ażeby nie miał upaść teraz wycieńczony, a ja tę jedną przynajmniej mam pociechę, że w małej części przyczyniłam się do jego upadku.

Po krótkiej przerwie Helena zapytała ostro:

— Czegóż jeszcze chcesz odemnie?

— Jeżeli sama chcesz się narażać na śmierć niechybną, to przynajmniej nie narażaj tych ludzi biednych na niebezpieczeństwo!

Walewska z pokornej stała się teraz groźną, zwracając się też do służby, zawołała:

— Znacie mnie i wiecie, że dużo zdziałać mogę dla was dobrego! W imieniu przeto Najjaśniejszego cesarza Francuzów nakazuję wam złożyć broń!

Helena wpadła z zaciśniętymi pięściami.

— Wara słuchać obcych ludzi w moim domu własnym!

Nastała chwila milczenia, służba spoglądała po sobie, podnosiła wzrok raz na hrabinę Walewską, to znów na dziedziczkę i nie wiedziała, co czynić dalej.

Wszyscy zmęczeni byli walką, kiedy też Walewska ponowiła zapewnienie, iż cesarz wspaniałomyślnie obdarzy ich wolnością, część znaczniejsza domowników przechyliła się na jej stronę. Napróżno już teraz Helena zaklinała i groziła, czterech tylko, czy pięciu strzelców rosyjskich postanowiło dotrzymać jej placu, na nich też zamierzała oprzeć dalszą obronę, a pewność siebie nie opuściła jej w tej chwili jeszcze.

— Barykadować się będziemy w jednej sali za drugą!—zawołała—a jeżeli wyprzecie nas z piętra, to udamy się na wieżę, gdy zaś i wieżę zdobędziecie, wtedy pozostanie dość czasu do zapalenia beczek z prochem!

Na czele pięciu strzelców Helena zamknęła się w sali, Walewska zaś słyszała, jak znoszono meble wszystkie i barykadowano drzwi.

Deslords i Corbineau czekali niecierpliwie na wynik tej rozmowy, gdy zaś dowiedzieli się, że hrabianka bronić się myśli do ostatka, postanowili działać z całą energią.

— Dziesięciu ludzi niechaj zajmie schody — zakomenderował Deslords—siekiery wziąć z sobą! Druhich dziesięciu ludzi dotrze do galeryi drewnianej i podłoży tam ogień, ażeby w tem miejscu przeciąć połączenie z wieżą.

Marya Walewska zaczęła teraz błagać Marcellego, ażeby oszczędzał Helenę, ale Deslords tak był zajęty jedną tylko myślą ukarania zdrajczyni, że nie słyszał nawet tych słów błagalnych.

Podpalenie galeryi nie było tak łatwe, znajdowała się ona bowiem tak wysoko, że drzewa nie mogły chwycić płomienie, galerya zaś tworzyła osta-



tnią deskę ratunku obłązonych. Tutaj ułożono też Jana Oettinga, którego rana krwawiła się bardzo, pozbawiając go sił zupełnie.

Helena natychmiast zajęła się opatrzeniem rany, pocieszała nieszczęśliwego, nie wydając z siebie ani słowa skargi i nie okazując ani cienia obawy. Pomimo to, czuli oboje, że nadszedł ich koniec, jeżeli bowiem Francuzi otworzą, pomimo barykady, drzwi, wiodące do sali głównej, to wtedy rozbroją strzelców, a wieża nie może trzymać się długo.

Napastujących liczba przeważała tak znacznie, że obrona nie mogła już trwać długo. Deslords przygotowywał się do nowego szturmu, nastąpiła też groźna cisza w pałacu.

— Heleno!— wybiegło na usta Jana i znać było, że męczy go mówienie.

— Czego sobie życzysz, najdroższy?

— Heleno! i cóż się stanie z tem szczęściem naszym, o którym śniliśmy tak pięknie?

Ona uśmiechnęła się gorzko i boleśnie rzekła:

— Snadź nie dla nas przeznaczone było szczęście na tym świecie. A jednak i za te dni kilka powinniśmy dziękować Bogu.

— Szczęście nasze zdruzgotały kule Francuzów— mówił z boleścią, ona zaś przyklękła i tamowała mu krew.

— Nie męcz siebie i mnie! Rozmowa cię męczy; czy cierpisz bardzo?

On uchwycił jej rękę i patrzył z niewysłowioną boleścią w jej oczy.

— Więc ty kochasz mnie jednak?— zapytał, ona

zaś pocałunkami okrywać zaczęła oczy, czoło i usta jego.

— Cały świat nas opuścił, pozostała nam tylko miłość nasza do grobu—mówiła smutnie.—Trzeba nam umrzeć razem. Pocałuj mnie raz jeszcze i jeżeli miałeś jakie wątpliwości co do uczucia mojego, to rozprosz teraz te myśli, bolałoby mnie bardzo, gdybym umrzeć musiała z tem przeświadczeniem, że nie wierzyłeś w miłość moją.

Jan uśmiechnął się błogo, ona zaś twarz zakryła rękami i Oetting po raz pierwszy zobaczył łzy w jej oczach. Serce, które nie zdawało się skłonmem do czułości, wezbrało w tej godzinie straszliwej.

Ostatnią tę rozmowę kochanków przerwały krzyki, uderzenia kolbami o drzwi i ponowna salwa wystrzałów. Jeden ze strzelców wpadł przerażony do pokoju.

— Idą już, drzwi nie oprą się długo!

— Uciekajmy zatem na wieżę — zawołała Helena i sama ze strzelcem podpierając Oettinga, który, osłabiony upustem krwi, nie mógł sam wejść do galerii. Umieściwszy Jana na fotelu, powróciła Helena raz jeszcze do sali i zabrała z sobą papiery, leżące w szafie.

— Cóż to znaczy? — zapytał Oetting.

— Znasz przecież te papiery, to dokumenty, zawierające układy austriackie. Taka rzecz nie może wpaść w ręce Napoleona!

Zaledwie Helena zdążyła wbiegnąć do wieży, gdy drzwi wyważono i do sali wtargnęli Francuzi. Pierwszy wszedł Marcei, za nim Stefan Malinger i kilku szaserów,

— Gdzie oni? — krzyknął Deslords.

— Uszli nam jeszcze — odparł Stefan — ale teraz dostaną się już napewno w ręce nasze.

Już miano przystąpić do rozwalenia drzwi, wiodących na wieżę, gdy nad drzwiami ukazała się nagle chustka biała, znak, że oblężeni pragną układów.

Marceli wstrzymał natychmiast dalsze kroki żołnierzy i krzyknął w stronę powiewającej chustki:

— Czy gotowi jesteście poddać się nam teraz? Od wnętrza dał się słyszeć głos Heleny.

— Czy pomiędzy wami znajduje się major Deslords?

— Sam w swojej osobie — odparł Marceli ironicznie — ma teraz zaszczyt rozmawiać z panią.

— Chcę pomówić z panem, rozmowa zaś nasza nie będzie dłuższą nad pół godziny. Jeżeli nie zgodzisz się na tę rozmowę, to bronić się będziemy do upadłego, a gdy wtargniecie na wieżę, to przy pomocy beczek prochu wysadzimy dom ten w powietrze.

Marceli wahał się przez chwilę, wiedział jednak, że Helena dotrzyma obietnicy, rzekł zatem w końcu:

— Gdybym więc zgodził się na tę rozmowę, to co mi należy uczynić?

— Oddał pan ludzi swoich i każ im stanąć w sali głównej. Rozmowa nasza odbędzie się na galerii, którą uważamy za grunt neutralny. Po ukończeniu rozmowy, każdy z nas zajmie znów takie stanowisko, jakie w tej chwili zajmujemy.

— Paktuje, jak generał jaki — pomyślał Marceli, głośno zaś odparł:

— A więc dobrze! Zgadzam się na warunki.



— Czy dajesz mi pan słowo honoru, że będę zupełnie bezpieczną?

— Słowo honoru żołnierskie!

— Idę zatem!

Marceli słyszał odsuwanie rygła, natychmiast też wysłał żołnierzy swoich do sali głównej i czekał na przyjście Heleny.

Dziwne jest serce ludzkie! Zemsta i miłość jednakowe wywołują drżenia, człowiek też nieraz cieszy się więcej na akt zemsty, niż na wypełnienie najgorętszych pragnień miłosnych.

Marcelemu serce biło gwałtownie, czekał z niecierpliwością wielką i rad był, że nareszcie drzwi się otworzyły, a na progu ukazała się, krocząc wolno i majestatycznie, Helena.

W połowie galeryi zatrzymała się, a wyglądała wtedy jak mara, przychodząca z innego świata.

Deslords skłonił się sztywno.

— Witam panią!

— Dzień dobry, majorze — odparła i oboje zachowali nawet w tej chwili odcień kurtuazyi rycerskiej, pierwszy jednakże rozpoczął Marceli, nadając wyrazom swoim ton ironiczny:

— Dawno już nie rozmawialiśmy z sobą, hrabianko, zdaje mi się, że od czasu owego mazura, czy też kordygardy w Moskwie, nie miałem sposobności ujrzeć pani.

— Być może — odrzekła dumnie — nie przypominam jednak sobie, ażebym kiedykolwiek i gdziekolwiek tańczyć miała z panem.

Pomimo tych pozorów spokoju, Deslords zauważył, że Helena bladą była nadzwyczajnie, że twarz

jej wyciągnęła się i że tak była w tej chwili zmęczoną, iż na nogach trzymała się siłą woli. Nie uczuł jednakże ani przez chwilę litości dla niej.

— Sądzę, że dużo dałabyś pani za to, gdybyś mnie mogła nie spotkać nigdy w życiu więcej — wszczął Marceli — przykro mi też bardzo, że nadeszła teraz chwila obrachunku pomiędzy nami.

Helena wybuchnęła śmiechem.

— Czy może przypuszczasz pan, że przyszedłam tu prosić pana o przebaczenie, łaskę i zmiłowanie?

Deslords zmieszał się na razie tą pewnością siebie hrabianki i rzekł dopiero po chwili:

— Nie rozumiem, co mogłoby panią sprowadzić inaczej.

— Od ludzi w rodzaju pana nie wymaga się przecież łaski!

Deslords opanował się natychmiast i rzekł spokojnie:

— Przyznaję pani rację, uczucie litości nie jest dla mnie obce, ale wobec osób tego rodzaju, co pani, nie pozwolę się niem rządzić nigdy. Kobieta, która jak pani, ogniem i mieczem wytępić nas pragnęła, zginąć tylko może od ognia i miecza.

Marceli zacisnął teraz pięści, przyskoczył ku hrabiance, a oczy jego rzucały iskry gdy mówił:

— Czy widzi pani te pola śnieżne, zasłane trupami towarzyszków moich?! W małej cząstce wprawdzie, ale bądź co bądź i twoja w tem jest ręka!

Helena na ten wybuch majora odparła spokojnie:

— Panie Deslords, co się stało, odstać się już nie może...

— Zmienić tego nie możemy, to prawda, ale kara nie minie nigdy winnych! Nie należę do ludzi, którychby można wziąć na gładkie słówka, spojrzenia oczu namiętne i czułe uściśnięcie ręki, pod tym względem nie jestem podobny do Jana Oettinga.

— Właśnie dla niego zrobiłam to, że przyszedłam tutaj — zawołała Helena. — Jan ciężko ranny leży w pokoju wieżowym. Jeżeli pan mi przyrzekniesz, że Jan będzie wolny, to w takim razie zdaję się na łaskę i nielaskę pańską. Czyń ze mną co ci się podoba, ale jego puść na wolność!

Marceli przenikliwie spojrzał na hrabiankę i jak gdyby nie rozumiał słów jej, zapytał:

— Więc pani chcesz się poświęcić dla niego? Wiedz zatem, że dla ciebie nie będzie nigdy przebaczenia, ani łaski!

— Nie pragnę niczego — odparła — byle on był wolny.

Marceli podejrzewał podstęp, nie odpowiedział też w tej chwili i tylko wciąż badawczo patrzył w oczy Heleny, wreszcie rzekł poważnie i stanowczo:

— Nie mogę się zgodzić na propozycję pani. Panią możnaby jeszcze usprawiedliwić i ulaskawić, ale on zasłużył na karę surową i niema dla niego przebaczenia. Oetting musi być postawiony przed sąd wojenny, a jestem pewny, że gdyby z całej armii naszej zostało bodaj trzech ludzi, to i ci jeszcze wydaliby na niego wyrok śmierci.

Helena zadrżała i była blizką omdlenia, chciała mówić, ale słowa jej zamierały w gardle.

Deslords mówił dalej:



— Niema łaski dla szpiegów i oficerów zdrajców! Wpadliście w sidła nasze, a za winy swoje odpokutujecie teraz ciężko.

Helena odzyskała spokój dawny.

— W takim razie posłuchaj mnie jeszcze, panie majorze! Za życie Oettinga oddam panu papiery, które więcej dla pana są warte, niż życie jednego z oficerów. Cesarz wdzięcznym będzie panu.

— Cesarz?

— Tak jest! cesarz wynagrodzi pana.

Gdy to mówiła, twarz jej tak pobladła, że była podobniejszą do lunatyczki, aniżeli do kobiety, działającej na jawie.

Major patrzył na Helenę niedowierzająco.

— Nie rozumiem pani i nie przypuszczam, ażeby w rękach pani znajdować się miało coś takiego, co mogłoby mieć wartość dla cesarza?

— A jednak powtarzam panu, że wartość papierów moich jest nieocenioną. W mojem bowiem ręku znajduje się traktat, spisany pomiędzy Austryą i Rosyą, mocą którego obie armie, na wypadek klęski naszej obowiązane są wyruszyć przeciwko wojskom francuskim. Skutki tej kampanii, nadejście w porę Czyczagowa, utrata Mińska i Borysowa, tylko temu traktatowi powinien cesarz zawdzięczać, jeżeli też teraz nie przetnie owej nici, Napoleon na przyszłość opętany będzie siecią, z której nie wydobędzie go żadna siła na świecie. U mnie znajduje się kopia tych układów; wydám ją panu wzamian za wolność Oettinga. Ze mną zrobicie, co wam się tylko spodoba!

Ból wielki znać było na twarzy hrabianki, gdy mówiła dalej:

— Całe życie moje oddaję za niego i wiem, że wydanie tych dokumentów ściągnie na mnie hańbę wśród dwóch narodów zaprzyjaźnionych, ale to mi już teraz zupełnie obojętne, chcę uratować Jana.

Deslords słuchał uważnie, ale nie rozumiał dokładnie słów tej kobiety, nie mogło też mu się w głowie pomieścić, ażeby papier taki mógł się znajdować w rękach hrabianki. Pomimo to rzekł:

— Posiadasz pani zatem kopię traktatu z Austryą?

— Mam i wydam tylko za życie Oettinga.

— A jednak ja pani nie wierzę. Może to jest tylko nowa pułapka, które pani umiesz tak zgrabnie nastawiać.

— Nie zapominaj się, majorze!

— Pani! Mam do czynienia z kobietą, a wiadomo, że nie ma kobiet równie przewrotnych na świecie, jak ty nią jesteś!

Sarkazm Deslordsa wzburzył krew w hrabiance, zawołała też z gniewem:

— A gdybym panu pokazała ten papier?

Deslords zaczął się namyślać, wreszcie rzekł:

— Wtedy — ha! wtedy może znalazłaby się łaska dla Oettinga.

— Chodźmy zatem! papiery te oddam panu w ręce — zawołała Helena uradowana, ale Deslords uśmiechnął się ironicznie.

— Jestem zawsze ostrożny, hrabianko! Racz mi przeto powiedzieć, gdzie mam się udać po owe papiery?

— Przeniosłam je na sam szczyt wieży.

— A więc dobrze! Proszę iść ze mną, a jeżeli choćby na krok odstąpisz pani odemnie, to...

Deslords wyciągnął pistolet i podnosząc go do góry, mówił dalej:

— Jeżeli zobaczę cokolwiek podejrzanego, to w takim razie użyję tej broni.

— Czy pan przypuszczasz, że nasadziłam ludzi na pana? — zawołała dumnie hrabianka Łakińska, Marceli zaś odparł:

— Po pani wszystkiego można się spodziewać!

— A więc chodźmy!

Helena wolno udała się naprzód, Deslords cwiódtł kurki i milcząc, kroczyli po schodach wieży zamkowej. Drzwi od wieży były otwarte, Helena poruszyła klamką i znaleźli się oboje w przedpokoju słabo oświetlonym.

W tej chwili cień jakiś poruszać się zaczął i postać wysoka zbliżyła się ku wchodzącym.

Deslords był pewny, że wprowadzono go w zasadzkę, podniósł w górę pistolet i wypalił. Jęk bóleści rozległ się wokół, a hrabianka padła z roztrzaskaną czaszką na podłogę.

Przez chwilę nie było można nic widzieć, ale gdy dym się rozszedł, Deslords ujrzał jakąś postać, która w mundurze, krwią zbryzganym, tuliła do siebie zwłoki poległej kobiety. Helena nie przypuszczała, ażeby Oetting na tyle zdobył się siły i szedł na jej spotkanie, bezpiecznie też udawała się na górę z Marcelim.

Jan, ujrawszy teraz przed sobą trupa kobiety



ukochanej, z taką boleścią i z takim gniewem rzucił się na Deslordsa, że pułkownik cofnąć się musiał.

— Morderco! — krzyknął — drogo zapłacicie mi za jej krew niewinną!

Deslords, który teraz dopiero poznał Oettinga, również zapalał gniewem:

— Stało się to przez pomyłkę, ale nie żałuję tego kroku. Sąd nad nią Bóg teraz obejmie, a ciebie my sędzić będziemy!

Jan uczynił ruch, jak gdyby rzucić się chciał na Deslordsa, ale opuściły go siły i padł na trupa Heleny. Po chwili, nadludzkie czyniąc wysiłki, zerwał się ponownie, ujął zwłoki Heleny i zaczął je dźwigać ku oknu, gdzie ułożył na kanapie.

Marceli krok w krok szedł za Oettingiem i widział, jak Jan pocałunkami okrywa jej usta, widział ból niezmierny tego człowieka, który ustawicznie szukał kuli i pragnął uratować życie kobiety ubóstwianej.

I stała się rzecz niespodziewana. Pomimo, że kula była celnie wymierzona, Helena wzdrygnęła się, otworzyła jedno oko i westchnęła ciężko, a przez usta przebiegły zaledwie dyslyszalne wyrazy:

— Kochałam cię, jak nikogo na świecie, i wszystko zrobiłam, ażeby cię uwolnić.

Oetting płakał jak dziecko, czekał, czy nie powie czegoś więcej, wreszcie gdy ciało [kostnieć już zaczęło, zerwał się i raz jeszcze ponuro patrząc na Deslordsa, krzyknął:

— Morderco!

Marceli nic nie odpowiedział, w tej chwili bowiem wieża cała napełniać się zaczęła ludźmi.

Francuzi, posłyszawszy strzał, sądzili, że stało się nieszczęście : pośpiesznie podążyli na pomoc, na czele Corbineau, za nim Malinger, ułani, szaserzy...

Malinger przyskoczył natychmiast do dawniejszego kapitana swojego i schwycił go za rękę, ale Oetting, jak gdyby nie czuł tego, błędnie patrzył na Helenę, tarł jej czoło i całował włosy.

— Umarłaś przezemnie i dla mnie, a ja nie rozumiałem tego i życie zatruwałem ci niedowierzaniem. Patrz! Oto są mordercy twoi! Ta sławna niegdyś armia napoleońska dziś potrafi tylko zabijać bezbronne kobiety.

Marceli podszedł do Oettinga i kładąc mu ciężką rękę na ramię, rzekł poważnie:

— Były kapitanie Oettingu i były adjutancie jego cesarskiej wysokości wice-króla Włoch, bądź gotowym do drogi! Teraz poddaj się wyrokowi sądu wojennego!

Jan nie odpowiedział ani słowa, zagryzł usta i nie patrzył nawet na dawnego przyjaciela swojego.

Deslords zwrócił się do generała Corbineau.

— Generale, śmiem prosić cię o pozwolenie odbycia natychmiast sądu wojennego! Kapitan Oetting powinien już być być sądzonym pod Berezyną, sprawa ta jednak odwlekła się na nieszczęście nasze.

Jenerał Corbineau skinął głową:

— Jestem gotów sądzić, oskarżaj, pułkowniku!

Deslords zwrócił się do żołnierzy.

— Wybierzcie z pomiędzy siebie trzech ludzi: jednego z oficerów sztabu, drugiego kapitana i trzeciego szeregowca prostego! Reszta niechaj się oddali natychmiast.

Po krótkiej naradzie w sali wieżowej pozostał: Corbineau, Deslords, oficer strzelców i Stefan Malingier.

Tych czterech ludzi wynędzniałych, mających na sobie łachmany zamiast mundurów, stanęło kołem, ażeby sądzić człowieka, na pół już umarłego, zdającego się nie dbać o nic i klęczącego nad ciałem kobiety.

Dziwny to był widok! Przez wielkie okna wieżowe wpadało słońce zimne, nie grzejące, meble leżały w nieładzie, krew zalewała podłogę, a na fotelach rozsiadło się czterech ludzi, ażeby spełnić obowiązek honoru.

Honor!... dla tych ludzi Napoleońskich wyraz ten znaczył więcej, niż miłość, litość i przebaczenie...

Oblicza sędziów nie wyrażały żadnego uczucia ludzkiego.

Generał Corbineau wstał i zwracając się do Deslordsa, zapytał:

-- Jakież są winy kapitana Oettinga?

— Zdrada dwukrotna, krzywoprzysięstwo i przejście do szeregów nieprzyjaciela! — odparł Deslords, poczem dodał:

— Zanim jednak przystąpimy do rozprawy, pozwolisz, generale, że zadam oskarżonemu jedno zapytanie.

Corbineau, jako prezydujący sądu, skinął na znak zezwolenia, Merceli zaś mówił:

— Kapitanie Oetting! Czy wiadomo panu cośkolwiek o traktacie, zawartym pomiędzy Austryą i Rosyą, którego to traktatu kopia znajdować się miała w rękach hrabianki Heleny Łakińskiej.



Na głos ten poruszył się Jan, wolno podniósł się z klęczek i przyglądać się począł obecnym z uśmiechem ironicznym na ustach.

Cisza panowała wielka i wszyscy oczekiwali na odpowiedź, Oetting tymczasem wstrząsnął się cały, uczynił wysiłek nadludzki, postąpił szybko kilka kroków naprzód, sięgnął do kieszeni na piersiach i rzucił jakiś przedmiot w ogień, palący się na kominku. Płomienie buchnęły nagle, Jan zaś, oparłszy się o ścianę, zawołał:

— Oto są papiery, których szukacie! Teraz nie przeczytacie ich nigdy, a tem mniej nie przeczyta ich wasz cesarz! Ten wasz cesarz pójdzie teraz na zgubę, a koniec czeka go straszny!

Oetting mówił to z trudem, trząst się cały jak w febrze, a w oczach dziwny palił się ogień. Śmiał się, ale śmiechem, który przenikał do wnętrza:

— Ha, ha! bałwanów w starożytności kopano nogami, a wasz Napoleon był tylko bałwanem, którego czcili głupcy! Niechaj wstaną z pod śniegu te tysiące poległych i niech powiedzą, czy ubóstwiają jeszcze to bożyszczce, czy chcą nadal być niewolnikami jego! Boże! gdybym miał tyle siły, ażeby odziałać na mój naród, to z pewnością powołałbym go pod broń i poszedł przeciwko tyranowi! Niestety! umierać już muszę.

Oetting oparł się o ścianę, ale raz jeszcze czyniąc wysiłek, popatrzył na sędziów i rzekł dumnie:

— A teraz... zabijcie mnie, jeżeli chcecie! W waszem rozumieniu jestem zdrajcą, krzywoprzysięzcą i zasłużyłem na śmierć z waszej ręki.

Padł, wycieńczony doszczętnie, na zwłoki He-

leny, sędziowie spojrzeli po sobie, Marceli skamieniał jak statua, nie mógł też mówić i tylko wzrokiem pytał generała Corbineau, jak dalej należy postąpić. Corbineau zaś wstał i rzekł poważnie:

— Kapitanie! Uznajemy cię winnym:

Po 1-sze: Opuszczania się w służbie.

Po 2-gie: Niewypełniania obowiązków i zawiązania konszachtów z nieprzyjacielem, wskutek czego brygada cała dostałaby się była w ręce rosyjskie.

Po 3-cie: Nieposłuszeństwa względem woli cesarza, przeciwko któremu walczyłeś z bronią w rękę.

Corbineau zwrócił się teraz do sądu wojennego:

— Panowie! Jakąż karę postanawiacie za pierwsze przewinienie?

— Śmierć!—odpowiedział oficer strzelców i Marceli, którego twarz drgała.

— Proszę o odpowiedź na drugie zapytanie!

— Śmierć!—odpowiedziano.

— A na trzecie pytanie?

— Śmierć!—zabrzmiało głucho, jeden tylko Stefan Malinger wstał i przemówił w sposób prosty:

— Panie generale! Czy wolno mnie, biednemu dragonowi, wtrącić swoje słowo?

— Ależ mów, przyjacielu, jesteś przecież sędzią!

Malinger popatrzył na towarzyszków i głos mu drżał, gdy zaczął mówić nieśmiało:

— Panie generale! Pan kapitan Oetting zawsze był dzielnym żołnierzem, on nic nie zawinił, jeno ta kobieta go oczarowała. Ona już na sądzie Boskim,

więc też mnie się zdaje, ażeby nasz dzielny kapitan, który mi życie uratował pod Smoleńskiem, czego mu nigdy nie zapomnę...

Marceli uśmiechnął się ironicznie i rzekł zimno:

— Siadaj, Stefanie! Na sądzie wojennym nie chodzi o nasze sprawy osobiste.

Malinger usiadł, głowę podparł pięścią swoją potężną i milczał. Ten człowiek prosty nie rozumiał, ażeby kapitana Oettinga można skazać na śmierć.

Oetting, który dotąd apatycznie zupełnie przysłuchiwał się wszystkiemu, wstał nagle i popatrzył na sędziów swoich.

-- Przyznaję słuszność panom. Skazując mnie na śmierć, postąpiliście, jak postąpić byli powinni żołnierze. Żałuję tylko, że wyrok wasz spóźnił się trochę.

To mówiąc zerwał nagle przepaskę i ukazał ranę straszliwą, z której krew buchać zaczęła strumieniem.

Sędziowie wstrząsnęli się i przybiegli ku niemu, ale Oetting uklęknął ponownie przed trupem Heleny i obejmując go, mówił:

— Po raz ostatni całuję oię w życiu! Nikt nas nie rozłączy, niema cesarza nad nami, jesteśmy wolni—wolni—ale dopiero w godzinę śmierci.

Głos Oettinga stawał się coraz cichszy, głowa opadła na piersi, oczy szukały raz jeszcze spojrzenia Deslordsa, ale major ponuro patrzył w ziemię.

— Uważasz mnie za zdrajcę? — rzekł głosem konającym — tak jest! byłem zdrajcą, ale zdradziłem nie cesarza waszego, jeno kraj mój. Nie!... nie!...



Nie dokończył już tego zdania, westchnął i skonał.

Marceli zdjął czapkę z głowy, a w ślad za nim poszli wszyscy obecni. Te dwa trupy mówiły więcej, niż wszystkie tragedye, na jakie patrzano codziennie.

Stefan Malinger nie mógł zrozumieć, że ten sam pułkownik Deslords, który przed chwilą tak spokojnie ferował wyrok śmierci, teraz twarz ukrył w obie dłonie, zachwiał się, oparł o ścianę i wołał z rozpaczą:

— Teraz ostatniego straciłem przyjaciela! Najlepszy to charakter, jaki poznałem w życiu. O ziemio północy, ty zimna, śniegiem pokryta, bądź przeklętą!

Ten wybuch rozpaczy niezwykle był zjawiskiem u zamkniętego w sobie Marcelego. Chwila ta trwała jednakże krótko.

— Za mną, panowie! — krzyknął — i wszyscy w milczeniu schodzić zaczęli po schodach.

Na dole oczekiwała ich hrabina Walewska.

— Na miłość Boską! pułkowniku! — krzyknęła — cóż się tam stało na górze?

Marceli wyprostował się i rzekł poważnie:

— Dom rodziny waszej zniszczony, krewna pani leży zabita na górze, najlepszy przyjaciel mój umarł, ale — sprawiedliwości stało się zadość!...

Marya Walewska płakała rzewnie...

## E P I L O G.

---

Marceli Deslords zjawił się nazajutrz u cesarza, który dopiero późno w nocy przybył do Łakiniac, i złożył mu raport o wypadkach. Pułkownik zimny był i spokojny, niczem też nie zdradził wzburzenia wewnętrznego.

Rozmowa odbywała się w tym samym pokoju, w którym do niedawna leżały trupy Heleny i Oettinga, inne bowiem pokoje tak były zniszczone ogniem, kulami i uderzeniami siekier, że o pomieszczeniu w nich dla cesarza nie mogło być mowy. Z trudem zaledwie ugaszono pożar, który wszczął się w kilku miejscach pałacu.

Ogień palił się na kominku, cesarz chodził w tę i ową stronę po pokoju, przystawając co chwilę i tracąc sobie kostniejące ręce. Raportu Deslordsa słuchał uważnie, zwolna jednakże oblicze jego stawało się chmurne, nie rzekł też ani słowa, gdy mu ze szczegółami opowiadano przebieg śmierci Oettinga. Dopiero gdy Deslords mówić zaczął o układach tajnych i o papierach, które znajdowały się w ręku Heleny, Napoleon przystanął i zadumał się głęboko.

— Wiedziałem, że dzieje się coś po za plecami mojemu i że knuto zdradę przeciwko mnie. Nieodżałowana to szkoda, że papiery te nie wpadły w ręce moje, byłby to bowiem dowód oczywisty i Austria drogo zapłaciłaby mi przed gabinetami Europy za zerwanie przyjaźni. Skoro jednak tajemnica poszła do grobu razem z tymi dwoma ludźmi, to źle, bardzo źle się stało!...

I znów Napoleon chodzić zaczął po pokoju, a Marcelli wyrzucał sobie, że zbyt pośpiesznie postąpił, zabijając hrabiankę.

Cesarz stanął jednakże wkrótce z rozjaśnionem obliczem przed pułkownikiem.

— Zresztą, teraz wszystko mi już obojętne! Na wiosnę wystawię znów armię złożoną ze stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi i wkroczymy z nią do Niemiec. Niechaj się wtedy kto ośmieli nas zaczepić!

— Jeżeli ty, Najjaśniejszy Panie, staniesz na czele, nikt nie będzie miał odwagi zmierzyć się z nami!—zawołał Deslords.

— Rosyanie więcej wycierpieli od nas, zawsze jeszcze przeto jesteśmy silniejsi. Choćby więc teraz przyszły im na pomoc Prusy, Austria i wszystkie małe państewka, to jeszcze wyprawimy im nowe Wagram i Austerlitz.

Marcelli milczał, co zauważywszy Napoleon rzekł:

— Widzę, że jesteś zmęczony, pułkowniku, idź zatem wypocząć, za godzinę bowiem wyruszamy dalej. Nie mamy ani chwili do stracenia, dziś jeszcze stanąć musimy w Wilnie, a za trzy dni w Warszawie.



Marceli Deslords skłonił się i wyszedł, cesarz zaś usiadł na fotelu nawprost kominka i bezmyślnie patrzył w ogień. Zimno mu było, marzył, a twarz jego wyglądała blado.

O czym mógł myśleć cesarz Francuzów? Czy o armii zniszczonej, czy o tronie własnym, który chwiał się w tej chwili, czy o wojnie, jaka go czekała teraz, wojnie z Europą całą?..

Napoleon nie zwątpił ani o sobie, ani o siłach własnych, było coś innego, co go trapić zaczęło i co czytał już oddawna w oczach żołnierzy. Nie mocarstw europejskich, ale armii własnej bać się teraz zaczął Napoleon Bonaparte. Śmierć Oettinga zastanowiła go głęboko. Takich Niemców, którzy gotowi się teraz poczuć naprawdę Niemcami, Polaków, którzy upomną się o przyrzeczenia, Włochów, Holendrów, Szwedów, Duńczyków — pełno było w armii napoleońskiej.

Wokoło cesarza powstawali ludzie nowi, opasywali go pocichu, a przykład Rosyi odpornej oddziałać mógł zaraźliwie. Napoleon czuł, że zadania swego nie spełnił jeszcze, wiedział, że świat żąda czegoś więcej od niego, i dlatego w starym dworze szlacheckim uczuł trwogę, nigdy przedtem nieznaną. Najwięcej bolało go, że wiara w jego niezwyciężoność zacznie znikać; a gdy zniknie ta wiara, zniknie z nią razem wszystko, co działał na świecie.

Dosyć już trupów widział, chce więc uciec od tych mar, które prześladują go ciągle!..

— Daru! Czy przygotowano już sanki? — zawołał.

Daru oznajmił, że za pół godziny wszystko gotowe będzie do drogi.

Cesarz wyszedł do sieni i zastał tam hrabinę Walewską, płaczącą rzewnie. Hrabina wracała ze skromnego pogrzebu, jaki się odbył na wiejskim cmentarzu, gdzie pochowano zwłoki Heleny i Oettinga.

Cesarz wziął hrabinę Walewską za rękę i mówił czule:

— Maryo! nieszczęścia, jakie sprowadziłem na wasz dom, chyba skończyły się już zupełnie, najbliższa krewna twoja umarła i nic cię teraz nie łączy z krajem. A jednak nie radzę ci opuszczać ziemi rodzinnej, tu możesz być jeszcze szczęśliwą, gdy zaś pójdziesz za mną, to czekają cię tylko nowe niebezpieczeństwa i nowe walki.

— Właśnie dlatego pójdę za tobą! Teraz opuszczą cię dworacy i marszałkowie twoi, i nigdy może nie potrzebowałeś tak bardzo oddanego ci serca kobiecego, jak właśnie w tej chwili.

Napoleon z głębokim szacunkiem ucałował jej rękę i odprowadził do sanek, które czekały przed bramą.

W pół godziny później generał Corbineau, Deslords, Malinger, szaserzy, gwardya i Polacy czekali na wyjście cesarza. Wkrótce też ukazał się Napoleon, wsiadł do sanek i zawołał:

— Naprzód!

Jak strzała pomknęły sanie, pozostawiając za sobą zamek, który stał się widownią takiej krwawej tragedii.

Dzień był mroźny, śnieg białością swoją oślepił jadących, a na niebie przyświecało słońce, małe, okrągłe, jak szyba ze szkła czerwonego, która błyszczczy, ale nie grzeje. To niebo zwolna stawało się zielonawe, ze śniegu unosiła się mgła, a słońce przy zachodzie nabierało koloru blado-żółtego.

Zmrok już zapadł zupełnie, gdy zdala ukazały się wieże Wilna. W mieście panowała cisza, świadcząca, że nie przechodzili tędy jeszcze maruderzy armii napoleońskiej.

Napoleon skierował się wprost do komendanta miasta i kazał sobie przywołać księcia Bassano. Pół godziny trwała rozmowa z księciem i dotyczyła wyłącznie urządzenia szpitali i magazynów dla uciekających z Rosyi żołnierzy armii napoleońskiej. Cesarz rozkazał, ażeby natychmiast Bawarczycy i Neapolitańczycy wyszli naprzeciw, zabierając z sobą wszystkie obuwie i mundury, jakie się znajdowały w magazynach.

— Najjaśniejszy Panie—rzekł książę Bassano—połowę żołnierzy moich zabił mróz i niewygody wojenne.

Napoleon nie odrzekł na to nic i z rezygnacją wzruszył ramionami.

W ciągu półgodzinnej rozmowy z księciem cesarz ważne niezmiernie wydał rozkazy.

Przedewszystkiem wojska należało zgromadzić w Wilnie i cofnąć się przez Kowno i Królewiec do Francyi; rząd tymczasowy na Litwie został zniesiony, a Wilno samo w przeciągu dni szczęściu musiało być opróżnione.



Ostatni cień władzy francuskiej na Litwie zniknął teraz doszczętnie.

Po upływie trzydziestu minut sanki cesarskie pędziły dalej. Napoleon siedział w nich milczący i ponury, żaden też z oficerów nie śmiał wymówić słowa, ale wszystkim cisnęły się do głowy smutne wspomnienia.

Precz, precz z tego kraju, który stał się grobem armii francuskiej!...

Sanki mknęły traktem do Kowna, z kądem na południe skręciły ku Warszawie, a ten trakt, po obydwóch stronach obrosły topolami, dziwnie przygnębiające czynił wrażenie. Przy drodze widać było pagórki małe, pokryte śniegiem, ponad którymi wznosiły się krzyże drewniane. Te krzyże oznaczały groby poległych w drodze do Moskwy żołnierzy *wielkiej* armii napoleońskiej.

Nagle błysnęło coś na niebie, łuna ukazała się wielka i konie cesarskie stanęły dęba. Obejrzano się po za siebie—paliły się przedmieścia Wilna.

Czyżby tam już doszli maruderzy armii i oni wszczęli ogień?

Nikt nie umiał dać na to odpowiedzi i wszyscy w milczeniu spojrzeli po sobie, a łuna ku niebu była coraz większa, wszystko wokoło się zaczerwieniło i jasno było, jak w pogodny dzień letni. Wśród blasków tego światła tembardziej ponuro wyglądały krzyże czarne, sterczące ponad śniegiem.

Napoleon po chwilowej zadumie podniósł w górę głowę i krzyknął na oficera, siedzącego na koźle sanek:

— Prędzej! prędzej!

Stangret trzasnął z bicia, konie, nieprzyzwyczajone do bata skoczyły, dzwonki zaczęły brzęczeć coraz głośniej i śnieg, jak chmura, unosił się po za sankami cesarskimi.

A w oddali ogień rósł coraz więcej, ponad murami miasta purpura tworzyła kształty fantastyczne, iskry przelatywały w powietrzu... a cesarzowi i jego otoczeniu zdawało się, że w tej nocy cichej, pogodnej a mroźnej, słyhać jęki, wybiegające z tysięcy piersi. Te jęki zdawały się ścigać uciekających, więc cesarz krzyknął powtórnie:

— Prędziej!... prędziej!...

I sanki mknęły pomiędzy drzewami odartymi z liści, a zdaleka patrzyły na nie groby poległych żołnierzy.

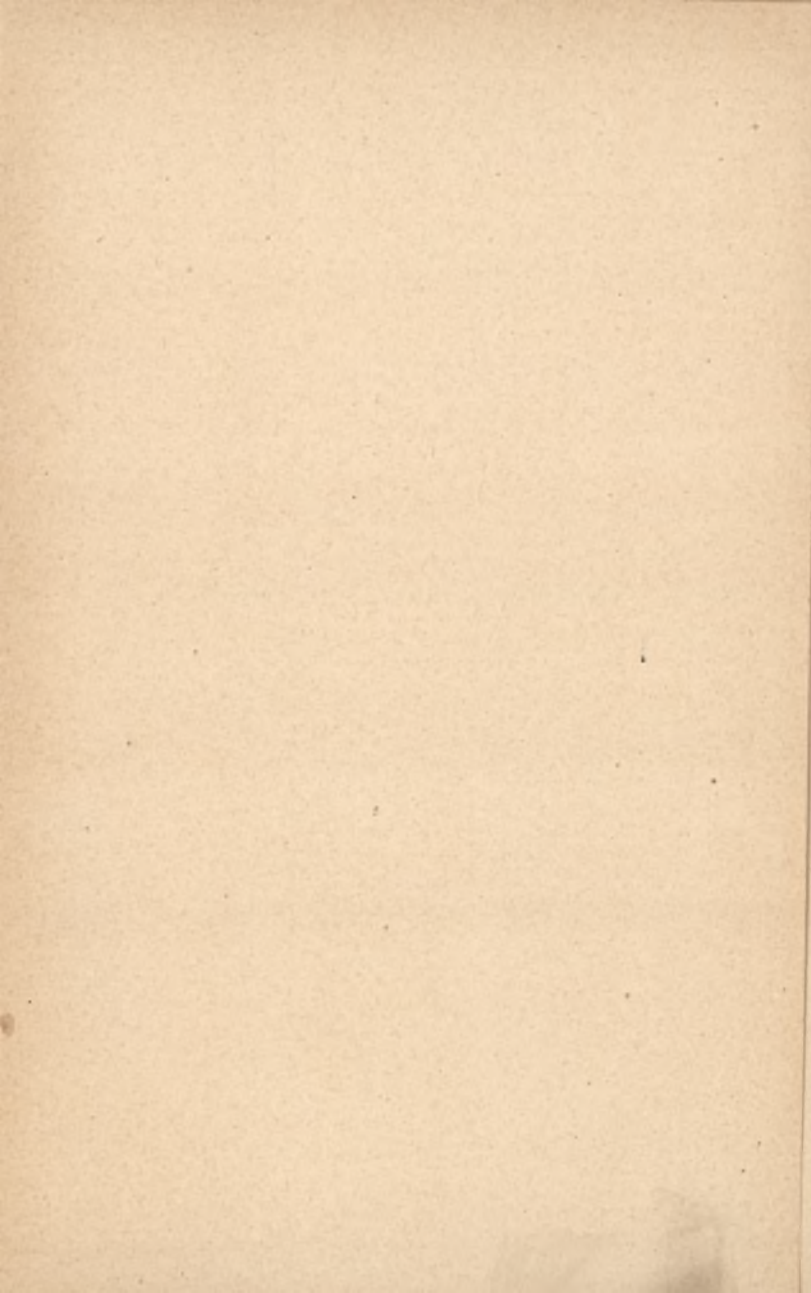
Otoczenie cesarza nie wiedziało, czy Napoleon ucieka tak pospiesznie przed upiorami zmarłych żołnierzy, czy gna go ten ogień wileński, czy też pcha naprzód żądza nowych wawrzynów, nowej sławy— żądza panowania nad światem...

K O N I E C .











Mr

380

75/85



WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH

BIBLIOTEKA

174015

Biblioteka WSP Kielce



0122035